

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/440

1984



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

WŁ. BIEŃKOWSKI:

POLSKIEGO DRAMATU CIĄG DALSZY

G. HERLING-GRUDZIŃSKI:

DRUGA ROZMOWA Z J.J. LIPSKIM

M.A. ABRAMOWICZ: **DATA UKRZYŻOWANIA**

M. POLESKI: **POMYSŁY POLITYCZNE**

SPIS RZECZY

Władysław Bieńkowski:	<i>Polskiego dramatu ciąg dalszy</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Druga rozmowa z J. J. Lipskim</i>	43
Marek A. Abramowicz:	<i>Data Ukrzyżowania</i>	53
Sławomir Mrozek:	<i>Trudne życie</i>	63
WIERSZE		
Lech Dymarski:	<i>O co właściwie tym ludziom chodzi.</i> — <i>Prawda</i>	66
Anna Frajlich:	<i>Czytając Gibbona</i>	67
OBSERWATORIUM		
Redakcja:	<i>Dialog</i>	68
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Maciej Poleski:	<i>Pomysły polityczne</i>	71
Radek Sikorski — Włodzimierz Brus:	<i>O gospodarce Polski i bloku sowiec- kiego</i>	84
SPRAWY I TROSKI		
Maciej Feldhuzen:	<i>Prymas Glemp w Ameryce Południowej</i>	95
Wojciech Sikora:	<i>Towarzystwo Historyczno-Literackie</i> ..	100
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	103
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	109
B.O.:	<i>Kronika ukraińska</i>	112
KRONIKA KULTURALNA		
K.Z.:	<i>Deutsches Polen-Institut</i>	114
Jerzy Horzelski:	<i>Między Dubnem a Dublinem</i>	117
CI, CO ODESZLI		
Zofia Romanowiczowa:	<i>Nina Iwańska</i>	123
Z PUSTYNI I Z PUSZCZY		
Jacek Bierezin:	<i>Autobiografii część druga</i>	129
KSIĄŻKI		
Wojciech Karpiński:	<i>Twórczość Andrzeja Walickiego</i>	132
—	<i>Pierwsza historia „Solidarności”</i>	140
Jerzy J. Lerski:	<i>Specyfika katolicyzmu Europy Wsch.</i>	142
A.K.:	<i>Nowe książki</i>	146
—	<i>Nadchodzące nowości wydawnicze</i>	147
POLEMIKI		
Andrzej Wat:	<i>Jeszcze jedno oszczerstwo Sandauera</i> ..	150
◆		
Józef Garliński:	<i>List z Londynu</i>	153
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki ame- rykańska, francuska i kanadyjska</i> ..	158
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	167
◆		
L. Frendl, B. Gozdek, L. Je- rzewski, St. Marcinkowski, J. Weinlos, Z. Bobowicz, Z. Najder, Rocznic 1955:	<i>Listy do Redakcji</i>	169
—	<i>Odpowiedź Redakcji</i>	175

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Mai - Mai 1984

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Wilhelm Bismayer, Des Plaines, IL (USA), po raz 19-ty — \$ 46,00	F. 400,00
Federacja Polek w Kanadzie, Ogniwo Nr 7, Toronto, Ont. (Kanada) — \$ c. 100,00	F. 625,00
Tadeusz Kadenacy, Londyn — dla uczczenia pamięci śp. prof. Wiktora Sukiennickiego w pierwszą rocznicę Jego śmierci	F. 100,00
J. A. Kałużny, Naples, FL (USA) — \$ 50,00	F. 400,00
M. Kulikowski, Falicon (Francja)	F. 150,00
B. Obuchowski, Bankstown, NSW (Australia), po raz 6-ty — \$ A. 20,00	F. 148,00
Inż. Seweryn Palicki, Lidingö (Szwecja), po raz 3-ci — Krs 100,00	F. 103,00
Pamięci Stefana Komornickiego w 9-tą rocznicę Jego śmierci — Zona (Londyn) — £ 10,00	F. 120,00
R. Quas de Penno — zamiast kwiatów na grób śp. A. Osostowiczowej, zmarłej w Sztokholmie — w pierwszą rocznicę Jej śmierci — \$ 8,00	F. 64,00
Edward Puacz, Chicago — zamiast kwiatów na grób Siostry śp. Ganny Walskiej, zmarłej 2 marca 1984 — \$ 75,00 ..	F. 600,00
Anna Sosnowska, Bois-Colombes — ku uczczeniu pamięci Florentyny Wolanowskiej, wieloletniej pracownicy Księgarni Polskiej na St-Germain w Paryżu, Polki wielkich zasług, zacności i serca — na Fundusz im. Zygmunta Hertza ..	F. 1000,00
Aleksander Waroczewski, Etobicoke, Ont. (Kanada), po raz 20-ty — \$ c. 41,00	F. 256,00
W trzecią rocznicę śmierci Stefana Strelcyna, dla uczczenia Jego pamięci — Zona, Syn i Synowa, Manchester (Wielka Brytania) — £ 30,00	F. 360,00
Zamiast kwiatów na grób Stefana Strelcyna, w trzecią rocznicę śmierci — Syn i Synowa, Paryż	F. 200,00
Prof. dr Jacek Żurada, Louisville, KY (USA) — zamiast kwiatów na grób Ojca Józefa — Fr. szw. 100,00	F. 370,00
Bezimiennie z Londynu, po raz 13-ty — £ 20,00	F. 240,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Stanisław Brodnicki, Dortmund (RFN) — na pomoc dla rodzin uwięzionych robotników	F. 100,00
B.S. z Norwegii — dla aktorów, którzy utracili pracę z powodu walki z reżymem	F. 200,00
E.M., Paryż — dla prześladowanych w Polsce	F. 200,00
Izabela Gawrońska, Pensacola, FL (USA) — na pomoc dla polskich więźniów politycznych, zamiast kwiatów na grób Grzegorza Przemyska w pierwszą rocznicę Jego tragicznej śmierci — \$ 20,00	F. 160,00
G.M. z Norwegii — na pomoc dla więźniów politycznych	F. 500,00
Tomasz Gołąb, Indianapolis, IN (USA) — zamiast kwiatów na grób Przyjaciela śp. dr Mieczysława Osowieckiego — na pomoc dla więźniów politycznych — \$ 50,00	F. 400,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na fundusz samoobrony społecznej — po raz 27-my — \$ 50,00	F. 400,00
Kazimiera Lenkiewicz, Lidingö (Szwecja) — Krs 300,00	F. 309,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 176)

Polskiego dramatu ciąg dalszy

I. Co wynika z polskich doświadczeń

Prawie równocześnie ukazały się dwa dokumenty o dużym znaczeniu dla teraźniejszości i przyszłości naszego kraju: artykuł przywódcy partii i szefa rządu pt. „Wymowa polskich doświadczeń” oraz „Sprawozdanie z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej”*. Dwa dokumenty opracowane przez najwyższe autorytety, stanowiące dla aparatu władzy instrukcje jak rozumieć to wszystko, co działo się w naszym kraju i jakie stąd wyciągać wnioski dla dalszej praktyki.

Artykuł przywódcy partii na wstępie podkreśla, że treść jego wywodów opiera się na „wszechstronnej marksistowskiej analizie tego okresu [która] będzie stanowić z czasem klucz do naukowej oceny”. Takiej właśnie analizy dokonał IX Nadzwyczajny Zjazd partii. Jest to więc zarazem instrukcja dla całej przyszłej nauki polskiej.

O partyjnej krytyce i samokrytyce. Przed merytorycznymi sprawami narzuca się zjawisko, ze szczególnym nasileniem występujące w ostatnim okresie. Niemal codziennie słyszy się wypowiedzi, podkreślające, jak bardzo partia jest krytyczna i samokrytyczna, jak w swej krytyce jest „wszechstronna”, „marksistowska” i „naukowa”. Bodaj na IX Zjeździe można było usłyszeć, że tylko partia zdolna jest do śmiałej, krytycznej oceny własnej działalności. Zdanie to na tle prawie 40-toletniej historii PRL brzmi cokolwiek zaskakująco. Prawda, że okres to dla historycznych procesów krótki, ale jeśli chodzi o nagromadzenie „błę-

* Zamieszczony w 65-tym i 66-tym numerze Zeszytów Historycznych w wersji ocenzonej zamieściły Nowe Drogi w Warszawie.

dów", starczyłoby ich na długą epokę. Nie tylko ilość jest ważna. Nawet rozgarnięte dziecko w Polsce wie, że władza nigdy nie przyznawała się do popełnienia „błędów” z własnej inicjatywy, z konfrontacji swych działań z ich skutkami — ani w roku 56, ani w 70, ani w 80 — zawsze była do tego zmuszona przez społeczeństwo, przede wszystkim przez klasę robotniczą. Zawsze robiła to dopiero wtedy, kiedy skomasowane skutki jej polityki stawały kraj w obliczu katastrofy gospodarczej czy politycznej, czy obydwu naraz. Ale nawet wtedy owa „wszechstronna marksistowska analiza” sprowadzała się do paru gładkich ogólników, których głównym celem było zamknięcie dyskusji, aby nikt nie ośmielił się dociekać rzeczywistych przyczyn i skutków popełnionych „błędów”.

Skąd to nagłe zadowolenie z własnej krytyczności, skoro każdy w tym kraju wie, jak bezwzględnie dławiona była i jest każda krytyczna myśl i w partii i w społeczeństwie, jak każda krytyczna uwaga o zjawiskach widocznych gołym okiem stawała się przejawem groźnych antysocjalistycznych, imperialistycznych, kontrrewolucyjnych (i jakich tam jeszcze) tendencji. Można by sądzić, że istotnie walczącej armii niepotrzebne jest grzebanie się w przyczynach poniesionej klęski, może to tylko pogłębić nastroje defetyzmu. Jest nawet do tego aluzja w artykule przywódcy: że w partii „obok słusznej ostrej krytyki wystąpiły i zjawiska nieuzasadnionych oskarżeń oraz gorączkowego 'samobiczowania'”. Istotnie, nie ma sensu naśladowanie średniowiecznych biczowników — zwłaszcza że tamci chłostali ciało dla ocalenia duszy, w naszym przypadku szłoby raczej o chłostanie duszy (świadości!) dla ocalenia ciała. Można by się pocieszać, że u góry, w sztabach dokonuje się rzetelnej oceny przyczyn i skutków i na tej ocenie opierają się dalsze plany. Niestety — oba sztabowe dokumenty rozwiewają takie złudzenia. Nasuwa się przypuszczenie, że tak głośno wykrzykiwane pochwały partyjnej krytyki, podkreślanie ostatecznej ważności jej sądów mają służyć zagłuszeniu społeczeństwa, a także własnego niezbyt czystego sumienia.

Przyczyny wydarzeń lat 1980-1981. O wydarzeniach tego okresu dowiadujemy się (nie po raz pierwszy), że był to: „atak sił kontrrewolucyjnych na socjalistyczne państwo...”; „Do ostrego kryzysu politycznego i społeczno-gospodarczego doszło w Polsce końca lat siedemdziesiątych w wyniku nieprzewidywanych w porę sprzeczności socjalistycznego rozwoju”. Wynika stąd, że bezprzykładna katastrofa gospodarcza, gwałtowna eksplozja nagromadzonych napięć społecznych, ostry konflikt między społeczeństwem i władzą — wszystko to spowodowane zostało nie czyjąś

polityką, a wynikało po prostu ze sprzeczności, które towarzyszą socjalistycznemu rozwojowi. Wprawdzie mówi się, że w porę można było te sprzeczności przezwyciężyć — w sumie jednak tajemnica okrywa, co to za sprzeczności i w jaki sposób można było im zapobiec.

Miliony polskich obywateli nie wtajemniczonych w dogmatyczne zagadki całkiem już zagubiło się, co to jest ten socjalistyczny rozwój i w czym tkwią jego zagadki. Jeżeli władza w ciągu czterdziestu prawie lat swej polityki np. wobec wsi i rolnictwa miotła się od jednego nonsensu do drugiego, pogarszając strukturę rolną, doprowadzając do masowej ucieczki ze wsi, do wygłodzenia kraju — co to ma wspólnego ze „sprzecznościami rozwoju”? Czy zwyczajna ignorancja nieodpowiedzialnych rządców należy do prawidłowości tego ustroju? Albo — jeśli rządzący nie znają ani stanu gospodarki ani zasad funkcjonowania jej mechanizmów, korzystając z łatwych kredytów rozpoczynają setki wielomiliardowych inwestycji, nie zdając sobie sprawy kiedy i czy w ogóle będą mogły być zakończone, jeśli sprowadzają drogie urządzenia, które zanim mogłyby być zainstalowane zmienia się w kupę zardzewiałego szmelcu — czy odpowiedzialność za to spada na „sprzeczności rozwoju”? Artykuł przytacza także inne przyczyny kryzysu:

„przede wszystkim poważne odchylenia od zasad marksizmu-leninizmu w procesie budownictwa socjalistycznego. Dotyczyło to w szczególności naruszania leninowskich norm życia wewnątrz partyjnego, biurokratyczno-autokratycznego ograniczania socjalistycznego ludowładztwa, uproszczeń i zaniedbań w pracy ideowo-wychowawczej wśród społeczeństwa (...) oraz woluntarystycznych posunięć w polityce ekonomicznej”.

O „odchodzeniu od zasad” i o „naruszaniu norm” przez partyjną władzę społeczeństwo słyszy od kilkudziesięciu lat. Nie ma ważniejszej partyjnej uchwały, która by o tym nie przypominała, nie przestrzegała — i co? Aby przy każdym kryzysie wyjaśniać, że niestety nie przestrzegano, naruszano. Czy zagadka tej bezskuteczności nie tkwi w tym, że pojęcia te niczego nie znaczą, że stały się obrzędowymi zwrotami, zaklęciami do jakiejś metafizycznej siły i nie mają żadnych związków z konkretną rzeczywistością? Kiedy nie można powiedzieć, co i jak trzeba robić, nakazuje się przestrzegać norm, które kiedyś i gdzieś zapewne były słuszne i odegrały rolę, ale co mogą mieć wspólnego z problemami, wobec których stoją nasi dzisiejsi rządcy w konkretnej polskiej sytuacji lat, powiedzmy, osiemdziesiątych? Powtarzanie obrzędowych zaklęć nic tu nie pomoże i nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że za niewiele lat będziemy słyszeli, że partia znów nie przestrzegała „zasad” i „norm”. Albo: jakże

ładnie brzmi zwalanie winy za naszą gospodarkę na „woluntaryzm” — dawniej nazywany o wiele prościej głupotą.

Zatrzymaliśmy się na chwilę nad zjawiskiem niezwykle charakterystycznym — ucieczką od rzeczywistości w krainę mistyfikacji — tylko tam bowiem dają się zastosować partyjne kategorie myślenia. Ot dla przykładu: jednym ze źródeł kryzysu były „uproszczenia i zaniedbania w pracy ideowo-wychowawczej wśród społeczeństwa”. To rozczulające zdanie! A gdyby nie zaniedbano, to co? Społeczeństwo siedziałoby spokojnie i niczego nie zauważyło? I jeszcze inny zwrot, jakże znamienity:

(popelnione przez partię) „błędy zostały wykorzystane przez przeciwników naszego ustroju do totalnego ataku na partię i socjalizm”.

To klasyczna metoda obrony z gatunku „łapaj złodzieja”. Odwraca się strzałkę — winni są nie ci, co popełnili błędy, lecz przewrotni przeciwnicy, którzy na te błędy czyhają, aby je wykorzystać. Rozumiemy, to bardzo ludzkie uczucie. Każdy z nas, od ucznia w szkole do premiera i sekretarza marzy o tym, aby błąd, jaki zdarzy mu się popełnić, przeszedł niezauważony, nie pociągnął przykrych konsekwencji. Niestety, błędy mają to do siebie, że „wykorzystują się” same, rodzą owoce, które musimy spożywać. A tak nawiasem — gdyby przeciwnicy nie wykorzystywali błędów, czy życie wówczas toczyłoby się po różach? Być może nadejdą takie czasy, że przeciwnicy oślepną, ogłuchną, w ogóle ich nie będzie — wówczas rządzenie stanie się samą rozkoszą!

O jedności i rozwarstwieniu. Zasadnicze znaczenie dla całej myślowej konstrukcji artykułu ma ocena ogólnej sytuacji społecznej:

„lata ubiegłej dekady przebiegające pod wpływem — fałszywej w warunkach zasadniczego rozwarstwienia społecznego — tezy o tzw. jedności polityczno-moralnej narodu stępiały ostrość klasowego widzenia rzeczywistości, minimalizowały zagrożenie”.

Rozłożmy to bogate w treść zdanie na prostsze elementy. Jedność polityczno-moralna narodu to pojęcie wielopiętrowe, może pojawiać się w różnym stopniu i na różnych płaszczyznach. Ale zawsze w historii społeczeństw jest taka płaszczyzna, na której owa jedność stanowi konstytutywną cechę narodu. Naród, który w swej historii, tradycji, kulturze, w swoim społecznym etosie nie dopracował się takich wspólnych (przynajmniej dla decydującej większości), nadrzędnych wartości, w obronie których manifestuje swą jedność, nie jest narodem, jest zlepkiem nieprzystających do siebie elementów — i najślusniej byłoby podzielić

go na dwa narody. Takie sytuacje mogą się zdarzać. Znaczy to, że zróżnicowanie klasowe i wynikające stąd konflikty, podziały polityczne, ideologiczne, religijne i wszelkie inne leżą w innych płaszczyznach niż owa jedność. Nikt nie będzie postulował podziału kraju na niezależne części, np. dla uprzywilejowanych i upośledzonych, materialistów i idealistów, rządzących i rządzonych itd. Dlatego nie można i chyba nie wolno mówić, iż teza o jedności polityczno-moralnej narodu jest fałszywa. Byłby to bowiem dowód, że jakaś część, jakaś grupa w łonie narodu chciałaby inną część zdyskwalifikować w jej obywatelskich prawach z racji jej odmiennych poglądów np. na wewnętrzne problemy. Tym gorzej, jeśli mówi to władza.

Druza teza mówi o „zasadniczym rozwarstwieniu” naszego społeczeństwa. Rozwarstwiona jest, jak wiadomo, każda grupa społeczna, jest to elementarny wymóg spełniania społecznych funkcji. Rozwarstwione jest także społeczeństwo socjalistyczne. Ale jak? Socjologiczne sondaże nie wyjaśniają tego — zmieniła się struktura zawodowa, zwiększyła ruchliwość społeczna, ludność przesunęła się do miast. Kiedy mowa o klasowych podziałach, o nieuzasadnionych społecznie zyskach czyli wyzysku — wszyscy patrzą w stronę nieuspołecznionej własności — indywidualne rolnictwo, tzw. prywatna inicjatywa. Ale i tu się zmieniło: chłopu trudno namówić do pozostania na gospodarstwie, a rzemieślnika do otwarcia warsztatu usługowego. Gdzie więc szukać sprzeczności klasowych interesów: między miastem i wsią, proletariatem i inteligencją, prywatną inicjatywą i „uspołecznionym” społeczeństwem? Z niektórych rozważań naszej publicystyki wynika, że wrogiem klasowym pasożytującym na społeczeństwie są ci, którzy działają niejawnie: spekulanci, oszuści, złodzieje i tym podobne grupy „zawodowe”. Wszyscy bowiem działający jawnie są pod dostateczną kontrolą władz fiskalnych i wszelkich innych.

Co zatem miał na myśli autor pisząc o *zasadniczym* rozwarstwieniu naszego społeczeństwa — tak zasadniczym, że zagrażającym ustrojowi, państwu i w ogóle socjalizmowi? — Odpowiedź jest prosta. Nasi marksistowsy myśliciele przywykli do myślenia o społeczeństwie w kategoriach proletariatu - burżuazji. Skoro w czterdzieści prawie lat po ustrojowej rewolucji oraz trudniej wskazać na ten drugi człon, szuka się jego namiastek — nie ma wprawdzie burżuazji w kraju, ale jest za granicą, w świecie, oddziałuje na nasze społeczeństwo, mobilizuje je przeciwko socjalizmowi. Całe to rzekomo klasowe rozumowanie usiłuje zamaskować, że główną siłą przeciwstawiającą się naszej władzy za jej fałszywą politykę, za nonsensy — jest najautentyczniejsza klasa robotnicza. Jak „dialektycznie” wytłumaczyć, że robotnicy w swej masie stoją w opozycji — nie do ustroju ani

socjalizmu — ale do władzy, uważającej się za wyrazicielkę ich interesów? A może ta władza źle ich interesy wyraża, może w ogóle nie wie, o co robotnikom chodzi?

Wyjaśniło się, że tym „zasadniczym rozwarstwieniem” jest różnica poglądów na to, czy władza dobrze czy źle rządzi, umie czy nie umie w Polsce „budować socjalizm”. A pod tym względem materiał dowodowy jest niezwykle obfity, gromadzący się od 1944 roku. Partyjna władza broni się naiwnie jak dziecko, oskarża przeciwników, że widzą tylko „błędy”, a nie widzą osiągnięć. Istotnie — ale o stanie pacjenta nie świadczy, że widzi na jedno oko i włada jeszcze jedną nogą. O stanie kraju nie świadczą poszczególne pozycje — świadczy ogólny bilans sytuacji gospodarczej, społeczno-politycznej, organizacyjnej, moralnej, stanu kultury, nauki, oświaty — a w każdej z tych dziedzin kraj nasz wszedł w fazę groźnej cywilizacyjnej degradacji.

W rozwiązywaniu tego tragicznego węzła nasza władza postanowiła pójść śladem Aleksandra Macedońskiego — przeciąć go mieczem. Nie chodzi tu o konieczność czy zbędność stanu wojennego — chodzi o coś znacznie ważniejszego: do czego ten stan miał służyć, ku czemu prowadzić. W rzeczywistości okazał się sprowadzaniem wszystkiego, co ujawniło się i wydarzyło w latach 80-81 do stwierdzenia, że nie ma żadnego kryzysu politycznego, kryzysu systemu, metod rządzenia — jest konflikt z siłami antysocjalistycznymi, konflikt w istocie zewnętrzny, wywołany obcą wrogą inspiracją. Takiego przeciwnika można tylko zgnieść i łamać dopóty, dopóki nie uzna jedynej prawdy władzy. Społeczeństwo socjalistyczne z założenia powinno być społeczeństwem jednakowo myślącym (podkreślają to niektórzy ideologowie), a ponieważ Polska jest dosyć opóźniona na tej drodze, trzeba nasz marsz przyspieszyć. (Być może partyjni ideologowie i praktycy nawet nie wiedzą, że pierwszym twórcą teorii społeczeństwa „jednakowo myślącego” był mędrzec chiński z IV wieku p.n.e. Shang Yang; że wskazaną przez niego drogą szły, mniej czy więcej konsekwentnie, wszystkie systemy despotyczne. Wyłamała się z tej linii demokracja grecka, dając początek odrębnemu nurtowi rozwojowemu, nazwanemu później cywilizacją zachodnią).

Jeszcze jedna uwaga na temat „rozwarstwienia”. Dziwne ono jest w Polsce — raz jest, raz znika, po czym znów się pojawia. Np. w roku 1956 zniknęło prawie zupełnie (choć autorzy „Sprawozdania” przejawili wielką podejrzliwość, suponując, że tym, którzy poparli wówczas partyjny program, o co innego chodziło) — dopiero po dłuższym czasie zaczęło się znów odradzać. Nawet po grudniu 1970 roku nieco przycichło. Skąd te kaprysy? Otóż właśnie. Aby mieć społeczeństwo przeciwko sobie, władza

nie musi się wysilać, ale aby je mieć za sobą, musi się rzetelnie potrudzić, a przede wszystkim pomyśleć. A jak tu myśleć, skoro z góry wiadomo, że rację ma zawsze władza: nawet jeśli się myli, to myli się z „właściwych pozycji”.

O *różnorodności form*. Artykuł przywódcy mówi o ujemnych skutkach „nieumiejętności stosowania ogólnych zasad w konkretnych warunkach”, przytacza często cytowane zdanie Lenina o „ogromnej obfitości i różnorodności form” przechodzenia od kapitalizmu do socjalizmu, z tym, że „istota rzeczy będzie przy tym nieodzownie ta sama”. Podkreśla też pogląd Lenina, iż „szansa socjalizmu zależy zawsze i wszędzie od tego, na ile partia potrafi pozyskać zaufanie oraz zjednać dla swego programu... szerokie kręgi ludzi pracy, społeczeństwa, wśród którego działa”. — Gładko to wszystko nasi przywódcy cytują, oczywiście polityka nie należy za bardzo chwytac za słowo, ważniejszy jest co robi. Ale polskiego czytelnika musi zainteresować zdanie o *różnorodności form* — przy zachowaniu istoty rzeczy. Co jest tą nienaruszalną istotą rzeczy? Wnioskując z naszej praktyki, nienaruszalne stało się wszystko, co narosło latami, nie tylko formy organizacyjno-ustrojowe i metody rządzenia, ale także dogmaty, obrzędy i rytuały. W wykonaniu naszej władzy „różnorodność form” przypomina dawny żart o reklamie Forda: „W naszej firmie każdy może nabyć samochód w dowolnym kolorze, byle był czarny”.

Czego z artykułu przywódcy partii można się dowiedzieć o polskich doświadczeniach? Że siły kontrrewolucyjne dokonały ataku na ustrój socjalistyczny. Co to były za siły, jakie wymyśliły sobie preteksty, aby ten ustrój zaatakować — nie wiadomo. Wiadomo tylko, że były sterowane z zewnątrz, że była to w istocie imperialistyczna agresja. Reszta wiadomości o kraju dotyczy już metafizyki: ogólnych praw rozwoju, któremu zawsze towarzyszą sprzeczności. Przykłady takich sprzeczności są: „między rozwojem sił wytwórczych a stanem organizacji pracy, między stanem świadomości a metodami rządzenia” itp. Nie wiemy, sprzed ilu wieków pochodzą podręczniki, z których uczyli się nasi organizatorzy gospodarki. Wiadomo natomiast, że już od stu lat rozwój sił wytwórczych mierzy się stanem organizacji pracy i w ogóle od organizacji pracy się zaczyna. Ten, kto zaczyna od produkcji, którą się potem „jakoś” zorganizuje — jest po prostu nieukiem i groźnym szkodnikiem, powoduje trudne do usunięcia i bardzo kosztowne następstwa. Kiedy wreszcie rządcy tego kraju zrozumieją, że wszelki postęp techniczny zaczyna się nie od nowoczesnych maszyn i urządzeń, lecz od organizacji pracy? Komputer VII generacji zainstalowany w bałaganie będzie służył po-

większaniu bałaganu. A co to za sprzeczność między „stanem świadomości” i „metodami zarządzania”? O czyją świadomość tu chodzi? Czy o to, że jedni mają swoją świadomość, a drudzy swoje metody? Jeżeli ktoś nawet po ostatniej dotkliwej lekcji nie zrozumiał, że metody „budowania socjalizmu” w ciągu prawie 40 lat przypłacamy dziś groźnym dla przyszłości zacofaniem rozwojowym, temu już nic pomóc nie będzie w stanie.

I wreszcie ukazuje się społeczeństwu „światło w tunelu” — mają nim być program i wytyczne IX Nadzwyczajnego Zjazdu partii. To najbardziej chyba pesymistyczna prognoza naszej przyszłości. Wynika stąd, że od lipca 81 do końca 83 roku nic się w tym kraju nie stało, nic nie ujawniło takiego, co wymagałoby zastanowienia. W nadzwyczajnej sytuacji połowy 1981 roku zjazd nie zdobył się na nic więcej jak powtórzenie tego, co mówiły wszystkie poprzednie zjazdy: że partia ma bronić władzy przed kontrrewolucją, a społeczeństwo ma w zdyscyplinowany sposób realizować partyjne programy, aby wydobyć kraj z kryzysu. Zjednoczyć się trzeba „wokół właściwie pojmującej swą historyczną odpowiedzialność i rolę klasy robotniczej”. A kto będzie oceniał, czy klasa robotnicza właściwie pojmuje swoją rolę? Oczywiście partyjna władza. Nasi rządcy okazują całkowite zadowolenie, że mechanizm państwowy nabiera rozpędu dokładnie w tym samym kierunku, w jakim toczył się w minionych okresach, w nadziei, że wprawdzie dotąd się nie udawało, ale obecnie, jeśli się mocniej przycisnie, to jakoś przeskoczmy tę przepaść.

Raport Komisji czyli jak wychowywać władzę

Władców i rządców wychowuje się na ogół w jeden sposób — niezależnie od panującej filozofii. Należy im przedstawiać świat w sposób możliwie prosty w promieniach dobroczynnej władzy, której w osiągnięciu szczęścia narodu przeszkadzają czasem nieprzyjemne okoliczności, a częściej źli ludzie. Doskonały wzorzec historii pisanej *ad usum Delphini* stworzył jeden z dawniejszych rosyjskich historyków według prostego schematu. Władca X objął panowanie w trudnych warunkach, kraj był wyniszczony, gospodarka zaniedbana, handel podupadł — ale dzięki swemu talentowi i trosce o dobro kraju wkrótce zaniedbania naprawił, budował drogi, ożywił handel, doprowadził kraj do rozkwitu. Jego następca stanął przed trudnym zadaniem podźwignięcia kraju z upadku, ale dzięki światłemu umysłowi i wrodzonym zdolnościom przezwyciężył trudności, ożywił życie kraju, zapisał się w historii. Jego następca zastał kraj w opłakanym stanie... itd.

Historiozofii tej nie wymyślił mizernej rangi dziejopis — wy-

nika ona z samej natury władzy, którą widzenie świata tak, jak ogląda go reszta obywateli, musiałoby doprowadzić do kompletnego rozkojarzenia. Toteż i nasi autorzy dokumentu, na który chcemy zwrócić uwagę, nie musieli czytać tego historyka, aby pójść tą samą (mniej więcej) drogą.

Właśnie niedawno ukazało się „Sprawozdanie z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej”. Dokument, jak z tytułu i rangi autorów wynika pierwszorzędnej wagi, powinien wreszcie wyjaśnić, jak to się dzieje, że w uporczywym i szybkim marszu naprzód każde dziesięciolecie kończy się dramatem, w rezultacie którego znajdujemy się coraz bardziej w tyle. Znaczenie dokumentu polega i na tym, że ma on dać nie tylko wiedzę, ale i wskazówkę, co robić dalej.

Największą osobliwością naszej prawie czterdziestoletniej ludowej historii jest, iż z perspektywy jedynym okresem napawającym jakimś optymizmem stają się coraz wyraźniej pierwsze lata, kiedy to kraj znajdował się w najtrudniejszej sytuacji wojennych zniszczeń, a zarazem ostrych konfliktów społecznych z elementami wojny domowej. Mimo tego:

„Głęboka reforma i szybkie zagospodarowanie... przy wzrastającej patriotycznej aktywności narodu następowało urzeczywistnienie demokracji ludowej — robotniczej i chłopskiej”; [Mimo iż] „toczyła się ostra walka klasowa, siły reakcji stosowały terror”... [Chociaż] „warunki międzynarodowe... surowe doświadczenia walki narzucanej przez kontrrewolucyjne podziemie nie pozwoliły uniknąć niektórych nie zawsze słusznych poglądów i posunięć”.

Sprzeczności zauważone w tym fragmencie istotnie miały miejsce. Społeczeństwo po tragicznych doświadczeniach wojny i okupacji z ogromną energią i entuzjazmem przystąpiło do dźwigania z ruin i zgłiszcz odrodzonej ojczyzny — jednoczyło się w tym, niestety, wbrew polityce nowej władzy. Ta bowiem nie miała nic lepszego do zrobienia jak od razu, w pierwszych momentach, odepchnąć i potępić przynajmniej 80 % tego narodu za to, że w okupacyjnej nocy za naturalny symbol istnienia państwa polskiego uważał emigracyjny rząd w Londynie. Armia Krajowa (niezależnie od wszystkich politycznych aspektów) jednoczyła naród, kierowała walką, która pochłonęła tyle ofiar, umacniała ducha oporu — i została skwitowana przez nową władzę sławnym określeniem „AK — zapluty karzeł reakcji”. Wtedy właśnie, kiedy głównym zadaniem powinno było być stworzenie jak najszerszego pomostu między nowym ustrojem i jego rzeszami a narodem, który przez okres wojny nie mógł myśleć i działać inaczej, zwłaszcza że nurt komunistyczny w ruchu oporu (PPR)

powstał znacznie później i stanowił wąską strugę w szerokim narodowym morzu. Ci, którzy do dziś nie zrozumieli znaczenia tej zniewagi, niewiele rozumieją i z całej dalszej historii. Kierownicze czynniki podtrzymują przekonanie, że jeśli nawet partia popełniała błędy, to zawsze je szybko naprawiała. Po pierwsze ten „błąd” naprawiono z wielkimi oporami i bardzo późno, a ponadto są błędy, dla naprawienia których i pół wieku nie wystarczy.

Próbkę oceny typową dla całego „Sprawozdania” mamy i w przytoczonym fragmencie, że „warunki nie pozwoliły uniknąć niektórych nie zawsze słusznych poglądów i posunięć”. Co to były za posunięcia i poglądy, zachowano w tajemnicy, ponadto zdjęto odpowiedzialność z władzy, zrzucając ją na warunki, które nie pozwoliły! Wszystkie dalsze sformułowania i oceny cechuje taka właśnie ostrożność i ogólnikowość, z której nic nie ma wynikać prócz niewinności władzy.

Okres drugi, 1948-1955, zainicjował, piszą autorzy, „zaskakujący zwrot o charakterze dogmatyczno-sekciarskim”. Dla autorów „Sprawozdania”, którzy w tym czasie siedzieli prawdopodobnie na ławie szkolnej, może ten zwrot być zaskakującym, jako że partyjne dokumenty woła o tym nie mówić — ale nie był dla ówczesnych działaczy i świadków, zapowiadały go sygnały na dłu go naprzód. Z oficjalnych źródeł wyczytali tylko, że wywołany był zagrożeniem ze strony „imperializmu”, „zimną wojną” oraz tezą o „zaostrożeniu się walki klas”.

Różnice politycznej taktyki w pierwszych trzech powojennych latach stały się tematem różnego rodzaju spekulacji i nieporozumień, także na Zachodzie (również wśród komunistów) i wymagają kilku słów komentarza. Powojenny ład w Europie zaprojektowany został wspólnie przez głównych aliantów w wojnie z hitlerowskimi Niemcami. Stalin jako biegły taktik dostosił się do poglądów sojuszników, którzy wyzwalane przez Armię sowiecką kraje widzieli jako demokratyczno-parlamentarne z udziałem emigracyjnych przedstawicielstw tych państw na Zachodzie. Liczne oświadczenia sowieckiego przywódcy, że każdy z tych krajów będzie szedł własną demokratyczną drogą, zgodną z jego tradycjami i wolą społecznych mas — zrodziły wiele złudzeń na temat „własnych” dróg do socjalizmu.

Czy ówczesne nadzieje na jakąś liberalizację surowego reżymu „dyktatury proletariatu”, odstępianie od zasady jedyności sowieckiego modelu ustrojowego, miały jakąś podstawę? Dla uważnego obserwatora raczej nie. Przemawiał przeciwko temu zaostrzony kurs wewnętrznej polityki w Związku Sowieckim, anulujący w

drastyczny sposób szereg złagodzeń okresu wojennego. Przemawiały przeciwko temu także tendencje wewnątrz partii komunistycznych. Podstawowy trzon partyjnego aktywu, wychowany w żelaznej dyscyplinie Kominternu, od początku był przekonany, że chodzi tylko o taktykę i niecierpliwie czekał na objęcie prawdziwej „dyktatury proletariatu”. Liberalizujący interwał miał w rachubach Stalina głęboki praktyczny sens — szło o to, aby nagły komunistyczny przewrót nie wywołał w tych krajach jakiegoś zamętu, który w ówczesnej sytuacji mógłby spowodować niebezpieczne komplikacje międzynarodowe. Trzeba było dać partiom komunistycznym czas na umocnienie się, na opanowanie wewnętrznej sytuacji. Na to dwa i pół roku przy sowieckiej pomocy wystarczyły. Od jesieni 1947 roku wyraźne już były próby ujednolicenia taktyki i metod, zdyscyplinowania bratnich partii. Manifestacyjnym aktem przechodzenia do drugiego etapu rewolucji był przewrót dokonany przez komunistyczną partię w Czechosłowacji w lutym 1948 roku. Zapoczątkowało to falę nacisków na wszystkie partie obozu, organizowanie procesów przeciwko wybranym czołowym działaczom, co miało na celu sterroryzowanie tych partii i oczyszczenie ich z elementów „oportunistycznych”.

Dla partii komunistycznych nie był to więc zwrot nieoczekiwany, przeciwnie, jak najbardziej leżał na ideologicznej linii. Potwierdzeniem było i to, iż tylko bardzo nieliczni partyjni aktywiści zaangażowali się w poszukiwanie własnych dróg do socjalizmu. (Na marginesie tego nie poruszanego raczej problemu warto przytoczyć incydent ilustrujący postawę czołowego aktywu, jaki miał miejsce w czasie sierpniowego plenum KC w roku 1948, na którym rozpoczęła się rozprawa z „odchyleniem prawicowym i nacjonalistycznym”. Jeden z oskarżanych — *nota bene* w praktyce nie wyróżniający się bynajmniej „dogmatyzmem” — bronił się szczerze zdziwionym i rozżalonym głosem: „Jak możecie, towarzysze, oskarżać mnie o wrogość do Związku Sowieckiego? Przecież zawsze byłem gotowy głosować za przyłączeniem Polski jako republiki do Związku...”. W tym miejscu wrzawa, jaką podniosło spłoszone prezydium zagłuszyła dalszy ciąg tej spowiedzi. Krzyczano „nie o to chodzi”, „nic nie rozumiecie” itp.).

Inaczej sprawa potoczyła się tylko w Jugosławii, do czego przyczyniła się zarówno odmienna sytuacja wewnętrzna, gdzie partia była właściwie wojującą z okupantem armią i gdzie szczególnie autorytet zdobył sobie wódz i polityczny przywódca. Chyba tylko peryferyjnemu położeniu geograficznemu Jugosławii przypisać należy, że Stalin nie zdecydował się na militarną obronę tej pozycji.

Charakterystyka lat 1949-1955, okresu potocznie określanego

jako „stalinowski”, stanowi w „Sprawozdaniu” przedziwną mieszaninę „dobra i zła”:

„za błąd uznać należy... wielki skok równocześnie we wszystkich dziedzinach”; [W kolektywizacji wsi] „nie uwzględniono zaopatrzenia rolnictwa” (!!!) „Powstało wiele dysproporcji i napięć, które podważały wiarę w słuszność polityki partii”; „Odczuwalność osiągnięć osłabiały błędy i wypaczenia”; „Narastały zjawiska odgradzające władzę od obywatela”; „Zaostrzony stosunek do żołnierzy AK i sił na Zachodzie”; „Represje wobec lewicy”; [Ale równocześnie] „Osiągnięcia 6-latki stały się trwałym elementem w świadomości społeczeństwa, umocniły właściwy latom powojennym entuzjazm pracy”... [Mimo] „odsuwania od badań sporej liczby uczonych oraz pozbawienia nauki polskiej... dostępu do wielu rzeczywistych osiągnięć nauki światowej” „w ideologii torował sobie drogę marksizm-leninizm... dzięki czemu nauka polska uległa wzbogaceniu”.

Jak z tego uchwycić sens, co się właściwie działo w tym okresie? Na czym polegały „błędy i wypaczenia”? Jak to było z tą kolektywizacją wsi? Uroczy jest wywód, jak to nauka polska ulegała wzbogaceniu. Dalej czytamy zdanie jeszcze ciekawsze:

„Właściwa i konieczna działalność organów ścigania... wykraczała w rezultacie poza ramy zasad konstytucyjnych... [W sumie jednak] „naruszenia praworządności wystąpiły w Polsce w ograniczonej skali... a większość funkcjonariuszy organów ścigania postępowała uczciwie”.

Niestety, nieuświadomione społeczeństwo interesowało się raczej tym, co robiła mniejszość. Dla pełni obrazu autorzy wspomnieli jeszcze o:

„uproszczeniach w stosunku do tradycji narodowych w rozumieniu patriotyzmu”, co „utrzymywało dawne podziały”, a także „rzutowało ujemnie na społeczny klimat stosunków polsko-radzieckich”.

W związku z ostatnią uwagą nieraz już podkreślano (także piszący te słowa), że głównym czynnikiem jątrzącym stosunki polsko-sowieckie była nasza partyjna władza i zarzut ten nie stracił aktualności.

Jaki obraz można ułożyć z tej składanki? Wszystko w tej historiozofii chodzi osobno, sukcesy i błędy nawzajem sobie nie przeszkadzają, skutki nie mają przyczyn, a przyczyny skutków. Kto potrafiłby odgadnąć, jakie w tym czasie zachodziły procesy, jakie przesłanki kształtowały się dla dalszej historii? A przecież po upływie 30 lat od tamtego okresu tak wiele się wyjaśniło. Nie potrzeba zbytniej przenikliwości, aby w dramacie, jaki rozegrał się w latach 80-81 zarówno w gospodarce jak i politycznej płaszczyźnie dostrzec owoce tamtego zasiewu.

Mistrzostwo w opanowaniu historiozoficznej stylistyki wyka-

zali autorzy w całym „Sprawozdaniu”, choćby np. w takim podsumowaniu okresu gomułkowskiego:

„Niedoceniając ideologii i rozwoju teorii społecznej przy jednoczesnym niedostrzeganiu niebezpieczeństwa dogmatyzmu i zastoju prowadziło do konserwatywnych tendencji w polityce i tym samym niezwykle utrudniało walkę z rzeczywistym niebezpieczeństwem rewizjonizmu”.

To absolutne arcydzieło! Proszę z tej finezji wyłowić, co tu do czego prowadziło, co czemu przeszkadzało, które niebezpieczeństwo było rzeczywiste, a które tylko pozorne! I gdzie się to wszystko działo, gdzie była wylęgarnia rewizjonizmu; we władzach, w partii, w masach społecznych? I o co tym rewizjonistom chodziło? Wspomniano wprawdzie, że chodziło im o „drugi etap” — ale co to miało oznaczać? Przecież autorzy podkreślili, że władza także miała szansę na „drugi etap”, tzn. na reformę gospodarczą, ale tej szansie „nie udzieliła należytej uwagi”!

O wydarzeniach marcowych 1968 roku czytamy, że „rewizjonistom udało się sprowokować zamieszki na uczelniach Warszawy, co wywołało odruch oburzenia robotników”. — Wydarzenia marcowe są jedną z bardziej zawiłych zagadek w naszej przeszłości. Jak to się stało, że grupka kilkudziesięciu młodych ludzi (częściowo uczniów gimnazjalnych) wstrząsnęła krajem, spowodowała otwarcie nowej epoki w naszych socjalistycznych dziejach? Autorzy nie śmieli zajrzeć za kulisy tej zagadki, zapewne w archiwach nie znaleźli na ten temat dokumentów. Ale słyszeli chyba, że równocześnie z zamieszkami, które tak „oburzyły robotników”, prawie we wszystkich instytucjach Warszawy i w znacznej części na prowincji odbyły się zebrania załóg, na których z góry wyznaczeni ludzie, po odpowiednim ideologicznym wstępie, przedstawili listy pracowników o „niewłaściwym” pochodzeniu. Listy te sporządzane być musiały w ciągu długich miesięcy w oparciu o bardzo specjalne materiały — zdarzało się bowiem przypominanie ludziom, którzy o tym rzeczywiście nie wiedzieli, że mieli nie taką prababkę, jaką mieć należało. Gorliwość w tym zakresie szła dalej niż sławne ustawy norymberskie. Były także inne dziedziny przygotowań, jeszcze bardziej zakomspirowane. Narzuca się pytanie, jaką rolę odegrały w tym wszystkim owe zajścia studenckie, które „Sprawozdanie” zauważyło? Autorzy coś tu musieli węszyć, co znalazło wyraz w takim oto zdaniu:

„W cieniu walki z rewizjonistycznymi i kosmopolitycznymi tendencjami rozwinęły się też, zwłaszcza w kierowniczym aktywie partii, przejawy nieoficjalnych podziałów i grupowość, w tym zaś lansowanie i tworzenie sztucznej popularności niektórych osób”.

Autorzy nie „puścili farby”, co kryło się pod owymi „nieofi-

cialnymi podziałami", „grupowością” i tajemniczymi „osobami” ze „sztuczną popularnością” — i w ogóle o co chodziło i komu. Jedna tylko wskazówka jest interesująca, że groźniejszy od samego rewizjonizmu okazał się „cień walki” z nim, skoro w tym właśnie cieniu można było ukryć tyle rzeczy!

A oto jeszcze kilka ocen okresu „gomułkowskiego”:

O sytuacji społecznej:

„... przeobrażenia struktury klasowej społeczeństwa... determinowały... dążenia klasy robotniczej oraz innych grup społecznych, aby efektywniej gospodarować... oraz wpływać na kierowanie społecznościami mniejszymi i większymi... [w rezultacie] postępowało gromadzenie sprzeczności i napięć”.

Nie dowiedzieliśmy się jednak kto, dlaczego i jak hamował dążenia klasy robotniczej do efektywniejszego gospodarowania.

O kulturze:

„poziom infrastruktury kultury i nauki należał w Polsce do najniższych wśród krajów socjalistycznych i poważnie zagrażał zasadzie powszechności”. „W środowiskach twórczych nie prowadzono konsekwentnej walki z przejawami rewizjonizmu”.

Pytanie: czy dlatego nie walczono, że poziom był tak niski, czy na odwrót? Czyżby rewizjoniści chcieli jeszcze obniżyć ten poziom?

O stosunku do religii:

[Gomułka] „rozumiał tradycyjny, szeroki związek mas ludowych z religią, dbał, by polityka wyznaniowa państwa odpowiadała polskiej racji stanu”.

Zagadka do rozwiązania: Jak się ma to, co Gomułka „rozumiał”, do tego o co „dbał”?

I wreszcie podsumowanie:

„W sumie jednak linia nowego (tzn. gomułkowskiego) kierownictwa powszechnie uznawana za słuszną zapewniała przez wiele lat na ogół harmonijny rozwój kraju”.

Zostawmy te oceny bez komentarza. Czytelnik zapewne sam dostrzegł ciekawe koincydencje między nimi. Np. że klasa robotnicza i inne warstwy społeczne chciały efektywnie gospodarować, ponieważ jednak im przeszkadzano, powstawały sprzeczności i napięcia. Kto w tym mógł im przeszkadzać? A ogólne optymistyczne podsumowanie tego niezbyt wesołego obrazu przypomina recenzję, jaką jeden z krakowskich dziennikarzy napisał z pierwszego przedstawienia „Wesela” Wyspiańskiego (1901 r.), że wszystkie perypetie „kończą się wesołym oberkiem”.

Omówienie lat 70-tych zaczyna się od szczegółowego proto-

kołu wydarzeń na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku, ale w podsumowaniu powtórzono ocenę Plenum KC z lutego 1971 roku, na którym:

„określano konflikt grudniowy jako wynik od dłuższego czasu narastającego kryzysu zaufania między kierownictwem partii a klasą robotniczą i innymi warstwami społecznymi, zwłaszcza na tle niedostatecznej dbałości o lepsze zaspakajanie potrzeb społeczeństwa”... „lansowane wówczas hasło demokratyzmu nie znajdowało pokrycia”...

Dalej następuje entuzjastyczny opis sukcesów gospodarczych i kulturalnych lat 70-tych (jednak „propaganda sukcesu” swoje zrobiła) z zastrzeżeniem, że wadą był „woluntaryzm i wadliwie programowane inwestycje”.

„Należy równocześnie podkreślić, że w omawianym okresie, podobnie jak w całej historii Polski Ludowej, istniały domeny, w których polityka była w pełni słuszną i zweryfikowaną przez życie”.

Ta generalna weryfikacja przez życie nastąpiła, jak wiadomo, w roku 1980.

Od 1975 roku zauważają autorzy zjawiska negatywne o charakterze kryzysowym. Płace rosły szybko, ale niezadowolenie jeszcze szybciej; ogromny wzrost budownictwa mieszkaniowego, ale jeszcze większa rozbieżność z nadziejami na rozwiązanie sprawy mieszkaniowej. W partii deformacje leninowskich zasad, zablokowanie wewnętrznej krytyki, centralizm biurokratyczny, a „szczególnie szkodliwe okazywało się zaniedbanie w pracy ideologicznej w partii i społeczeństwie”. Zajścia czerwcowe 1976 roku spowodowane były podwyżką cen, ale ani KC ani rząd nie poddały wypadków analizie; dla zatarcia sprawy szybko wycofano się z działań represyjnych.

„Sprawozdanie” odnotowało, że we wrześniu 1976 roku powstało „inteligentno-kosmopolityczne ugrupowanie — KOR”. Oczywiście, bez żadnej aluzji, że miało to coś wspólnego z zastosowaniem wobec uczestników zajęć czerwcowych represji, których formy rzeczywiście wywołały wstrząs opinii społeczeństwa (czego autorzy nie dostrzegli) i że był to faktycznie Komitet Obrony Robotników i jego zasługą było, że władza wycofała się pod naciskiem zmobilizowanej opinii z akcji represyjnej — usuwając tym przynajmniej jeden czynnik wewnętrznego napięcia. Mamy tu jeszcze jeden przykład sposobu widzenia, w którym zjawiska zachodzą bez przyczyn, a przyczyny nie mają skutków.

W roku 1980 nastąpiła „kumulacja kryzysów” — poprzednie były tylko „powstrzymane” — w roku 1956 przez „odwołanie się do Gomułki”, w roku 1970 do „kredytu zaufania”. — Po-

zostaje zagadką, jakie to kryzysy się kumulowały, skoro działania władzy były słuszne i zapewniały „harmonijny rozwój”?

„W świadomości społeczeństwa, przede wszystkim klasy robotniczej, dokonywały się różne procesy: w ślad za zakorzenieniem się naczelnych idei socjalizmu... narastała naturalna dążność do rzeczywistego współdecydowania o losach kraju. Rosnąca rozbieżność między głośnymi hasłami a stopniem ich realizacji... była odczuwana szczególnie dotkliwie... stawała się czynnikiem wyzwalającym zjawiska kryzysowe”... „klasa robotnicza domagała się instytucjonalnych gwarancji... stąd m.in. zrodziło się poparcie dla odrodzenia ruchu zawodowego, a następnie dla NSZZ ‘Solidarność’, zwłaszcza w pierwszej fazie jej rozwoju”. [Niestety] „rozszerzyło się także pole i agresywność działania sił wrogich socjalizmowi, wspartych przez imperialistyczne dywersyjne zaplecze”.

Dopiero w tej sytuacji:

„partia, przechodząc głęboki kryzys i przeobrażając się wewnętrznie, równocześnie budowała i przystąpiła do realizacji programu, którego pełny kształt dał historyczny IX Nadzwyczajny Zjazd 14-20 lipca 1981 roku”.

Przytoczyliśmy wyrywkowe przykłady, mające charakteryzować metodę myślenia i stylistykę wyrażania tych myśli. W całości „Sprawozdania” nie da się stwierdzić poglądu czy oceny, która nie byłaby już wyrażona dawniej, często nawet w formie konkretniejszej. Jest więc „Sprawozdanie” rodzajem antologii dotychczasowych ocen i opinii, a zadaniem autorów było raczej ich wyrażenie w sposób możliwie eufemistyczny, zharmonizowany, aby nie wносиły zamętu do kierowniczych głów.

Wszystko, co w „Sprawozdaniu” powiedziano o historii PRL i działalności władzy jest mętłą wodą, w której pływają osobno ekonomiczne sukcesy obok „błędów i wypaczeń”; bardziej konkretne są kryzysy i konflikty, o których nie bardzo wiadomo, skąd się biorą (jedynym pojawiającym się czasami podejrzanym jest „woluntaryzm”, któremu jednak poświęca się o wiele mniej uwagi niż np. rewizjonizmowi). W żaden sposób nie udałooby się na tej podstawie odtworzyć, co właściwie się w tym kraju działo, jakie przyczyny sprawiały, że konflikty stawały się coraz ostrzejsze, a kryzysy coraz głębsze i coraz bardziej totalne. Pojęcie „błędów” odgrywa tu jakąś tajemniczą zastępczą rolę. Jeśli bowiem te same błędy i wypaczenia powtarzają się permanentnie przez całe 40 lat, przy stałym przestrzeganiu przed nimi, to chyba mamy do czynienia nie z błędami, a z systemem, z utrwaloną metodą działania.

Można by usprawiedliwiać, że Wysoka Partyjna Komisja nie miała możliwości i okazji zrozumienia zjawisk i problemów, o których pisała, uchwycenia związków przyczynowych, co od czego zależy i na co wpływa. Wszystkie bowiem tematy związane z funkcjonowaniem naszego systemu zostały najsurowiej zakazane, co przy długotrwałości tego stanu musiało pociągnąć za sobą katastrofalne obniżenie ogólnej politycznej świadomości. W pierwszej kolejności zaćmienie objęło czynniki kierownicze, a koronną manifestacją tego jest właśnie „Sprawozdanie”. Jest to logiczne i z góry zdeterminowane. Prawie półtora wieku temu młody jeszcze Marks pisał, że władza, która zamknie społeczeństwu usta cenzurą będzie słyszała już tylko swój własny głos. I właśnie usłyszała. Ale obniżenie świadomości — przy niezwykle złożonych problemach kraju — nieuchronnie musi promieniować i na kraj, nie może być inaczej — bez dopływu światła, bez dyskusji myśl zamiera, a ludzie zaczynają kierować się instynktami, odruchami i emocjami. Lata 1980-1981 były tego jaskrawym dowodem. W wielkim na historyczną skalę konflikcie między społeczeństwem i władzą obie strony widziały i reagowały tylko na to, co pływało na powierzchni, na doraźne zdarzenia.

Ale oprócz niewiedzy i ograniczeń, jakie obowiązywały autorów „Sprawozdania”, istnieje jeszcze jedno kryterium — intelektualna uczciwość, której wymaga się nawet od analfabety. Niemożliwe, aby autorzy nie dostrzegli sprzeczności między swymi tezami i ocenami, aby nie dostrzegli, że większość pojęć użytych dla wyjaśnienia zjawisk jest frazesami pozbawionymi treści, że wiele ważnych w ich pojęciu stwierdzeń jest zwykłą mistyfikacją. Weźmy za przykład „rewizjonizm”. W generalnej ocenie główne błędy popełnione przez władzę w ciągu całej historii PRL to nieprzestrzeganie „leninowskich norm” oraz zaniedbania w walce z „rewizjonizmem”. O normach wspominaliśmy już, że jest to czysta mitologia, z prostego powodu — nie ma takich uniwersalnych norm społecznych i politycznych, które stosować można tak samo we wszystkich warunkach i w każdym czasie — prócz chyba wskazań Dekalogu, że nie należy kraść, zabijać, kłamać.

Z „rewizjonizmem” sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Gdyby nasi autorzy mieli choć odrobinę uczciwości, zauważyliby, że w ciągu prawie 40-tu lat wielokrotnie zmieniało się znaczenie tego pojęcia i to w sposób niezwykle kapryśny. Poglądy i propozycje, które najostrzej potępiano, skazywano za nie na więzienie i banicję, po niewielu latach znajdowały się w partyjnych programach, już pogodzone z „normami”. Zwykła uczciwa obserwacja musiałaby doprowadzić do przekonania, że główne klęski rządzącej elity wynikały z jej absolutnej niezdolności do

wyrwania się ze spetryfikowanych formułek i zastygłych jak beton metod działania, niezdolności do oceny własnych działań i ich skutków — tzn. niezdolności do jakiegokolwiek „rewizjonizmu”. To co najbardziej demaskuje i kompromituje naszą elitę władzy, to zachowanie w momentach ostrych kryzysów, kiedy załamała się i skompromitowała ich dotychczasowa koncepcja i metoda i kiedy pilną koniecznością staje się zastąpienie jej czymś nowym. Z takich momentach jedyną myślą jest ratowanie siebie, utrzymanie władzy. Tak było w roku 1956, tak samo w 1980 — wbrew dorabianej mitologii na temat historycznych odkryć IX Zjazdu partii. Nie wymyślono tam ani jednego zdania, które nie byłoby już dostatecznie zużyte — że zadaniem partii jest zwalczanie kontrrewolucji, a zadaniem społeczeństwa zdyscyplinowana wydajna praca pod partyjnym kierownictwem. To społeczeństwo słyszało od lat prawie czterdziestu. Jeśli w roku 1956 było nieco inaczej, to tylko dlatego, że do kierowniczego grona przedostał się ktoś z niego wygnany i prześladowany i wypowiedział pogląd wynikający z jego doświadczeń, nieco bliższy temu, co czuła i myślała reszta obywateli. Niestety to krytyczne spojrzenie zamgliło się, kiedy tenże opozycjonista stanął na czele władzy.

Pytanie zatem do autorów „Sprawozdania” — czy w takiej sytuacji wskazywanie na „rewizjonizm” jako na najgroźniejszego wroga, kiedy wszystko w tym kraju wymaga najsurowszej rewizji, nie jest ogłupianiem siebie i władzy? Czy nie jest to „szkolenie ideologiczne” metodami sławnej „akademii smorgońskiej”? (Dawniej na Wileńszczyźnie ośrodek tresury niedźwiedzi. Podobno uczono je tańczyć na rozpalonej blasze. Rolę blachy ma spełniać w naszych warunkach hasło „rewizjonizm”, wywołujące podobne odruchy).

Partyjna władza popełniała wprawdzie „błędy i wypaczenia”, ale — jak wielokrotnie podkreślano — jej zasadnicze decyzje były zawsze słuszne. Kto tedy ponosi odpowiedzialność za wszystko, co w tym kraju było złe i niesłuszne? W poszukiwaniu historycznych korzeni naszych bied Komisja sięga głęboko do:

„narodowej świadomości historycznej z wykształconymi w okresie szlacheckiej anarchii i walk o niepodległość cechami pozytywnymi i negatywnymi... Niedostatkami poszanowania władzy państwowej i praworządności... brakiem doświadczeń uczestnictwa w demokracji oraz nawyku wysoko zorganizowanej i zdyscyplinowanej pracy”.

Trudno czytać takie często powtarzane zdania bez uczucia gniewu i rozpacz! Jakież ślepoty i zakłamania trzeba, aby przyczyn zjawisk rozpanoszonych w naszym życiu szukać w społeczeństwie i już przed wiekami, a nie widzieć — udawać, że się nie widzi — ich obficie tryskającego źródła tu i teraz, w prawie

czterdziestoletniej działalności naszej partyjnej władzy! Przecież to ta władza z zimną premedytacją zniszczyła odradzające się po wyzwoleniu poczucie społecznej dyscypliny i odpowiedzialności. Polityczny zwrot lat 1949-1955 wyrzucił na śmietnik wszelkie racjonalne kryteria organizacji i metod pracy, oceny ludzi i wykorzystanie ich wiedzy i talentów. Bohaterami stali się specjaliści od wykorzystywania koniunktury, krzykacze umiejący przypodobać się władzy. Dla fachowców, ludzi odpowiedzialnych za podjęte zadania nie było w tym „wyścigu do socjalizmu” miejsca — iluż z nich wyrzucono z pracy, jeśli nie odeszli sami, nie chcąc płamić swego zawodowego honoru popieraniem nieodpowiedzialności i bałaganu.

Mówi się z triumfem, że wtedy właśnie zbudowano fundamenty socjalizmu, ale rok 1980 wykazał, jakie były te fundamenty, a kosztą ówczesnych i późniejszych także metod ponosić będziemy jeszcze przez długie dziesięciolecia. Zarzuca się społeczeństwu brak poczucia praworządności i poszanowania władzy. To nie relikt szlacheckich sejmików — tamte ślady zatarły się w czasie przeszło wiekowej niewoli. To nasza socjalistyczna władza uczyła pogardy dla prawa, dla wszelkich norm pisanych i niepisanych, bez których życie społeczne staje się chaosem i koszmarem. A już wyraźnym cynizmem jest zarzucanie społeczeństwu braku doświadczeń uczestnictwa w demokracji! Istotnie, historia prawie w ciągu dwóch wieków niewiele dostarczyła naszemu narodowi okazji do praktykowania demokracji, ale i te załączki, które mogły przetrwać, choćby jako idee i dążenia, zostały radykalnie wykarczowane przez socjalistyczną teorię i praktykę.

Sprawa demokracji to osobny rozdział naszego życia. Władza ostatnio często posługuje się tym pojęciem, stało się ono już stałym elementem obrzędowej liturgii. Właśnie na ten temat w końcowych wnioskach „Sprawozdania” czytamy:

„przyczyny polityczne kryzysów wiążą się z narastającymi w niektórych okresach sprzecznościami między stanem demokracji socjalistycznej oraz funkcjonowaniem jej mechanizmów... a poziomem oczekiwań społecznych... W świadomości społecznej utrwaliło się przekonanie, że poza okresami bezpośrednio pokryzysowymi, kiedy następował istotny rozwój socjalistycznej demokracji, władza hamowała jej postęp”.

Zamęt w interpretacji pojęcia „demokracji socjalistycznej” osiągnął już rozmiary niebezpieczne dla funkcjonowania komórek mózgowych, czego przykładem może być, że naukowe autorytety z całą powagą analizują demokratyczność naszego systemu, odwołując się do artykułów obowiązującej konstytucji. Najwyższy chyba czas, aby z wyżyn mitologii rzucić choćby okiem na rzeczywistość.

Krótkie przypomnienie z podręcznika. Demokratyczna forma ustrojowa powstała w walce z władzą autorytarną, tzn. z wszelkimi formami despotyzmu, absolutyzmu, dyktatury rozumianej jako stała forma władzy: jednostki, aparatu, junty, uprzywilejowanej grupy i w ogóle jakiejś mniejszości (etnicznej, rasowej, ekonomicznej, ideologicznej, religijnej) nad całym społeczeństwem. Walka ta trwa nieprzerwanie od starożytności i ona właśnie stała się głównym motorem rozwoju w obrębie świata objętego wpływami cywilizacji zachodniej.

Revolucja socjalistyczna, której idea narodziła się w tym właśnie nurcie, dokonała się w warunkach, które same narzuciły jako konieczność autorytarną, maksymalnie scentralizowaną władzę — dyktaturę — dla pokonania niezwykle trudności wszelkiego rodzaju. Było także oczywiste, że forma ta nie będzie tylko przejściowa, na czas utrwalenia się władzy, że upłynie sporo czasu, zanim ten kraj będzie mógł wejść w nurt rozwojowy, z którego socjalizm wziął swój początek. Jak zawsze jednak i we wszystkich systemach społecznych, nasilała się dynamika procesów petryfikacyjnych. Każdy system społeczny po utrwaleniu się dąży do uwiecznienia. Przedstawia się jako ostateczne rozwiązanie problemów ustrojowych, zaprzęga teoretyków i filozofów do uzasadniania, że osiągnięty stan jest najwyższym z możliwych. W ten sposób powstała teoria, że socjalistyczna dyktatura jest ostatnią granicą, do której zmierza ludzkość. Formy udziału mas w ustrojowym przewrocie (rady, związki zawodowe) szybko straciły swą podmiotowość, przestały wyrażać wolę mas, stając się narzędziami, przy pomocy których władza narzucała im swoją wolę.

Kiedy jednak przyszło do opisania utrwalonego już systemu w języku prawa ustrojowego, ustanowienia konstytucji — okazało się to niemożliwe. Jak na tle światowych tendencji uznanych za postępowe, na tle konstytucji krajów zachodnich wyglądałaby socjalistyczna konstytucja, ujmująca w konkretne artykuły rzeczywiste formy systemu opartego na nieograniczonej i niekontrolowanej dyktatorskiej władzy?! Jak przekonać masy pracujące świata, aby szły taką właśnie drogą?

W ten sposób powstało zjawisko unikalne chyba w historii: wykonawca tej dyktatury Stalin nadał swemu krajowi w 1936 roku konstytucję, która nawet w zachodniej Europie byłaby uznana za liberalną. Jej dość wiernym powtórzeniem jest nasza konstytucja z roku 1952. Ustala ona ustrój republikańsko-demokratyczny, w którym najwyższą władzą jest parlament — sejm wybierany w powszechnych, wolnych itd. wyborach. W podobny sposób powstaje samorząd terytorialny różnych szczebli. Obywa-

tele korzystają ze wszystkich wolności i praw, jakie tylko wymyślono od czasów Rewolucji Francuskiej. Nie ma w konstytucji śladu, który pozwoliłby się domyślać, że w rzeczywistości istnieje w kraju jeszcze coś innego, inna władza, inne decydujące czynniki. W ten sposób konstytucja stała się parawanem, za którym istniał i umacniał się ustrój rzeczywisty, autorytarna niekontrolowana przez żaden czynnik społeczny władza, a wszystkie przewidziane konstytucją formy demokratyczne zmieniły swą funkcję — stały się narzędziem podporządkowywania społeczeństwa władzy. Paradoksem w tej sytuacji jest, iż faktyczna dyktatorska władza jest w świetle obowiązującego prawa władzą nielegalną — stoi poza prawem.

Na pewno nie jest łatwo organizować państwo na podstawach łączących rzeczywistość z fikcją — w tym też niewątpliwie tkwi jedna z przyczyn naszego organizacyjnego niedowładu.

Na 60-lecie rewolucji Październikowej postanowiono dokonać kroku zbliżającego konstytucję do stanu faktycznego — wprowadzić do niej rolę partii jako czynnika decydującego, ale zarazem nie naruszać całej demokratycznej fasady. Wprowadzono po prostu klauzulę, iż kierowniczą rolę w państwie pełni partia komunistyczna.

W Polsce odbyła się dyskusja, tzw. konsultacja ze społeczeństwem nad poprawką do konstytucji. Miała ona przebieg dosyć burzliwy. Żadnego wpływu oczywiście nie wywarła. (Chociaż — jeśli wierzyć zakulisowej plotce — wśród wielu propozycji i uwag, jakie napłynęły, pewne wrażenie miał zrobić także list niżej podpisanego, który zwrócił uwagę, że jeśli Komisja wprowadzi formułę, iż partia pełni rolę kierowniczą — może sobie podzielać całą resztę konstytucji. To na prawników trochę podziało. Zaczęto szukać mniej obligatoryjnego terminu i jako kompromis zaproponowano „rolę przewodnią”, co w prawniczej terminologii nie znaczy nic, ewentualnie tyle, co uznanie za instytucję wyższej użyteczności).

Wprowadzenie do konstytucji przepisu, że partia jest „przewodnią siłą polityczną społeczeństwa” pociągnęło za sobą inną konsekwencję. W oficjalnych i propagandowych deklaracjach pierwotna propozycja pozostała, podkreśla się stale, iż „partia pełni kierowniczą rolę w państwie i przewodnią w społeczeństwie”. — Jest to wyraźnie hasło antypaństwowe, wzywa do obalenia konstytucji i winno być przez odpowiednie organa ścigane. (*Nota bene* niekaralne byłoby przedstawienie „przewodnia w państwie i kierownicza w społeczeństwie” — ponieważ to bezpośrednio nie obraża konstytucji!)

Niespodziewanie w ostatnich dniach otrzymaliśmy oficjalne potwierdzenie powyższego wywodu o pozalegalnym charakterze na-

szych naczelnych władz. Komisja sejmowa badająca opowiedziałność przywódców poprzedniego okresu orzekła, iż nie podlegają oni (np. Edward Gierek) konstytucyjnej odpowiedzialności, ponieważ konstytucja PRL nie przewiduje w ogóle takich instytucji jak Biuro Polityczne czy Komitet Centralny.

Na marginesie tego krótkiego wyjaśnienia nasuwa się refleksja: żyć z fikcją trudno, ale porozumieć się z nią — w żaden sposób.

„Sprawozdanie” wstrzymuje się od udzielania rad, co należałoby robić, co ewentualnie zmienić, w jakim kierunku sterować. Ogranicza się do przestróg, aby unikać błędów i zwalczać rewizjonizm. W jednym tylko zdaniu zarysowało się coś w rodzaju szczyliny z widokiem na przyszłość. Po stwierdzeniu, że właściwie spełniana przez partię „kierownicza rola w państwie i przewodnia w społeczeństwie” rozwiązuje problem socjalistycznej demokracji, następuje takie oto ciekawe zdanie:

„W miarę rozwoju socjalizmu sprawa przewodniej roli i bezpośredniego wpływu partii na całe społeczeństwo, wszystkie jego środowiska i wszystkie pokolenia, nabiera coraz większego znaczenia”.

Prostuje to naiwne wyobrażenia, jakie mogli żywić niektórzy, iż rozwój socjalizmu może się także wiązać ze wzrostem wpływu społeczeństwa na władzę. Proces — jak wynika z tej wizji — będzie odwrotny — wzrastać będzie bezpośredni wpływ partii na całe społeczeństwo. Nie będzie „dyktatury proletariatu”, bo całe społeczeństwo będzie proletariatem, który nie miałby nad kim dyktatury sprawować. Zastąpi ją zwyczajna dyktatura partii. *Quod erat demonstrandum.*

W oficjalnym politycznym języku roi się od pojęć i terminów pełniących ważne ideologiczne funkcje, które czasem nie mają żadnego określonego znaczenia, czasem są wspomnieniami przeszłości, często zaś po prostu paradoksami, nad których treścią nikt się nie zastanawiał. Na niektóre z tych pojęć zwracaliśmy już uwagę. Warto przytoczyć jeszcze dwa przykłady.

W mitologizowaniu IX Zjazdu partii szeroką popularność zdobył sobie slogan mający być syntezą jego uchwał: „Socjalizm — tak, wypaczenia — nie”! Jeden z publicystów skomentował: „Bez przyjęcia tej tezy wszelkie rozważania na temat rozwoju socjalizmu tracą sens”. A czy po przyjęciu odzyskują? — Gdy kaznodzieja mówi do wiernych: „Cnoty — tak,

grzechy — nie!”, może to nie wywrzeć większego wpływu, ale sens ma, ponieważ między cnotą i grzechem jakąś granicę przeprowadzić można — choć i tu możliwe są różnice zdań. Ale gdzie i od czego zaczynają się „wypaczenia”? Przecież na wszystkich etapach naszej historii władza realizowała wyłącznie socjalizm, a wychodziło co? — wypaczenia. Nie podejrzewamy przecież władz, że umyślnie... (choć były i takie czasy). Niestety, o tym że coś było wypaczeniem można się dowiedzieć dopiero poniewczasie, niekiedy nawet dopiero po śmierci wypaczonego. Ustrój nie wymyślił jeszcze metody stwierdzania tego w trakcie wypaczania, a nawet się energicznie przed takimi próbami broni.

Druga refleksja dotyczy „realnego socjalizmu”. Pojęcie socjalizmu stało się kłopotliwe z powodu jego wieloznaczności — prawie każdy człowiek ma nieco inne w związku z tym skojarzenia i trochę inaczej go sobie wyobraża, a ludzie na pytanie, czy są za socjalizmem, przeważnie odpowiadają — tak, ale z poprawkami. Aby uniknąć zbyt szczegółowych i kłopotliwych wyjaśnień i nieporozumień, skorzystano z pomysłu autora pierwszej polskiej encyklopedii sprzed 250 lat (patrz: Benedykt Chmielowski, *Nowe Ateny* itd.) i jego sławnej definicji: „Koń jaki jest każdy widzi”. Otóż właśnie — socjalizm jaki jest każdy widzi — czyli „realny socjalizm”. Definicja ta ma jedną ważną zaletę — jest przekonywująca. Każdemu, kto by miał zastrzeżenia do „realnego socjalizmu”, pozostaje tylko „socjalizm nierealny” — a taki zapewne wielu zwolenników nie znajdzie.

Sąd nad tradycją

Wyrażna odmiennność przebiegu historii PRL w stosunku do pozostałych krajów demokracji ludowej jest tematem wielu spekulacji, częściej zresztą w płaszczyźnie aktualnej polityki niż ogólniejszej refleksji historycznej i socjologicznej. Co jest przyczyną naszych kryzysów politycznych, napięć i konfliktów, które przybrały już charakter cykliczny? Co jest przyczyną niepowodzeń naszych planów gospodarczych, przybierających, jak ostatnio, charakter wręcz katastrofy? W rezultacie dlaczego przy stałym marszu naprzód znajdujemy się coraz bardziej w tyle w stosunku do otaczającego świata?

Przyczyn wymienienia się wiele. Niewątpliwie istotną rolę odgrywają „błędy” w koncepcjach i metodach — niekiedy aż nazbyt rażące. Ale to nie wyjaśnia jeszcze sprawy. Ostatecznie wiele podobnych błędów popełniają i nasi sąsiedzi bez takich katastrofalnych skutków. Nasze kierownicze czynniki główną przyczynę chcą widzieć w społeczeństwie, w jego historycznych obciążeniach,

które spowodowały niedorozwój cech wymaganych przez współczesny wyścig techniki i wyspecjalizowanej organizacji. Warunkiem nadążania za współczesnością jest wysoki poziom społecznej dyscypliny, podporządkowanie kierowniczej myśli, podczas gdy w naszym społeczeństwie dominuje skłonność do indywidualizmu i anarchii. Tu od razu narzuca się uwaga, że pojęcie dyscypliny społecznej traktują nasze władze — zgodnie z teoretycznymi założeniami systemu — na całkowicie odmiennej płaszczyźnie, niż przyjęło się to we współczesnej cywilizacji: nie jako zgodność i podporządkowanie racjonalnym metodom praktycznego działania, lecz jako zgodność i podporządkowanie ogólnym ideologicznym założeniom systemu. Tam, gdzie organizacja i wydajność pracy osiągnęły najwyższy poziom, obojętne jest co sobie myśla poszczególni pracownicy, jaką wyznają ideologię, jaki mają stosunek do władzy i do ustroju. Ci, którzy zaczynają od przekształcenia psychicznej i intelektualnej postawy ludzi, nagięcia jej do własnych wymogów, tworzą przesłanki wewnętrznego oporu, dystansu wobec wykonywanych zadań, sprzyjają rozkładowi społecznej dyscypliny. Pomijając już, że na daleki plan odchodzi problem podstawowy: skupienie uwagi na racjonalnym wykonywaniu zadań, co jest podstawowym czynnikiem nowoczesnego rozumianej dyscypliny.

Głównym oskarżonym jest tradycja kumulująca się przez stulecia od szlacheckiej anarchii, nieuznawanie nadrzędności interesów państwa i autorytetu władzy. Przyznaje się, że tradycja ta w okresie rozbiorów mogła pełnić pozytywną rolę w dążeniach wyzwoleńczych, ale pozostała jako wpojone dziedzictwo po odzyskaniu niepodległości. Wszystkie te cechy narodowe wymieniają obydwa omawiane powyżej dokumenty jako jedną z ważnych przyczyn naszych bied. Wniosek stąd prosty: ponieważ wobec całkowitej zmiany warunków narodowego i państwowego życia cechy te nie mają żadnego obiektywnego uzasadnienia, są reliktem minionych epok, należy dążyć do ich usunięcia, do resocjalizacji społeczeństwa, wpojenia mu nawyków myślenia i zachowania odpowiadających obecnym warunkom i potrzebom.

Powstaje tu zasadnicza wątpliwość, czy istotnie sprawa rozgrywa się na płaszczyźnie subiektywnych nawyków świadomości i zachowań nie mających już uzasadnienia w obiektywnej rzeczywistości? Wielu teoretyków a jeszcze częściej praktyków przypisuje tradycyjnym nawykom doniosłą rolę i chyba nie bezpodstawnie. Ale z drugiej strony wiadomo także, iż adaptacyjne zdolności człowieka są ogromne, większe niż się potocznie sądzi. Ostatnia wojna dostarczała w masowej skali przykładów, w których zbiorowiska ludzkie w najbardziej nieprawdopodobnych sy-

tuacjach potrafiły w krótkim czasie nie tylko zmienić zachowanie, ale i sposób myślenia, ustalić nową hierarchię wartości, nowy typ międzyludzkich stosunków. Można na ten temat sformułować zasadę: *jeśli ludzie w zmienionych sytuacjach uporczywie zachowują stare nawyki, stanowi to dowód, iż w tych nowych warunkach jest coś, co te tradycje podtrzymuje, daje im obiektywne uzasadnienie.*

Skłonność do wyolbrzymiania roli tradycji i pomniejszania wpływu aktualnej rzeczywistości bierze się stąd, że wielu, zwłaszcza polityków, sądzi, iż łatwiej jest zmienić człowieka niż rzeczywistość, kierują więc uwagę na to, co wydaje im się łatwiejsze.

Jest jednak jeszcze inna, głębsza warstwa problemu. Tradycję obejmującą cały kulturowy dorobek potocznie traktuje się jako wartość zachowawczą, konserwatywną, z której czerpiemy dla kontynuacji życia, ale która stawia opór, staje w konflikcie z zachodzącymi w życiu zmianami. Jest to prawda dawno odkryta, ale niezupełna i nie zawsze prawdziwa. Ma bowiem tradycja także głębsze dno, wiążące ją z ogólniejszymi prawidłowościami historycznych procesów zachodzących w poszczególnych nurtach cywilizacyjnych.

Dwie największe strefy cywilizacyjne o najdobitniej ukształtowanych w ciągu tysiącleci cechach nazywamy Wschodnią — która najbardziej skryształizowane formy przybrała w Chinach — i Zachodnią, której źródłem był obszar śródziemnomorski z Grecją na czele, a która potem rozszerzyła się na Europę i dalej. Różnice między tymi nurtami cywilizacyjnymi od dawna są przedmiotem sporów, w których panuje wiele niejasności i zamętu. Zasadnicza różnica polega na tym, że Wschód kształtował się pod przemożnym wpływem procesów petryfikacyjnych, towarzyszących życiu społecznemu od jego początków. Dynamika tych procesów prowadziła do utrwalenia istniejących form i struktur; ich zamrożenia, obrony przed — również naturalnymi — tendencjami do zmian.

Przełamanie tego pierwotnego petryfikacyjnego mechanizmu polegało na uwolnieniu społeczeństwa z więzów despotycznej władzy, wyzwoleniu czynnika ludzkiej inwencji, przede wszystkim zaś na oswobodzeniu ludzkiej myśli — wszak ten czynnik wyróżnił człowieka od reszty biologicznego świata. Myśl ludzka wniosła do społecznego życia przeciwną petryfikacji dynamikę przemian, rozwoju. Umysł raz uwolniony nie dał się już uwięzić mimo wielu podejmowanych prób. Odrodzony w okresie Renesansu nurt przemian objął Europę, głównie zachodnią — w tym nurcie powstał kapitalizm, narodziła się idea socjalizmu, a myśl ludzka nadała procesom przemian nieprawdopodobne tem-

po, doprowadzając do zdumiewających odkryć — choć zarazem tak groźnych dla dalszych losów cywilizacji i ludzkości.

Ogólny kierunek procesów cywilizacji zachodniej to permanentne przełamywanie tendencji petryfikacyjnych właściwych wszelkim systemom społecznym na każdym szczeblu ich rozwoju — ponieważ system społeczny, aby funkcjonować, musi się utrwalić, a utrwaliwszy się dąży do uwiecznienia. To właśnie jest nieustającym źródłem społecznych konfliktów.

O zachodnich powinowactwach Polski mówi się często, aprobując lub krytycznie — jedni odwołują się do tradycji greckolacińskiej, inni skłonni są traktować zachodnie ciągoty jako rodzaj mody, np. na francuskie modele damskich kapeluszy. Z reguły jednak wiąże się to z humanistyczną kulturą zachodnich krajów, z którą Polska pozostawała przez wieki w bliskim kontakcie i pod wpływem. Innymi słowy wiąże się to z kulturowym dorobkiem jako zachowawczym czynnikiem tej cywilizacji, rzadziej natomiast dostrzega się rolę związków z kierunkiem dynamiki procesów społecznych.

Dziwnym kaprysem historii w ogólnej antydespotycznej tendencji właściwej tej cywilizacji Polska zajęła pozycję pionierską. Wcześniej uwolniła się od autokratycznej monarchii, zdobyła prawa obywatelskie (polskie: *neminem captivabimus* było o dwa i pół wieku wcześniejsze od angielskiego *habeas corpus act*) — stała się państwem demokratycznym. Oczywiście demokracją szlachecką — z jedną wszakże osobliwością: że szlachta stanowiła w tym państwie ok. 11 % ludności, podczas gdy w krajach zachodnich ilość ta oscylowała wokół 1 %, przy czym większość stanowiła szlachta „szaraczkowa”, ekonomicznie niewiele różniąca się od chłopów. Była to niewątpliwie swoista cecha demokratyczności tego systemu.

W żadnej mierze nie chodzi tu o apologię przedrozbirowej Polski. Prawie wszystko, co powiedziano dotychczas o wewnętrznych przyczynach rozbiorów jest nie do zakwestionowania. W otoczeniu trzech zaborczych imperializmów kraj zanarchizowany, niezdolny ani do demokratycznej decyzji, ani do centralnej egzekutywy, musiał stać się łatwym łupem. Ale należy także pamiętać o okoliczności, która spowodowała, że w ostatnich latach XVIII wieku dla trzech sąsiednich monarchii Polska stała się potencjalnym zagrożeniem. Rewolucja Francuska zachwiała ustalonym porządkiem Europy, obaliła feudalny system ustrojowy, ogłosiła program wyzwolenia się ludów spod władzy despotów, deklarowała prawa człowieka i obywatela. I właśnie w Polsce hasła te znalazły najżywszy oddźwięk. Na spojeniu trzech głównych sił stojących na straży porządku pojawił się przerzut groźnej

choroby. Nastąpiło to, czego i dziś w światowej skali jesteśmy często świadkami — profilaktyczna likwidacja zapalnego ogniska. Zwracamy uwagę na ten czynnik, ponieważ sama anarchia i bezrząd nie są dostatecznym wyjaśnieniem — pod tym względem Polska nie była znów takim wyjątkiem.

Okres rozbiorowy antydespotyczną tradycję nasilił, połączył z wyzwolenческими dążeniami. Udział Polaków we wszystkich wolnościowych i rewolucyjnych ruchach Europy był dla nich moralnym obowiązkiem, potwierdzeniem ich w tej dziedzinie pionierstwa.

Paradoksem jakich nie szczędzi ludzkości historia było, iż rewolucja ustrojowa po drugiej wojnie przysłała do Polski w szacie skrojonej dla całkiem innej postaci — wielkiego imperium o diametralnie przeciwnych tradycjach, ukształtowanych przez despotyzm bliski wschodnim wzorom. Nie chodzi tu o krytykę sowieckiego modelu socjalizmu. W tamtych obiektywnych warunkach inny być nie mógł — jako że ludziom zdaje się tylko, że mogą unieważnić rzeczywistość, przesłakiwać, dowolnie nagiąć jej kształt. Do modelu sowieckiego, do kierujących nim ludzi można mieć tylko dwie pretensje: że uznali ten model za uniwersalny i jedyny obowiązujący dla wszystkich socjalistycznych rewolucji, w jakichkolwiek dokonywałyby się warunkach, oraz że ustalając autorytarny system władzy, w ich warunkach zapewne adekwatny — nie zabezpieczyli się przed ważnym niebezpieczeństwem nasilenia się procesów petryfikacyjnych, uniezależnienia strukturalnych form od zachodzących wewnętrznych zmian. Procesy te bowiem zachodzą we wszystkich systemach ustrojowych, z tym że władza autorytarna nie tylko nie tworzy przed nimi zabezpieczeń, ale nawet traktuje je jako pożądane umocnienie systemu. Choć przecież cała historia wykazała ich rolę w hamowaniu rozwoju.

Ten właśnie model socjalizmu nie mógł nie zderzyć się w Polsce z tradycją ukształtowaną w całkiem odmiennym nurcie ustrojowym. Tradycja ta obok i niezależnie od zawartych w niej zachowawczych kulturowych elementów jest także odbiciem długofalowych tendencji rozwojowych. W społeczeństwie polskim ten system organizacji władzy i jej udziału w społecznym i państwowym życiu musi być odczuwany nie jako postęp, lecz przeciwnie — jako cofnięcie się do dawno przebytej fazy rozwojowej.

Rezultat trwających obecnie procesów ujawni dopiero przyszła historia, ich przewidzenie jest z zasadniczych przyczyn niemożliwe; jak dotąd wszystkie prognozy rozmiąły się, często dramatycznie, z drogą, jaką wybrała sobie historia. Prawda, że wybrała ją na podstawie ludzkich działań — człowiek jest bowiem rzeczywiście twórcą historii, ale twórcą bardzo szczególnym — jego

energia daje impuls zjawiskom w środowisku społecznym i jego otoczeniu, ale uruchomiwszy skomplikowane mechanizmy traci nad nimi kontrolę (nazwano to prawem ergodyczności systemów społecznych). Człowiek tworzy historię, ale jaką — to sprawdzają dopiero następne, często odległe pokolenia.

Spółeczeństwo a władza

„Nie ma zaufania mas do władzy bez zaufania władzy do mas”. Taki transparent nieśli robotnicy Żerania w pierwszym po Październiku pochodzie 1-majowym. Hasło to ujawnia istotę stosunków między społeczeństwem i władzą na przestrzeni całych prawie 40-tu lat. Metoda przeszczepiania socjalizmu na polski grunt do złudzenia przypominała znane z historycznych opisów nawracanie pogan na chrześcijaństwo. Nowa władza oznajmiła ludności, że jej wierzenia są fałszywe, że musi wyrzec się dotychczasowych poglądów, tradycji, nawyków i przyjąć prawdziwą wiarę, bo tylko w ten sposób może stać się członkiem powstającej socjalistycznej społeczności. Żądanie było kategoryczne, nie zostawiało miejsca na dyskusje czy kompromisy — każdy, kto nie staje po stronie nowej władzy i jej wiary, staje po stronie wrogów. Władza żądała manifestacyjnego poparcia, organizując specjalne obrzędy i uroczystości, które miały do tego zachęcać czy wręcz zmuszać.

Dotykamy tu zjawiska, którego komunistyczna mentalność nigdy nie była w stanie zrozumieć. Społeczeństwo wychowane w klimacie walki o wolność inaczej objawia swój stosunek do władzy, nawet akceptowanej, niż społeczeństwo ukształtowane w tradycjach władzy autorytarnej, despotycznej. Nie ma w Polsce tradycji „ubóstwienia” władzy, uznania jej za wyraz woli sił wyższych czy praw historii — toteż przejawy przenikłego i do nas w swoim czasie „kultu jednostki” były dla opinii polskiej czymś całkowicie egzotycznym. Na szacunek musi władza sobie zasłużyć. To nie brak szacunku dla władzy, zarzucany naszemu społeczeństwu — to po prostu świadomość obywatelskich praw, przekonanie, że zadaniem władzy jest rządzić, a prawem czy nawet obowiązkiem obywatela jest mieć własny do tych rządów stosunek.

Ilustracją tego problemu może być postać Józefa Piłsudskiego — zaktualizowana obecnie, ponieważ wyjęto ją spod zakazów cenzury, a nawet nasza własna władza użyła jej w swej propagandzie jako przykładu stawiania na pierwszym miejscu interesów państwa. W legendzie był to wódz narodu o wielkim, niekwestionowanym autorytecie. Istotnie. Ale żyjący jeszcze świadkowie tamtych czasów pamiętają, że stosunek społeczeństwa by-

najmniej nie tak się układał. Jego socjalistyczne tradycje od początku przeciwstawiły mu, i to w sposób gwałtowny, całą pravicową opinię, której wpływy w Polsce były duże. Stosunek zaś socjalistycznej, ludowej i liberalnej lewicy przechodził dramatyczne fazy od pełnego poparcia do ostrej opozycji — co z kolei złagodziło stosunek do niego w obozie pravicowym. Ale osobliwością dla dzisiejszych pojęć było co innego: oto rosnący stopniowo kult osoby Piłsudskiego nie przenosił się na stworzony przezeń rząd. Zainicjowany przez rządy pomajowe ruch polityczny znany pod nazwą sanacji nigdy nie zdobył szerokiej popularności, a ta którą zdobył w późniejszym okresie doszczętnie stopniała. W opozycji znalazło się nawet sporo uwielbiających swego „Komendanta” i „Dziadka” byłych legionistów. W naszych czasach w pewnej mierze powtórzeniem takiego podziału między zaufaniem do osoby i do kierowanej przez nią władzy był stosunek mas do Władysława Gomułki w pierwszym okresie po 1956 roku, zanim rozwiało się także zaufanie do osoby.

Żądanie bezwarunkowego i manifestacyjnego poparcia władzy społeczeństwo polskie uważa za obyczaj przyniesiony z innego świata. Dla takich manifestacji musiałyby istnieć specjalne powody, ważniejsze od poparcia aktualnej polityki, nawet gdyby uważano ją za słuszną. W normalnym życiu Polak manifestacjami na cześć władzy się brzydzi i zawsze będzie podejrzliwy co do ich intencji. Przymus manifestacji na cześć władzy, żądanie wierнопoddanych deklaracji jest zjawiskiem z innego kręgu cywilizacyjnego. Niektóre związki, tworzone obecnie po rozwiązaniu dawnych, żądają od wstępujących przyrzeczenia przestrzegania konstytucji. Dotychczas ślubowanie takie składali prezydenci i królowie w państwach konstytucyjnych — konstytucje bowiem wymyślono jako obronę praw obywateli przed nadużyciami władzy. Dziś czasy się zmieniły — prawa wróciły do swej roli sprzed tysięcy lat, mają zabezpieczać władzę przed obywatelami.

O reakcji i kontrrewolucji

Władza nie szczędzi naszemu społeczeństwu surowych ocen ze sprawowania. W roku 1945 było ono w większości reakcyjne, w latach 1980-1981 kontrrewolucyjne, a w międzyczasie i takie, i takie. Naturalnie problemami socjologii władzy nasza rządząca elita się nie zajmuje, nie wie i wiedzieć nie chce, że w państwie autorytarnym społeczeństwo jest wierną odbitką władzy, jej portretem w jednej z dwu możliwych wersji pozytywu lub negatywu („pokażcie mi społeczeństwo, a powiem wam, jaką ma władzę”). W państwie autorytarnym, w którym

społeczeństwo pozbawione jest własnej osobowości (podmiotowości), władza decyduje o kształcie świadomości, jej polityka wpływa bezpośrednio na zachowanie i reakcje mas. Dramat zaczyna się tam, gdzie społeczeństwo nie chce zrezygnować ze swych praw — i zrezygnować z historyczno-kulturowych racji nie może. Wówczas poczynania władzy osiągają diametralnie przeciwne skutki. Metody różnego rodzaju nacisku, mające zdyscyplinować masy, stają się czynnikiem rozprężenia, indoktrynacja zaś, ideologiczne wychowanie w sposób żywiołowy umacnia poglądy przeciwnie, często na zasadzie czystej negacji. Takim właśnie „czarodziejem *à rebours*” jest nasza władza.

Nie ulega wątpliwości, że na postawę naszego społeczeństwa wpływają nie tylko, i nawet nie przede wszystkim aktualne warunki życia — w znoszeniu wszelakich trudności ma ono spory trening. Dominującą rolę w kształtowaniu społecznego klimatu odgrywa perspektywa: ku czemu idziemy, jaki sens ma to wszystko, co się z naszym udziałem rozgrywa? W tej właśnie dziedzinie (jedynej!) partyjna władza zachowuje się z żelazną konsekwencją: perspektywą jest to, co jest — „realny socjalizm” — naturalnie ulepszony, aby było co jeść, w co się ubrać i gdzie mieszkać, ulepszona będzie także władza, która energiczniej niż dotąd kierować będzie „całym społeczeństwem, wszystkimi jego środowiskami i wszystkimi pokoleniami”.

Nie potrzeba specjalnej wnikliwości, aby się domyslić, że program taki całe nasze społeczeństwo odrzuca, oznaczałby on bowiem hańbiącą kapitulację społeczeństwa, narodu, państwa, rezygnację z wszelkich praw, jakie każdej społeczności nadaje historia, zrzeczenie się odpowiedzialności za siebie i swoje losy.

Celem powszechnie uznanym — a ściślej środkiem do osiągnięcia przyszłych celów — jest demokratyzacja. Ponieważ znaczenie tego pojęcia niebezpiecznie się zaciemniło, powstaje pytanie — jak a? Nie burżuazyjna, bo jakże ją robić bez burżuazji? (*A propos*: czy przypadkiem nie o to chodziło Marksowi? Także nie socjalistyczna — przynajmniej w tych pokrętnych znaczeniach, jakie się temu pojęciu nadaje, a z których ma wynikać, że najnowocześniejszą formą demokracji jest dyktatura (pogląd kłopotliwy, mogłoby z niego wynikać, że np. najlepszą kwoką dla kurcząt byłby jastrząb). Chodzi o demokrację zwykłą — społeczną, zgodną z prawami człowieka i z logiką społecznego rozwoju. Uznanie racji tego powszechnego dążenia, ukazanie perspektywy pogodzenia tego postulatu z istniejącym systemem ustrojowym — to chyba jedyna płaszczyzna porozumienia społeczeństwa z władzą.

Oczywiste, że w obiektywnych polskich warunkach, w układach powstałych po drugiej wojnie stwarza to problemy niezwykle trudne i drażliwe. I nie jest prawdą, że społeczeństwo na te warunki i ograniczenia było ślepe — tylko że na tej płaszczyźnie nikt z nim rozmawiać nie chciał! Dążenia te zostały pryncypialnie potępione jako wrogie i kontrrewolucyjne, sprzeczne z interesem narodu i państwa; żądano od społeczeństwa, aby je potępiło i wyrzekło się ich na zawsze. Żądanie, niestety, nie do spełnienia.

Nie jest także prawdą, że ewolucja w tym kierunku w konkretnych polskich warunkach jest niemożliwa. Zapewne była trudna do wyobrażenia w ciągu pierwszych powojennych lat, kiedy niepodzielnie panowała stalinowska filozofia komunizmu i kominternowska taktyka jego realizacji. Od tego czasu zaszło wiele zjawisk o niemałym znaczeniu: kompromitacja stalinowskich metod, coraz jawniejsze „niedostosowanie” dogmatu o jedności modelu socjalistycznego ustroju, na co zwracają uwagę komuniści zachodni, szukając dla swych krajów bardziej dostosowanych wzorów; odgrywają również rolę doświadczenia polskie wskazujące na konieczność jakiejś adaptacji tego modelu do polskich warunków. Upór w kontynuowaniu tej drogi pcha nasz kraj ku tragedii. Oczywiście los Polski mógłby głównych decydentów nie obchodzić, gdyby nie fakt, że rzutuje on na sytuację w całym obozie i szerzej — na cały ruch lewicowy na świecie.

Tylko ograniczeniu i tępemu przywiązaniu do takich kominternowskich kategorii myślenia, ślepoty na wymowę 40-lecia doświadczeń, wreszcie zwykłemu tchórzostwu naszej rządzącej ekipy przypisać trzeba, że sprawa przystosowania form ustrojowych tego kraju do jego potrzeb, jego politycznych i kulturowych tradycji nie została dotychczas postawiona. Nie ma bowiem żadnych racji, które wskazywałyby, że demokratyzacja Polski osłabiłaby jedność obozu i podważyła stosunki ze Związkiem Sowieckim — to raczej stan obecny te stosunki podważa. Odpowiedzialność za to spada na rządzącą elitę — trudno bowiem wymagać aby sowieccy przywódcy byli lepszymi polskimi patriotami i lepiej rozumieli polskie warunki i potrzeby. Nie wydaje się także prawdopodobne, aby kierownicy sowieckiej polityki zlekceważyli przedstawienie im przez naszą władzę polskich problemów, trudności i konieczności — ukazanych oczywiście z nieco większym sensem niż zrobiła to specjalna partyjna Komisja. To nasza władza, zasłaniająca się, że robi tylko to, co może się podobać sowieckim przywódcom, zrzuca z siebie odpowiedzialność, kieruje nastroje społeczne w tamtą stronę.

Oddajmy sprawiedliwość naszemu narodowi, który mimo

swych wolnościowych i anarchicznych skłonności doceniał także walory dyktatury, znał historię starożytnych Rzymian, którzy tę formę władzy wymyślili jako najodpowiedniejszą na czas zagrożenia. Toteż nasi przodkowie szukali dyktatora w czasie powstania Listopadowego i Styczniowego. Paradoksalnie okazało się, że w Polsce trudno o kandydata na dyktatora! Bronił się przed przyjęciem tej funkcji Chłopicki, a przyjąwszy właściwie jej nie sprawował, fikcyjnym dyktatorem był Traugutt, a także później najbardziej autorytatywny z postawy Piłsudski był zaledwie pół-dyktatorem i daleko mu było do zachodnich czy wschodnich wzorów (*nota bene* warto pamiętać, że rzymską tradycję dyktatury mieli na myśli zachodni rewolucjoniści XIX wieku — nowoczesne pojęcie dyktatury jako formy władzy nie tylko totalnej ale i wieczystej, przynajmniej tysiącletniej, powstało dopiero w naszym stuleciu).

W Polsce bunt przeciwko dyktaturze nie jest buntem przeciwko „silnej władzy”, lecz przeciwko celom, jakim ta władza ma służyć. Gdyby przyłożyć ucho do tętna społecznego życia, bez trudu wyczułoby się tęsknotę tego znękanego narodu do silnej władzy. Społeczeństwo ma dosyć chaosu panującego w naszym życiu, dosyć dezorganizacji, indolencji i niekompetencji w załatwianiu najprostszych nawet spraw, ma dosyć demoralizacji, dosyć beznadziejności, sytuacji kiedy wszyscy mówią o sprawach, w których panuje ogólna niemożność. Ma dosyć władzy, która nie widzi, że jej własny aparat jest siewcą i nauczycielem anarchii. Dosyć życia w fikcyjnym świecie, w którym temu co się mówi przeczy rzeczywistość, w którym największe słowa mające stanowić pokarm dla ducha, oświecić drogę, zostały zeszmaczone, budzą odruch samoobrony. Trudno temu społeczeństwu pogodzić się z władzą, która jest celem dla siebie i której głównym zadaniem jest umacnianie swej władzy.

Nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że „kontrewolucję” w Polsce karmiła i podsyciała przez cały czas nasza władza — ustawiała na tych pozycjach społeczeństwo, ponieważ łatwiej i z lepszym moralnym samopoczuciem walczy się z kontrewolucją niż z demokratycznymi tendencjami. Sytuacja ta pociągała za sobą wielorakie skutki: zamęt w świadomości — po obydwu stronach ztracały się kategorie racjonalnego myślenia politycznego, co jest dobre a co złe dla narodu i państwa, co możliwe a co niemożliwe, co dziś a co w przyszłości.

Stan wojenny mógł być wyborem nadzwyczajnych środków dla opanowania wewnętrznego chaosu, ułatwienia doraźnych działań dla powstrzymania gospodarczej katastrofy — z perspektywą powrotu do racjonalnych metod szukania rozwiązań dla proble-

mów tak jaskrawo ujawnionych wydarzeniami lat 1980-1981. Mógł — ale dla ludzi, którzy na całe prawie 40-lecie spojrzeliby mniej pijanym wzrokiem niż partyjna komisja. Potwierdziło się, że dla władzy, dla całego jej aparatu możliwość była tylko jedna — powrót do starych wypróbowanych metod w nieco tylko zmienionych dekoracjach, z odświeżonymi hasłami zaczerpniętymi z „solidarnościowego” języka: dyktatura przepasała się szarfą „niezależności” i „samorządności”.

Był taki moment, kiedy mogło się zdawać, że zjawiała się możliwość jakiegoś wariantu: zajęcie czołowej pozycji w partii i rządzie przez przedstawiciela wojska. Partia zdążyła w ciągu tylu lat wykopać między sobą i społeczeństwem głęboką fosę, której przebycie wymaga już pływackich talentów — wojsko w powszechnym odczuciu było czymś ogólnonarodowym, a więc i bliższym masom. Wydawać się mogło, że nowy przywódca odegra rolę łącznika między partyjną władzą a społeczeństwem, dostrzeże także racje drugiej strony — niezależnie od form, w jakich się one w tych nasyconych emocjami czasach wyrażały. Ale złudzenia takie, jeśli je kto żywił, rozwiąły się szybko. Nowy przywódca pojął swoje zadanie jako obronę władzy przed społeczeństwem, przyjął tradycyjną metodę „kręcenia młynka” z partyjnymi modlitwami (to sposób modłów buddyjskich mnichów). Rząd powołał nawet specjalnych przedstawicieli dla łączności z masami, których głównym zadaniem było przekonywanie społeczeństwa, jak głupia i szkodliwa jest jego nieufność do władzy, która ma szczere intencje i mądre programy. W poszukiwaniu łączności nikt nie wpadł na pomysł, aby powołać także przedstawiciela społeczeństwa, okazało się bowiem, że w tym systemie nie ma nawet możliwości doszukania się czegoś takiego! Jakimż odkrywcą byłby u nas rządca, który stanąłby między aparatem władzy a społeczeństwem, starał się pogodzić i zrozumieć interesy obu stron!

Właśnie ostatnio nasze czynniki restaurują legendę Władysława Gomułki, przemilczając jednak, że tym co go wyróżniło spośród komunistycznych przywódców nie było jego niesławne zejście ze sceny w grudniu 1970 roku — w tym miał naśladowców. Jeden akt uczynił z niego zjawisko unikalne — kiedy w 1956 roku w sytuacji ostrego konfliktu między społeczeństwem a władzą stanął po stronie społeczeństwa, wypowiedział kilka zdań pokrywających się z przekonaniami szerokich mas. Cóż to było za święto dla całego narodu, usłyszeć władzę mówiącą ludzkim głosem! Choć — szczegół to ważny — przemawiał jeszcze jako prześladowany opozycjonista, do władzy wrócił dopiero następnego dnia!

O zagrożeniach i zadaniach

Socjalistyczna władza zawsze — bynajmniej nie dopiero od czasu, gdy na jej czele stanął przedstawiciel wojska — myśli o społeczeństwie kategoriami militarnymi i takimi też metodami chce rozwiązywać wszystkie społeczne i polityczne problemy. Według tej filozofii społeczeństwo składa się ze zwolenników i wrogów władzy, co samo narzuca zadania: w oparciu o zwolenników trzeba wrogów rozbić, sparaliżować, aby już nigdy nie mogli władzy przeszkadzać. Wrogowie są „totalni” — nie ma większego znaczenia, kto się za czym opowiada, przeciwko czemu protestuje, liczy się tylko, po której stronie frontu się znalazł.

Polityka ta doznaje wstrząsu, kiedy okazuje się, że wrogów jest o wiele więcej, a zwolenników o wiele mniej, niżby to wynikało z utrwalonych przekonań i kalkulacji. Dla władzy myśłacej kategoriami „cywilnymi” stwarzałyby to trudne problemy społecznej i politycznej natury, których rozwiązania trzeba by szukać. W kategoriach militarnych sprowadza się to do kwestii niemal czysto technicznej — zastosowania odpowiednich sił i środków dla osiągnięcia zwycięstwa. Nasuwa się tu pytanie dość zasadniczej natury: czy władza może pokonać własne społeczeństwo i jakie tego mogą być konsekwencje?

W tych samych kategoriach władza oceniała stan zagrożenia wywołany masowym ruchem „Solidarności” — zagrożona była władza, państwo, socjalistyczny ustroj i socjalizm w ogóle, a pośrednio także światowa równowaga, pokój itd. Niewątpliwie w dzisiejszym naładowanym napięciami świecie każde naruszenie równowagi w jednym punkcie staje się od razu problemem ogólnoświatowym, mogącym pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje. Ale nonsensem jest i moralnym przestępstwem na tę płaszczyznę sprowadzać i tu szukać wyjaśnienia przyczyn i charakteru polskich wydarzeń. Wszystko, co rozegrało się w Polsce, tutaj miało swoje korzenie, było eksplozją skumulowanych w ciągu prawie 40-tu lat kryzysów (jak oceniła to nawet partyjna komisja), dotyczyło wewnętrznych spraw narosłych w ciągu tego czasu. Że cały świat się tym interesował, okłaskiwał (lub groził), doradzał, pomagał — to zjawisko powszechne po obu stronach ustrojowej barykady, które mogło także oddziaływać na polityczny klimat kraju, mogło także wielu ludzi dezorientować, ale nie zmieniało charakteru toczącego się konfliktu. Dlatego przedstawianie potężnego ruchu społecznego jako wyniku obcych inspiracji i reżyserii, jako importowanej kontrrewolucji jest politycznym szantażem i zwykłą intelektualną nieuczciwością.

Co w Polsce było zagrożone? Kontrrewolucja ze swej natury dąży do obalenia ustroju — na rzecz jakiego? Według przyjętej

klasyfikacji możliwość była tylko jedna — kapitalistycznego. Nie trzeba głębokich sondaży, aby stwierdzić, że w tym kraju zwolenników oddania upaństwowionych środków kapitalistom i obszarnikom nie ma (może poza paru maniakami), że nie pragnie tego klasa robotnicza, ta z byłej „Solidarności” — chce natomiast czegoś wręcz przeciwnego: sama chce mieć coś więcej do powiedzenia jako gospodarz społecznej własności. Nie była więc zagrożona podstawa ustroju, natomiast stała sprawa, jak tę ogólnospołeczną własność zorganizować, jak nią kierować, jaką w tym rolę przyznać społeczeństwu. Ale ta szeroka problematyka stoi i stać zapewne będzie bardzo długo, jako że tego właśnie ustroj socjalistyczny w żadnej jego wersji nie zdołał rozwiązać ani w płaszczyźnie ekonomicznej, ani polityczno-ustrojowej. Jeśli ktoś powołuje się na często manifestowaną przez masy niechęć do słowa „socjalizm”, trzeba wyjaśnić, że niechęć ta jest po stokroć uzasadniona. Piszący te słowa przed wielu laty ostrzegał: przestańcie słowem „socjalizm” wycierać wszystkie brudy i śmiecie, zasłaniać nim własną indolencję i głupotę, by nie doprowadzić do tego, że ludźmi na ten dźwięk będzie wstrząsał dreszcz. Ale nie ma to nic wspólnego ze stosunkiem do ustroju, to tylko reakcja na bezmyślność władzy, która nawet dziś nie ma lepszych pomysłów jak faszeringowanie „socjalizmem” całej swej działalności i jej opłakanych skutków.

Czy zagrożona była władza? Wystarczy spokojnie, bez ówczesnej paniki, prześledzić nasycone emocjami wypowiedzi, a także poczynania przywódców „Solidarności” w krytycznych dniach grudnia 1981 roku w Radomiu i Gdańsku. Odzwierciedlały one przede wszystkim stan dezorientacji, można rzec nawet desperacji. Programem, który żywiołowo narodził się w sierpniu 1980 roku było zorganizowanie społecznego nacisku na władzę, aby skłonić ją czy zmusić do politycznych reform, od czego w powszechnym przekonaniu zależało także ratowanie naszej gospodarki. Plan ten nie powiódł się. Władza okazała się niezdolna do żadnej koncepcji wychodzącej naprzeciw sytuacji kraju, niezdolna nawet do politycznego manewru mogącego zahamować rosnące napięcie. Popadła w stan paniki pogłębionej rozstrojem we własnych szeregach i jedyny ratunek widziała w rozstrzygnięciu „siłowym” (jak się wówczas mówiło). Masowy ruch znalazł się w sytuacji krytycznej, przeszedł już fazę szczytowego nasilenia emocjonalnego nie osiągnąwszy zamierzonego rezultatu, nie było zaś żadnego programu alternatywnego. Dla osiągnięcia głównego celu — aby władza pod naciskiem mas uznała potrzebę reform (oczywiście w granicach wszystkich uwarunkowań!) — musiałby to być ruch zorganizowany i zdyscyplinowany, podporządkowany

programowi realistycznemu nie tylko w treści ale i w formie, ze świadomością trudności tego problemu, etapowości jego realizacji itd. Ale to fantazja! Nigdzie jeszcze i nigdy w historii nie udało się tak określić i ukierunkować żywiołowego ruchu mas.

Przywódcy „Solidarności” doskonale rozumieli, że obalenie władzy w asekuracyjnych powiązaniach systemu (choć nie tylko z tego powodu) było niemożliwe i nie mieli w ogóle takich zamysłów, a wielokrotnie zapewnienia o tym nie były tylko taktyką. Powtarzane w czasie ostatnich narad słowo „konfrontacja” miało być ostatnim odgłosem trąb, od których miały się rozkruszyć mury Jerycha. Oskarżający „Solidarność” o kontrrewolucję, dążenie do obalenia władzy, zdają sobie sprawę z fikcyjności tych oskarżeń — cóż to bowiem za kontrrewolucja, która mając tak masowe poparcie i prawie półtora roku na przygotowanie nie pomyślała nawet, co zrobiłaby, gdyby jakimś cudem zwyciężyła. Nie posiadanie władzy było zagrożone — zagrożone było funkcjonowanie całego jej aparatu w ogólnym chaosie i anarchii, na które złożyły się obydwie czynniki: rozkład władzy skompromitowanej bezprzykładną katastrofą swej polityki, spotęgowany skutkami masowego ruchu, nad którym nikt już nie sprawował kontroli.

Przejsie do rozstrzygnięć militarnych nie było, jak się miało okazać, zastosowaniem nadzwyczajnych środków w nadzwyczajnej sytuacji, lecz przejściem do normalnych metod już w tym systemie wypróbowanych. Sukces stanu wojennego wzmościł samopoczucie władzy, upewnił ją o skuteczności zastosowanych środków, a wiadomo, że żadna władza dobrowolnie nie wyrzeknie się metod łatwych i przynajmniej czasowo skutecznych na rzecz trudniejszych i skomplikowanych, które mogłyby przynieść jakieś trwalsze rozwiązania. Militarny punkt widzenia odpowiednio wyraził się w ustosunkowaniu władzy do przytłaczającej większości społeczeństwa, w taki czy inny sposób zaangażowanej w „kontrrewolucję” — potraktowano ją jako swego rodzaju politycznych „jeńców” powalonych na kolana, którym pozostało tylko jedno wyjście: skrusza, potępienie własnych przestępstw, przyrzeczenie poprawy i ucałowanie sprawiedliwej karzącej ręki.

Zmiany we frazeologii, pozostawienie spopularyzowanych hasł, takich jak „niezależność” i „samorządność” nowotworzonych związków, mają przesłonić, iż rzekoma „odnowa” jest powrotem do starych metod. Nowy sens nadano idei „jedności” i „porozumienia”, które mogą oznaczać tylko bezwarunkowe podporządkowanie. Ogłoszono w tym celu ochotniczy zaciąg mający skupić

wszystkich w „patriotycznym ruchu”. Ponieważ z przyczyn choćby tylko psychologicznych — nazbyt już bezceremonialnego dyktatu zwycięzców — wyniki tego zaciągu były mizerne, spowodowało to rewizję hasła jedności, uznania go za błędne wobec istnienia różnic klasowych. Tylko że przejście z płaszczyzny „narodowej” na „klasową” niczego nie zmienia ani ilościowo ani jakościowo. Niełatwo byłoby naszej władzy odpowiedzieć, które to klasy są za, a które przeciw jej dotychczasowej polityce.

Innym dyskutowanym obecnie manewrem demokratyzacji jest ordynacja wyborcza do rad narodowych. Ustępstwem ma być rozszerzenie prawa do wysuwania kandydatur na radnych, ma to być częściowa rezygnacja z super ostrożności stosowanej poprzednio, kiedy nie tylko zatwierdzanie ale i wysuwanie kandydatur zastrzeżone było wyłącznie dla wtajemniczonych gremiów. Ustępstwo zabawne, boć bez żadnego ryzyka można prawo proponowania kandydatów dać każdemu — skoro i tak decydować będą ci, którzy je zatwierdzą do umieszczenia na listach wyborczych — oni wszak dokonują właściwych wyborów. Okazuje się, że ze zdobytych prerogatyw, choćby nawet zbędnych, władza rezygnować nie lubi, jak nie rezygnowali feudałowie ze swych praw do chłopów, nawet takich które straciły sens. (Na przykład obowiązku straszenia żab w stawach, aby nie zakłócały panom snu. — Mój Boże, jak się czasy zmieniają — dziś nocującym nawet w okolicach łąk i stawów przeszkadza zasnąć brak żabiego kumkania i rechotu!)

Władza raz jeszcze postanowiła udowodnić, że nie ma zamiaru iść na żadne ustępstwa na rzecz społeczeństwa, na jakiekolwiek rozszerzenie jego uprawnień. Jeszcze raz udzieliła odpowiedzi na często dyskutowane pytanie o „reformowalność” systemu. Przeciwnie nawet, militarne zwycięstwo wykorzystuje dla cofnięcia tych pozorów liberalizacji, które w poprzednich okresach jakoś się utarły. W koszarowej logice władzy wszystko zło pochodzi z nadmiernej swobody myślenia pozostawionej społeczeństwu, rodzi się z fałszywej świadomości — tu trzeba stłumić kontrrewolucję w zarodku. Dwa główne środki do tego celu to cenzura i wychowanie społeczeństwa — trzeba mu zostawić tylko jeden kanał myślenia — upaństwowiony. Hasłem obecnego programu jest rozszerzona demokracja przy wzmocnionej dyktaturze partyjnego aparatu. W logice władzy oba te pojęcia idealnie się uzupełniają — a cały raport partyjnej komisji poświęcony jest w istocie uzasadnieniu tej logiki.

Nowa ustawa o cenzurze, z jaką wprowadzono kraj ze stanu wojny w stan pokoju, jest najgroźniejszym chyba prognostykiem dla nadchodzącego okresu. Nikt nie wątpił, że ustawodawstwo

nasze dostatecznie chroniło interesy państwa, ustroju, obronności, stosunki z sąsiadami. Rozszerzone obecnie uprawnienia cenzury mają uszczelnić ten system przed możliwością narodzenia się lub przeniknięcia jakiegokolwiek niepożądanego myśli. Poddanie cenzurze nie tylko prac naukowych, ale także wewnętrznych materiałów naukowych instytutów, także placówek PAN, powtórna cenzura dzieł już wydanych, nieprawdopodobne, wręcz egzotyczne utrudnienia dostępu do dzieł zagranicznych — wszystko to ma sens jednoznaczny: chodzi o obwarowanie Ciemnogrodu, aby nie błysnęło żadne światło wykraczające poza wyobrażenia nadzorców naszego naukowego i w ogóle umysłowego życia. Chodzi o przekształcenie naukowych placówek w duchu akademii smorgońskiej. Może nie dziwić, że w sejmie tylko kilku posłów ośmieliło się głosować przeciwko tej groźnej dla przyszłości narodu ustawie (choć to czasy już nie te i zdjęcie głowy za to nie groziło) — ale musi niepokoić, że tego uderzenia maczugą nie odczuli nasi intelektualiści — naukowcy.

Spółeczeństwo polskie znalazło się w niezwykle trudnej sytuacji politycznej i moralnej — świadome poniesionej klęski. Bynajmniej nie chodzi tu o klęskę zadaną stanem wojennym — do ponoszenia takich klęsk i porażek nasze społeczeństwo przywykło i jedynym ich skutkiem było zawsze wzmożenie ducha walki. Ale wraz z upadkiem nadziei związanych z ruchem „Solidarności” zamknęła się jeszcze jedna droga do społeczeństwa obywatelskiego, tzn. takiego, w którym mieszkańcy są nie poddanymi państwa, lecz jego obywatelami.

W odstępie ćwierćwiecza dokonali się w Polsce dwie wielkie próby wyprowadzenia kraju ze ślepego zaułka na jakąś drogę. Pierwsza polegała na udzieleniu poparcia socjalistycznej władzy — jej przywódcy, który zdawał się dawać nadzieje, iż jego program zbliży się do powszechnych oczekiwań. Nadzieje te spotkał dotkliwy zawód. Nauczono tym doświadczeniem masy społeczne — z istotnie przodującą rolą klasy robotniczej — zrozumiały, że tylko jako zorganizowana siła mogą się liczyć, być partnerem władzy. Nacisk zmasowanej siły całego prawie narodu winien postawić władzę wobec konieczności dokonania reform w kierunku demokratyzacji — nie fikcyjnej, nie pozorowanej lecz faktycznej. Oczywiście, w ramach socjalistycznego systemu, którego nikt (!) nie miał zamiaru obalać nie tylko z przyczyn „zewnętrznych”, ale także wszelkich innych.

I te rachuby spotkała klęska zamykająca drogę mogącą prowadzić ku przyszłości. Jaka droga, jakie sposoby ratowania, naprawy Rzeczypospolitej pozostały? To pytanie jest głównym źródłem moralnego niepokoju i nastroju depresji. Klęska ruchu „Solidarności” — powtarzamy to — nie była wynikiem stanu

wojennego, zaczęła się znacznie wcześniej, kiedy stawało się coraz wyraźniejsze, że żywiołowe, nieskoordynowane odruchy mas przesuwają sprawę na płaszczyznę, z której coraz trudniej było znaleźć racjonalne wyjście, natomiast coraz wygodniejszą dla działania siły. Stan dezorganizacji i anarchii to dogodne pole działania dla armii. Przywódcy „Solidarności” wprawdzie byli bezradni wobec tej sytuacji ruchu, ale przy tym nie bardzo rozumieli, że stan dezorganizacji to nie przejaw aktywności mas, a przeciwnie — ich paraliż.

Nie ma wśród milionów, które wiązały nadzieje z ideami i postulatami „Solidarności”, człowieka nie zdającego sobie sprawy z błędów i nieporozumień popełnianych zarówno przez przywódców jak i przez sam żywiołowy charakter ruchu. Ale też nie ma takiego, którego poniesiona klęska skłoniłaby do ich porzucenia. Trzeba rozczarować władzę, ale jej wysiłek włożony w kompromitowanie i zohydowanie „Solidarności” może osiągnąć tylko skutek przeciwny.

Ideę podniesionych przez robotników Wybrzeża i popartych przez cały kraj nie wyrzeknie się nikt, ponieważ nie wymyślono ich w sierpniu 1980 roku — tkwiły one w sercach całego narodu od pierwszych dni wyzwolenia jako naturalna korekta do wprowadzonego ustroju, nosił ją w swej świadomości — choćby głęboko ukrytej — każdy, także tego ustroju zwolennik. Zdaniem byłoby sądzić, że wyrzekają się tych nadziei ci ludzie (a przynajmniej ich większość), którzy zaniechali manifestacji, wstępują do związków i „patriotycznych” organizacji lub ślubują wierność konstytucji (!). To po prostu ci, którzy podporządkowując się realnym życiowym racjom odkładają na przyszłość realizację ukrytych marzeń (prócz oczywiście takich, dla których jedyną ideą jest osobista korzyść lub wygodą).



Społeczny ruch „Solidarności” stał się już własnością historii, jeszcze jednym dramatycznym epizodem w naszych dziejach. Pozostanie w nich jako punkt odniesienia społecznej świadomości, jako ważne doświadczenie w dążeniu do usunięcia zapór na drodze normalnego rozwoju kraju. Stoi problem, który rozwiązany być musi: jak użyć tej ujawnionej tak dobitnie siły, użyć celowo i skutecznie, aby była nie powodzią lecz potężnym strumieniem skierowanym na ugrzęźle w mule koło naszej historii. Na pewno nie może temu służyć metoda „protestującej nieobecności”, jest bowiem niczym innym jak rozgrzeszającą się bezradnością, pozorną aktywnością w oczekiwaniu, że ta rzeka kiedyś przepłynie.

W naszej XIX-towiecznej tradycji ukształtowała się antyteza: albo „romantyczna” walka o byt narodu, albo „organiczna” praca od podstaw, rozwijanie kraju, jego gospodarki, kultury — niezależnie od warunków. Programy te miały się wykluczać, a ich zwolennicy nawzajem o sobie źle myśleli. Tymczasem bilans tego XIX wieku wykazał, iż w ogólnym interesie narodu oba te programy były w jednakowym stopniu potrzebne i konieczne, nawzajem się uzupełniały i karmiły, pozwalały znievolmente krajowi, choć z opóźnieniem, posuwać się naprzód. Wniosek z tej pouczającej lekcji, jakiej nam udzieliła historia, ważny jest dziś i w istocie zawsze. Do narodowych dramatów zaliczyć trzeba także tragizm naszej tak licznie rozsianej po świecie emigracji, której każda powojenna fala zajmuje wobec kraju postawę totalnej negacji, nieobecności posuwanej aż do absurdu, traktowania pracy nad rozwojem kraju jako zdrady interesów narodu. Poza wszystkim innym — jakaż to manifestacja nieufności i niewiary we własny naród!

Nie ma i być nie może sprzeczności między dążeniem narodu do usuwania rzeczywistych przeszkód z drogi jego rozwoju i pracą na rzecz tego rozwoju. Każda próba rozdzielania tych postaw, przeciwstawiania „romantyzmu” „pozytywizmowi” czy na odwrót prowadzi do sprzeczności i zamętu, zaciemnia cel dążeń i paraliżuje ich siły.

Państwo polskie jest własnością swego narodu, który własności tej nikomu w pacht ani w dzierżawę nie odda. Przed Historią o n — nie samozwańczy ekonomowie — ponosi za nią odpowiedzialność, ponieważ tylko o n dźwiga na swych barkach i dźwigać będzie skutki swoich i nie swoich grzechów.

Władysław BIEŃKOWSKI

Warszawa, luty 1984 r.

To oburzające stwierdzenie świadczy o kompletnej nieznajomości „różnych fal” emigracji powojennych. Zbyt szanujemy autora by go podejrzewać o świadomą złą wolę. — Redakcja.

Druga rozmowa z J.J. Lipskim

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI: — Nasza poprzednia rozmowa, ogłoszona w Kulturze z października 1982, odbyła się w Londynie 12 września 1982, prawie dosłownie w przededniu Pana powrotu do Warszawy. Należało się spodziewać, że zostanie Pan natychmiast aresztowany, skoro włączono Pana do grupy sześciu oskarżonych w przygotowywanym procesie KOR-u. Naszą dzisiejszą rozmowę musimy chyba zacząć od krótkiego przedstawienia (lub po prostu przypomnienia) czytelnikom Kultury, co się z Panem w Polsce działo od dnia powrotu do Warszawy do dnia obecnego, do wyjazdu do Londynu na kontrolne badanie lekarskie.

Jan Józef LIPSKI: — Wróciłem do Warszawy 15 września, witany na lotnisku przez liczne grono znajomych i przyjaciół; pozwolono mi wrócić do domu — a nazajutrz zostałem aresztowany. Stałem najpierw przed panem prokuratorem płk. Kubałą, a następnie zostałem zawieziony do aresztu śledczego w więzieniu Mokotów, gdzie przebywałem w szpitalu więziennym do trzeciej dekady listopada. W „szpitalu” więziennym, bo inaczej trudno pisać o tej groteskowej instytucji. Jak łatwo było przewidzieć, z niczego mnie tam nie wyleczono, natomiast zostałem zainfekowany aż dwiema niebezpiecznymi bakteriami, co kosztowało mnie pół roku gorączkowania. Nie poprawiło to stanu mojego serca. Przewieziono mnie do kliniki Instytutu Kardiologii w Aninie, jako aresztanta, pod strażą. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia uchylono jednak areszt, z czego jeszcze przez miesiąc nie mogłem skorzystać z powodu intensywnego leczenia. W końcu stycznia 1983 roku wróciłem jednak do domu. Jestem wyłączony ze sprawy „czwórki” z KOR-u do osobnego rozpatrzenia.

nia. W grudniu specjalna komisja lekarska stwierdziła, że stan zdrowia nie pozwala mi aktualnie stać przed sądem. Od powrotu do domu nie byłem napastowany przez służbę bezpieczeństwa. Gdy otrzymałem wezwanie do Londynu na badania pooperacyjne, odbywające się dotąd mniej więcej co dwa lata, paszport otrzymałem bez kłopotu.

G.H.-G.: — *Przejdźmy teraz, po zapoznaniu się z Pana osobistymi losami, do procesów KOR-u i „siódemki” z Solidarności. Otrzymałem właśnie list od Adama Michnika z więzienia mokotowskiego, datowany „styczeń 1984”. Píše w nim m.in.: „Czekam na proces, który odwleka się bezustannie, ale nie tracę nadziei, że wreszcie będę mógł zasiąść na ławie oskarżonych”. Dziwnie brzmi w tym kontekście słowo „nadzieja”. Jeżeli Michnik „nie traci nadziei, że wreszcie będzie mógł zasiąść na ławie oskarżonych”, to znaczy, że oba procesy nie są wcale pewne. Dochodzą do nas na ten temat rozmaite pogłoski, których wspólnym mianownikiem jest rzeczywiste czy rzekome dążenie Jaruzelskiego do uniknięcia obu procesów, nad czym jakoby deliberuje specjalna komisja powołana przez Episkopat, w kontakcie z przedstawicielami władz: a to, że więzionym proponuje się zgodę na dobrowolną banicję w zamian za umorzenie spraw sądowych; a to, że ceną za umorzenie spraw sądowych i zwolnienie z więzienia miałyby być podpisy oskarżonych w obu procesach pod swoistym cyrografem o zaprzestaniu lub przerwaniu na jakiś okres czasu wszelkiej działalności politycznej. Co Pan mógłby o tym wszystkim powiedzieć?*

J.J.L.: — Nie dziwię się sformułowaniu Michnika. Przebywa on w więzieniu już ponad dwa lata i trzy miesiące, a końca nie widać. Jak długo można człowieka trzymać nie stawiając go przed sądem (choćby miał to być raczej „sąd”)? Praktyka stalinowska uczyła, że *skolko ugodno*. Toteż jeśli uważa się (a jestem przeświadczony, że tak sądzi władza w PRL), że z procesem będzie więcej kłopotu niż przyjemności, a nie chce się ludzi wypuścić z wielu powodów (są to zarówno względy prestiżowe, jak i obawa przed wszczęciem działalności przez zwolnionych) — najprościej ich więzić *ad infinitum*. Ułatwia tę decyzję świadomość, że proces skupi uwagę opinii światowej, skoncentruje światła reflektorów, będą to *news* — podczas gdy latami przeciągające się przebywanie w więzieniu bez wyroku zaledwie od czasu do czasu powoduje słaby i mało zauważalny odgłos niechęci w świecie. Ale procesu prawie nikt nie chce. Sądzę, że również Adam sformułował to swoje zdanie o „nadziei” raczej jako wyraz sarkazmu — gdyż brak z jego strony pośpiechu przy czytaniu

akt — w przeciwieństwie do Kuronia — wskazuje, że i jemu do procesu nie spieszy się, choć go z pewnością proces nie przeraża. O ile się orientuję, również Kościół wolałby uniknąć obu procesów. Znam podstawowy argument z tej strony: w okresie poprzedzającym datę wyznaczonego początku procesu rozpocznie się niezwykle rozwydrzona kampania propagandowa, według reguły *catch as catch can*, do której dołączy się każdy, kto chętny. Doświadczenie uczy, że takie kampanie propagandowe zmieniają na gorsze, i to zasadniczo, atmosferę polityczną kraju — a wybrykom publicystycznym towarzyszą wybryki innego rodzaju, przede wszystkim zaostrzenie represji. Sądzę że obawy takie są uzasadnione, a kto wie, czy nie podziela ich w pewnej mierze obecna ekipa rządząca, która zarazem ma świadomość, że co prawda oskarżeni otrzymają z góry postanowione wyroki, lecz to oni wygrają proces w oczach opinii krajowej i zagranicznej.

Więści o specjalnej komisji, powołanej przez Episkopat do tej sprawy, są — o ile wiem — przesadzone, sprawa ta nie ma chyba charakteru aż tak zinstytucjonalizowanego, chociaż z pewnością znajduje się na liście problemów, które Episkopat polski darzy szczególną uwagą.

Propozycje dobrowolnej banicji od dawna są odrzucone i chyba nikt do nich nie wraca — poza Urbanem podczas konferencji prasowych. Ale i przypuszczenie, że oskarżeni mogliby podpisać „lojalkę” jest co najmniej nierealistyczne.

Może jakieś nowe rozwiązania (poszerzenie amnestii?) przyniesie okrągła rocznica Manifestu PKWN. Nadzieje te ożywiane są faktem, że w Prokuraturach i Ministerstwie Sprawiedliwości powtarza się każdemu, iż amnestii nie będzie.

W związku z tym o czym teraz była mowa chciałbym jeszcze dodać pewne wyjaśnienie.

Jeśli by w ogóle doszło do procesu KOR-u, można już dziś przewidzieć strategię Prokuratury na procesie. Głównym tytułem chwały KOR-u, jego legitymacją, źródłem sympatii do KOR-u, była pomoc niesiona represjonowanym i demaskowanie naruszeń prawa przez aparat władzy. Jeszcze przed przekształceniem się KOR-u w KSS KOR prace w tym zakresie skupiły się w Biurze Interwencyjnym KOR-u. Dążeniem Prokuratury będzie zminimalizowanie tego odcinka prac KOR-u podczas przewodu sądowego. W związku z tym akt oskarżenia zawiera mało zauważaną zapowiedź: przewidywany jest rzekomo odrębny proces Biura Interwencyjnego KSS KOR-u. W możliwość takiego procesu nikt nie wierzy, ale zapowiedź ta pozwala Prokuraturze wyłączyć z akt procesowych prawie wszystko, co tyczy pracy Biura Interwencyjnego. W ten sposób na ewentualnym procesie KOR-u nie

mówiłoby się o tym, co w działalności KOR-u było najistotniejsze i co zyskiwało KOR-owi największą sympatię. Przy takim naruszeniu proporcji prawdopodobniejsze staje się traktowanie KOR-u jako organizacji *sensu stricto* politycznej. Temu samemu służy dowcipny trick z oskarżeniem Romaszewskiego, kierownika Biura Interwencyjnego KSS KOR-u, dopiero od lutego 1981 roku, podczas gdy pozostali jego koledzy oskarżani są za działalność od września 1977 roku (okres poprzedni objęty jest amnestią z 1977 roku). W lutym 1981 Biuro Interwencyjne KOR-u już nie pracowało, cały ciężar kontynuacji tych prac przeniesiony został do biur interwencyjnych Solidarności, głównie w Regionie Mazowsze. Łatwo przewidzieć, że gdy Romaszewski zacznie mówić o sprawach związanych z Biurem Interwencyjnym KSS KOR-u, sąd będzie miał formalną podstawę by odbierać mu głos w związku z mówieniem nie na temat, o sprawach z okresu wcześniejszego niż luty 1981. Myślę że już dziś ta najwidoczniej przygotowywana strategia procesowa powinna być demaskowana i tym samym utrudniana.

G.H.-G.: — *Czy sądzi Pan, że rozdział korowski należy uznać za zamknięty, czy też przewiduje Pan jego kontynuację w innym wcieleniu? Jeśli to drugie, jaki według Pana charakter miałaby taka kontynuacja: działalności nastawionej wyłącznie na ruch związkowy, czy działalności politycznej typu inspiracyjnego i półtajnego ośrodka na podobieństwo Ligi Polskiej?*

J.J.L.: — Nie sądzę, by KOR mógł mieć jakieś kontynuacje. Jego charakter był tak oryginalny i tak dopasowany do okresu, w którym powstał i działał, że wydaje się nieprawdopodobny jego dalszy ciąg. Jeśli nawet środowisko związane kiedyś z KOR-em wyłoniłoby jakąś organizację czy instytucję, byłoby to już coś zupełnie innego i niepodobnego. KOR wydaje mi się być czymś niepowtarzalnym.

G.H.-G.: — *Interesuje nas bardzo opinia Pana, jako działacza Solidarności w okresie jej legalnego istnienia, o polityce podziemnego kierownictwa Związku, oraz o sytuacji w solidarnościowych regionach i „dołach”. Wiąże się to naturalnie z kluczowym pytaniem: co robić? Rozbudowywać i wzmacniać, z myślą o „długim marszu”, społeczeństwo podziemne? Czy stawiać na „dialog” i „kompromis”, na „zmuszenie ich (to znaczy władzy) do dialogu i kompromisu”? Może wrażenie jest mylne, ale zdaje się, że przeważa fetysz „dialogu”, zwłaszcza wobec „dialogowej” w dużym stopniu postawy Kościoła. Zdarza się nawet słyszeć*

o konieczności wymuszenia zmiany ekipy rządzącej, zastąpienia obecnej „lepszą”, otwartą na „dialog” właśnie...

J.J.L.: — Solidarność nie straciła masowego poparcia i sympatii, chociaż osłabiły ją ciosy zadawane przez policję. Zarazem jednak wszyscy widzą, że poparcie to nie oznacza, iż Solidarność mogłaby w bliskiej, dającej się przewidzieć perspektywie wezwać skutecznie do strajku powszechnego lub masowych demonstracji. Wobec takiej sytuacji koncepcje „społeczeństwa podziemnego” i „długiego marszu” stają się wariantem najbardziej realnym. Pytanie tylko, jak długo może trwać najdłuższy nawet marsz? Musiałyby nastąpić istotne zmiany koniunkturalne, żeby dało się pomyśleć przejście z „długiego marszu” do nowego okresu walki o prawa narodu do suwerenności zewnętrznej i wewnętrznej.

Nie podzielam pańskiego sceptycyzmu, widocznego w zwrocie „fetysz dialogu”. Jeśli by się okazało, że kosztą przeciągającego się kryzysu w Polsce są zbyt duże i ciężkie dla Paktu Warszawskiego i RWP (z Związkiem Radzieckim na czele) — a bez współpracy społecznej nie nastąpi przecież istotna zmiana — można sobie wyobrazić przeorientowanie polityki komunistów. W takim wypadku zmienia się oczywiście ekipę nie dlatego, że dotychczasowa jest „gorsza”, lecz jedynie po to, by socjotechnicznie ułatwić sobie manewr. Istotna jest nie zmiana ekipy, lecz zmiana kursu. Otóż wówczas może powstać możliwość „dialogu”, to znaczy mogą być przedstawione społeczeństwu warunki kompromisu. Jeśli nie stawia się na to, że imperium będzie obalone z zewnątrz (wojna nie byłaby chyba ani pożądana, ani nie jest tak prawdopodobna, jak to się czasami twierdzi) lub z wewnątrz (rewolucja; nic jej w bliskiej perspektywie nie zapowiada) — na co jeszcze można liczyć? Życie „podwójne” (władza i podziemne społeczeństwo) da się pomyśleć na długi nawet okres przejściowy, ale tylko w takiej perspektywie, a nie jako struktura trwała. Wyczerpywanie się zaś zasobów w kraju i zanik potencjału na skutek przeciągającego się kryzysu gospodarczo-społecznego są niedobre i dla władzy i dla nas. Im Polska jest bardziej zrujnowana i zacofana, tym czarniejsza przyszłość przed nami, niezależnie od koniunktur, gdyby się nagle takie otworzyły. Mimo wszystko dialog jest w dającej się przewidzieć perspektywie bardziej realny niż obalenie władzy i zewnętrznych zależności lub niż trwała koegzystencja policyjnej władzy i podziemnego społeczeństwa.

G.H.-G.: — *W naszej poprzedniej rozmowie z września 1982 mówiłem o zamiarze podzielenia Solidarności na dwa nurty: chrześcijański, pod mniej lub więcej rozwiniętymi skrzydłami*

opiekuńczymi Kościoła, i laicki. Odpowiedział Pan wówczas, że „jeżeli Solidarność da się podzielić, przestanie być Solidarnością”. W niedawnym wywiadzie księdza prymasa Glempa dla jednego z dzienników brazylijskich ten zamiar ujawnił się z całą jaskrawością, żeby nie powiedzieć brutalnością. Usłyszeliśmy o „czystym” nurcie Solidarności pod wodzą Wałęsy, „manipulowanego” niestety przez elementy „marksistowskie” i „trockistowskie” z drugiego nurtu. „Kościół — podkreślił ksiądz prymas — jest nadal protektorem i obrońcą pierwszego nurtu”. Reakcja Wałęsy na brazylijski wywiad z Glempe była wymijająca. Przypuszczam, że zechce Pan skorzystać z okazji, jaką nastręcza nasza obecna rozmowa, żeby ten incydent naświetlić i skomentować.

J.J.L.: — Mogę tylko powtórzyć: „Jeżeli Solidarność da się podzielić, przestanie być Solidarnością”. Ktokolwiek zaś próbuje tego dokonać — działa, świadomie lub nieświadomie, przeciw istotnemu interesowi narodowemu. W szczególności z mieszanymi uczuciami czytam o „trockistach” w Solidarności. Po pierwsze nieprawda, że trockiści mieli jakikolwiek wpływ w Solidarności. Po drugie nie należy raczej powtarzać za panem Dobraczyńskim i za Prokuraturą tego typu etykietek, tym bardziej że jeszcze w czasach które pamiętam taka etykieta, prawdziwa lub fałszywa, wystarczała by człowieka pozbawić życia.

G.H.-G.: — Był Pan usilnie związany z Ursusem, gdzie wybuchła sprawa przeniesienia księdza Nowaka. Jaki jest Pana pogląd na nią? Tutejsze gazety doniosły ostatnio, że w związku z głodówką protestacyjną w Ursusie po raz pierwszy w podziemnym piśmie Solidarności (chodzi o Wolę) ukazała się otwarta krytyka „kompromisu” zawartego przez księdza prymasa z władzami. Równocześnie Bujak wezwał do przerwania głodówki. Trudno to wszystko zrozumieć...

J.J.L.: — Sprawa przeniesienia księdza Nowaka została boleśnie przeżyta przez środowisko ursuskie. W dodatku nie jest pewne, czy ogromna praca duszpasterska, patriotyczna i oświatowa, której patronował ksiądz Nowak, będzie mogła nadal być prowadzona. Jaki mogę mieć pogląd na tę sprawę? Tylko taki, jak robotnicy Ursusa. Zarazem jednak wśród aktywnych działaczy robotniczych ursuskich spotkałem się nie tylko ze stanowiskiem, że konieczne jest drastyczne przeciwstawienie się tej decyzji, lecz również i z takim, że ostre demonstrowanie protestu może przynieść korzyść wrogom i Solidarności i Kościoła. Zwolennicy obydwu stanowisk mieli negatywną opinię o decyzji przeniesienia księdza Nowaka. Nietrudno mi więc zrozumieć tych wszystkich, którzy chcieliby konflikt wyciszyć. Mam jednak nadzieję, że

decyzja podjęcia głodówki przyniesie jeden istotny zysk: może zniechęci do dalszych tego rodzaju kroków wobec tych księży, którzy czują się solidarni z większością wiernych.

G.H.-G.: — Ukazało się sporo wspomnień i relacji z obozów internowania, pisanych m.in. przez znanych ekspertów i doradców Solidarności. Uderza w nich brak „rachunku sumienia”: analizy błędów popełnionych w okresie istnienia Solidarności, czy obrony posunięć i decyzji, które mimo porażki zachowały swą doniosłość. Jak Pan tłumaczy to unikanie „rozliczenia”? Nie wystarczy chyba powiedzieć, że jest jeszcze za wcześnie... Podam konkretny przykład. W okresie istnienia Solidarności zajmowano się mało problematyką ekonomiczną, Związek nie chciał wziąć odpowiedzialności za ten odcinek i nie wysunął planu reform; po macoszemu również traktowano palące sprawy wsi i rolnictwa. Nie widać, jak dotąd, prób odrobienia zaniedbań. Dlaczego?

J.J.L.: — Rzeczywiście, brak analizy dorobków i błędów Solidarności, chociaż nie można powiedzieć, by niczego w tym zakresie nie zrobiono. Można tu przytoczyć na przykład Jadwigę Staniszkis. Ale to za mało. Dlaczego tak jest? Sądzę, że energię pochłania chwila bieżąca, tak różna od tamtego czasu.

To i owo da się wytłumaczyć w przeszłości charakterem Związku. W przykładzie, który Pan przytacza, słuszne jest twierdzenie, że Związek nie chciał brać odpowiedzialności za życie gospodarcze kraju. To prawda, ale związkowi zawodowemu, którym Solidarność jednak w znacznej mierze była (choć władze zarzucały jej i nadal zarzucają, że niewiele miała wspólnego ze związkiem zawodowym) — trudno wkraczać w rolę pracodawcy. Stąd dobrze w Solidarności rozumiana potrzeba stworzenia silnego ruchu samorządowego w fabrykach i przedsiębiorstwach. I tylko ten ruch, dopiero tworzący się, mógł zaspokoić to zamówienie społeczne. Ale przesadą byłoby twierdzić, że Związek nic w tej dziedzinie nie zrobił. Opracowanie Sieci było już zarzyssem programu reformy gospodarczej. Zresztą i problemy wsi i rolnictwa nie mogły być postawione i rozwiązane przez ruch przede wszystkim robotniczy. Trzeba pamiętać, że chłopska Solidarność startowała później, niż robotnicza. Ale to prawda, że wiele tych spraw programowych winno być postawionych. I znowu pyta Pan: Dlaczego? Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że gdy nie widzi się szans realizacyjnych, nie pracuje się zbyt intensywnie nad ich zaprogramowaniem.

G.H.-G.: — Społeczeństwo podziemne staje się coraz bardziej

zróżnicowane, „pluralistyczne”. Powstaje więc pytanie, czy TKK może trzymać się nadal problematyki związkowej, czy też powinna się przekształcić w reprezentację polityczną, która dysponuje kadrą „etatowych” działaczy? Rzecz nie jest także pozbawiona znaczenia dla należytego ukierunkowania działalności na emigracji. Zachodnie ekspozytury Solidarności są związane z tutejszymi syndykatami i stronią od działalności politycznej. A że pomoc stąd jest organizowana głównie na zlecenia TKK, nie zaspokaja ona potrzeb jakie mają grupy polityczne, wydawnictwa i pisma działające poza zasięgiem TKK.

J.J.L.: — Myślę że TKK nie może stać się *sensu stricto* instytucją życia politycznego. Przede wszystkim nie „reprezentacją”. Władze Solidarności były wybierane nie z list politycznych, chociaż każdy rozumie, że ten aspekt odgrywał poważną rolę. TKK nie mogłaby więc zostać reprezentacją polityczną. Sądzę, że reprezentowanie nie może być rezultatem jednostronnej decyzji reprezentanta. To nie jest formalistyka, lecz przestrzeganie tych reguł, bez których nie ma mowy o zaufaniu. Upolitycznienie TKK musiałoby też oznaczać, że stałaby się ona ciałem złożonym z delegatów grup politycznych. To byłoby już coś zupełnie innego. Nie sądzę, by z punktu widzenia autorytetu społecznego warto było taką reformę przeprowadzać. Oczywiście dla wielu spraw i działań na emigracji przeszkodą jest w zasadzie związkowy charakter Solidarności. Ale czy gdyby się to zmieniło, dużo by się zyskało? Czy autorytet jakiegoś komitetu politycznego, powstałego na gruzach Solidarności, byłby większy niż np. rządu emigracyjnego? Wiadomo, co by się straciło. Nie jest pewne, co by się zyskało.

G.H.-G.: — Poetka rosyjska Natalia Gorbaniewska, nasza wielka przyjaciółka i tłumaczka literatury polskiej, prowadzi od dość dawna w wydawanym w Paryżu tygodniku rosyjskim *Russkaja Mysl* drobiazgową i świetną kronikę wydarzeń w Polsce. W numerze z 1 marca Gorbaniewska ogłosiła artykuł „Solidarność?” (właśnie, ze znakiem zapytania), w którym robi gorzką wymówkę Wałęsie, że w swoim „noblowskim” przemówieniu nie wymienił poprzedniego laureata Nagrody Pokojowej, walczącego o podobne ideały i dziś więzionego na zesłaniu w Gorkim, które jest formą powolnego wpędzania go do grobu. Rzecz tym bardziej zaskakująca i przykra, że Sacharow przecież wyrażał wielokrotnie swój podziw dla Solidarności i powitał z radością przyznanie Wałęsie tegorocznej Nagrody Nobla. Ja tę wymówkę podzielam. A Pan? Sprawa ma zresztą szerszy aspekt...

J.J.L.: — Podzielam opinię Gorbaniewskiej, która tyczy nie tylko niewłaściwości pominięcia nazwiska Sacharowa w wystąpieniu Wałęsy przeznaczonym na uroczystość wręczenia Nagrody Nobla w Oslo, lecz i nieporuszenia losu więzionych za swą działalność obywateli ZSSR we wspólnym wystąpieniu Karty 77, byłych członków KOR-u i działaczy podziemnej Solidarności. Nie umiem powiedzieć, dlaczego Wałęsa nie wspomniał o Sacharowie. Wiem natomiast, że zainicjowany przez Kartę 77 list nie mówi o obywatelach ZSSR dlatego, iż był redagowany z myślą o bliskim — jak się zdawało — terminie procesów „jedenastki”, miał charakter okazjonalny. Próbowałem wyjaśnić tę sprawę w liście do Gorbaniewskiej, który być może ukaże się w *Russkiej Mysli*. Merytorycznie uważam jednak, że solidarność zobowiązuje nas do pamiętania w takich wypadkach o obrońcach praw człowieka w ZSSR.

G.H.-G.: — Jest Pan pisarzem, historykiem i krytykiem literatury (choć nie tylko, korzystam ze sposobności, by Panu pogratulować książki KOR, wydanej po polsku w Londynie i zdaje się że przekładanej już na angielski), chciałbym więc na zakończenie naszej rozmowy przejść do sytuacji literatury w Polsce. Został aresztowany Marek Nowakowski. Przeprowadzono rewizję u Wiktora Woroszyńskiego, zabierając mu książki i manuskrypty. Nowy ZLP powstaje na dalekim marginesie współczesnej literatury polskiej, PEN znajduje się pod czymś w rodzaju zarządu komisarycznego. Mnożą się artykuły o konieczności wyeliminowania z planów wydawniczych wznowień pisarzy „niepokornych”. Coraz częstsze są aluzje do „przesady” w wydawaniu Miłosza (bo „niewdzięczny”). Atakuje się gwałtownie Konwickiego, Kazimierza i Mariana Brandysów. Widzę w tym wszystkim początek nowego rozdziału, ale Panu pozostawiam jego dokładniejszą analizę.

J.J.L.: — Ma Pan rację, zaczyna się chyba zmasowany atak na pisarzy i dotychczasową linię wydawnictw. Wydaje mi się, że ta ostatnia nie była wynikiem liberalizmu oficjalnych wydawnictw w PRL. W pierwszym okresie po wprowadzeniu stanu wojennego i przez pewien czas po jego częściowym uchyleniu władzom PRL zależało na możliwości legitymowania się liberalną polityką kulturalną. Stąd książki autorstwa zdecydowanych opozycjonistów w wydawnictwach oficjalnych. Myślę, że ten okres mamy już za sobą. Nowa ofensywa zwiększy polaryzację w środowiskach twórczych i uczyni jeszcze bardziej niezbędną pracę wydawnictw podziemnych i emigracyjnych. W takim razie los polskiej

literatury będzie pośrednio zależał od przetrwania podziemnych wydawnictw i drukarni i możliwości komunikowania się z wydawnictwami emigracyjnymi.

Angielskojęzyczne wydanie mojej książki K O R ukaże się w niedługim już czasie w *California University Press*.

Rozmawiał Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

London, 25 marca 1984

KOMITET POMOCY POLAKOM WE FRANCJI

Około 500 studentów polskich w wieku od 18 do 25 lat znalazło się we Francji po ogłoszeniu stanu wojennego. Chcą studiować dalej, ale są w większości osamotnieni, bez środków do życia, znają słabo język francuski i nie mają żadnych rządowych stypendiów.

KOMITET POMOCY POLAKOM WE FRANCJI, uznany przez Fondation de France, który zajmuje się tymi studentami, zwraca się do wszystkich o pomoc w zaspakajaniu ich niezbędnych potrzeb, w całości lub w części. Dzięki takim darom Komitet będzie mógł przyznawać tym studentom pożyczki, które każdy z nich zobowiązuje się później zwrócić, aby zasilac w ten sposób łańcuch solidarności.

Każdy może być „ojcem chrzestnym” jednego młodego studenta polskiego zobowiązując się pokrywać przez 12 miesięcy jedną czy kilka pozycji z jego budżetu:

- Koszty przejazdu (*carte orange*) F. 110,00 miesięcznie
- Książki i dokumentacja F. 250,00 "
- Wyżywienie (60 kuponów do restauracji) F. 350,00 "
- Mieszkanie F. 700,00 "

Względnie przekazując dar jednorazowy F.

Czeki należy wystawiać na FONDATION DE FRANCE Compte N° 403 i przesyłać je na adres:

Comité de Soutien aux Polonais en France,
49, rue Marius Auphan, 92300 Levallois-Perret
(Tél.: 758.51.56)

lub na CCP PARIS 3.6.9. G — ze wzmianką „COMPTE N° 403”.

Ofiarodawcy proszeni są o podanie swego nazwiska i adresu, na który będą otrzymywali Biuletyn Informacyjny Komitetu.

Kultura przekazuje ze swego Funduszu całkowite roczne stypendium dla jednego studenta.

Data Ukrzyżowania*

Ani data urodzin, ani data śmierci Jezusa Chrystusa nie są dokładnie znane. Tradycyjnie przyjęta chronologia ery chrześcijańskiej opiera się na obliczeniach mnicha scytyjskiego Dionizego Matego, dokonanych na polecenie papieża Jana I w roku 525. Dionizy stwierdził, że Jezus urodził się 25 grudnia w roku 753 od założenia Rzymu, co jest błędne: datę tę należałoby przesunąć, zdaniem większości późniejszych badaczy, o przynajmniej pięć, a być może nawet o siedem lat wstecz. Chronologię życia i ziemskiej działalności Jezusa studiowali nie tylko historycy, bibliści i teolodzy, lecz także wybitni astronomowie. Sir Isaak Newton ustalił na przykład datę śmierci Jezusa na piątek 23 kwietnia Anno Domini 34.

Ponieważ debata na temat ustalenia daty śmierci Jezusa trwa już znacznie dłużej niż półtora tysiąclecia, a żadne nowe źródła historyczne, prócz znanych od początku, to znaczy czterech *Ewangelii*, *Dziejów Apostolskich*, *Roczników* Tacyta, *Starożytności żydowskich* Józefa Flawiusza oraz pism apokryficznych w rodzaju *Raportu* Piłata nie zostały współcześnie odkryte¹, można mieć wątpliwości, czy współczesny badacz przedmiotu doda cokolwiek nowego do tego, co stwierdzono już w przeszłości. Wątpliwości

* Omawiam tu pracę Colina J. Humphreysa i W. G. Waddingtona „Dating the Crucifixion”, która ukazała się w ostatnim numerze angielskiego *Nature* z roku 1983 (*Nature*, 22/29 December 1983, vol. 306, str. 743). Dziękuję za pomoc przy pisaniu tego artykułu W. G. Waddingtonowi, O. Regevowi, M. Giedroyciowi i J. P. Lasocie. Szczególnie wdzięczny jestem M. Jachimczukowi za wnikliwe przeczytanie rękopisu i wiele wskazówek. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego podaję za Biblią Tysiąclecia, a wszystkie daty starożytnych wydarzeń według kalendarza juliańskiego.

1. Odkrycie w Qumran nie zmieniło chronologii ery chrześcijańskiej.

te osłabi zapewne uwaga, że ustalanie dat starożytnych wydarzeń opiera się nierzadko na innych metodach niż analiza tekstów historycznych. Dokładne wyliczenia astronomiczne są jedną z bardziej znanych metod pomocniczych historii. Wyliczony przez astronomów moment zaćmienia słońca czy księżyca, pojawienia się okresowej komety, koniunkcji planet etc. staje się dokładnym punktem odniesienia w chronologii, jeśli zanotowany był przez starożytnych kronikarzy.

Od końca XVII stulecia astronomowie rozumieją dobrze prawa rządzące ruchami planet i potrafią wyliczać ich drogi z dużą dokładnością. Zauważmy jednak, że na to, aby ustalić z dokładnością do jednego dnia moment astronomicznego zjawiska z czasów Jezusa, to znaczy sprzed prawie miliona dni, prowadzić trzeba odpowiednie, bardzo żmudne rachunki z dokładnością jednej części w milionie! Jest rzeczą jasną, że współcześni badacze, dysponujący dużymi komputerami, mogą dokonać tych rachunków znacznie pewniej i znacznie szybciej niż ich poprzednicy, wyposażeni tylko w ołówek i papier.

Dwaj moi koledzy z Uniwersytetu w Oxfordzie, C. J. Humphreys i W. G. Waddington, ustalili w oparciu o źródła historyczne i astronomiczne obliczenia, że kalendarzowo możliwe są jedynie dwie daty Ukrzyżowania: albo 7 kwietnia A.D. 30, albo 3 kwietnia A.D. 33. Zauważyli oni następnie, że 3 kwietnia 33 roku księżyc wschodził nad Jerozolimą zaćmiony. Ich zdaniem w *Dziejach Apostolskich*, *Ewangelii* św. Łukasza i *Raporcie* Piłata znajdują się wzmianki, które można interpretować jako poparcie hipotezy, że w dniu śmierci Jezusa widziano w Jerozolimie zaćmienie księżyca. Gdyby ta hipoteza była prawdziwa, omawiana praca ustalałaby datę Ukrzyżowania jednoznacznie: *piątek wieczorem, 3 kwietnia 33 roku*. Nie można, oczywiście, przecenić wagi tego stwierdzenia.

Ustalenie daty śmierci Jezusa opierać się musi na trzech przesłankach:

1) Jezus został ukrzyżowany, gdy Poncjusz Piłat był prokuratorem Judei. Piszą o tym wszystkie Ewangelie i Tacyt w *Rocznikach* (XV, 44). Z dobrze udokumentowanych źródeł historycznych wiadomo, że Piłat sprawował urząd prokuratora od 26 do 36 A.D. Lata 26, 27 i 28 są na pewno zbyt wczesne jako kalendarzowo możliwe daty Ukrzyżowania. Ewangelista Łukasz wyraźnie stwierdza, że początek działalności świętego Jana Chrzciciela przypadł na piętnasty rok rządów Tyberiusza Cezara, to znaczy później niż na jesień roku 28 (Łk 3: 1-2): „... w piętnastym roku rządów Tyberiusza Cezara... skierowane zostało słowo Boże do Jana, syna Zachariasza...”. Porównanie faktów opisanych w

Dziejach Apostolskich z wydarzeniami historii powszechnej pozwala na stwierdzenie, że nawrócenie się świętego Pawła nastąpiło albo w roku 36/37, albo w 33/34. Rok 36 jest zatem zbyt późny jako kalendarzowo możliwa data Ukrzyżowania, co oznacza, że Jezus umarł pomiędzy rokiem 29 a 35.

2) Wszystkie cztery *Ewangelie* piszą, że Jezus umarł w czasie święta Paschy. Możliwe są dwie interpretacje: albo dokładnie w dzień Paschy, albo w przeddzień tego święta. Żydzi obchodzą Paschę na pamiątkę swego wyjścia z egipskiej niewoli. Ofiarnego baranka zabija się między trzecią a piątą po południu, 14 dnia żydowskiego miesiąca Nisan². W przeddzień Paschy, która zaczyna się wieczorem między końcem 14 dnia Nisan i początkiem 15 dnia Nisan (Żydzi liczą początek dnia od zachodu słońca) uroczystą wieczerzą paschalną, zwaną sederem. Wieczera zaczyna się wraz ze wschodem księżyca, który 14 i 15 Nisan jest zawsze w pełni, a zatem wschodzi wraz z zachodzącym słońcem. Wieczerzy towarzyszy skomplikowany rytuał, w którym biorą udział wszyscy, od najmłodszego dziecka. Należy do niego także śpiewanie hymnu i przemówienie głowy rodziny. Jakkolwiek większość szczegółów tego rytuału nie jest wspomniana, to jednak trzy *Ewangelie* synoptyczne (Mateusza, Marka i Łukasza) wyraźnie stwierdzają, że Ostatnia Wieczera w Wielki Czwartek przebiegała tak, jakby była wieczerzą paschalną. Mateusz wspomina nawet o śpiewaniu hymnu (Mt 26:30). Oznaczałoby to, że Jezus został ukrzyżowany dokładnie w dzień Paschy, to znaczy 15 Nisan, który wypadł w piątek. Natomiast według *Ewangelii* Janowej oficjalnie obchodzono Paschę w dzień później: 15 Nisan wypadł w sobotę, co oznaczałoby, że Jezus umarł 14 dnia miesiąca Nisan. Oto odpowiedni fragment (J 18:28. Porównaj także J 13:1 oraz J 19:31): „Od Kajfasza zaprowadzili Jezusa do pretorium. A było to wczesnym rankiem. Oni sami jednak nie weszli do pretorium aby się nie skałać, lecz aby móc spożyć Paschę”. Ta widoczna rozbieżność pomiędzy *Ewangelią* świętego Jana a Ewangelistami synoptycznymi była przedmiotem wielu omówień. Podawane są trzy wyjaśnienia:

Pierwsze, iż Jezus i jego uczniowie obchodzili Paschę innego dnia niż kapłani w Jerozolimie. Zauważmy, że niektórzy Żydzi współcześnie żyjący w diasporze obchodzą święto Paschy, trwające normalnie tydzień, przez osiem dni, a inni spożywają seder dwukrotnie, aby mieć pewność, że wszystkie rytualne czynności od-

2. Podkreślam, że opisuję wyłącznie te szczegóły paschalnego ceremoniału, które są bezpośrednio związane z tematem artykułu. Większość innych, mających ogromne znaczenie religijne i symboliczne, nie jest nawet wspomniana. Współcześni Żydzi, zwłaszcza żyjący w diasporze, obchodzą niekiedy Paschę w sposób nieco różny od tu opisanego.

były się w przepisany czasie³. Redaktorzy Biblii Tysiąclecia przyjmują to właśnie wyjaśnienie, pisząc w przypisie do J 18:28: „Jezus z uczniami spożył [ucztę paschalną] w czwartek, koła zaś kapłańskie trzymały się innego kalendarza — stąd różnica dnia”. Drugie wyjaśnienie zakłada, że Ostatnia Wieczerza nie była wieczerzą paschalną, lecz miała „paschalny charakter”: wiedząc o swym rychłym pojmaniu Jezus spożył seder o dzień wcześniej (Łk 22:15): „Gorąco pragnąłem spożyć tę Paschę z wami zanim będę cierpiał”. Trzecie wyjaśnienie podkreśla eucharystyczny charakter Ostatniej Wieczerzy, twierdząc, że ani w formie, ani w treści nie była to wieczerza paschalna (por. I Kor 11:17-34). Nie ma tu miejsca na dyskusję, które z tych wyjaśnień są prawdopodobne, a które nie. Jeśli jedno z nich jest poprawne, to interpretacja wszystkich czterech *Ewangelii* jest taka sama: Jezus został ukrzyżowany 14 dnia miesiąca Nisan, to znaczy w przeddzień oficjalnie obchodzonego święta Paschy. Jeżeli nie, możliwe jest, iż Jezus został ukrzyżowany w dniu Paschy, to znaczy 15 Nisan.

Trzecie wyjaśnienie: wszystkie cztery *Ewangelie* zgodnie stwierdzają, że Jezus umarł na kilka godzin przed początkiem szabatu, to znaczy w piątek po południu.

Zbierzmy raz jeszcze wszystkie przesłanki: Jezus został ukrzyżowany w piątek, w dzień poprzedzający dzień Paschy, albo dokładnie w dniu Paschy, w jednym z siedmiu lat 29, 30, 31, 32, 33, 34 lub 35 A.D.

Ponieważ żydowskie święto Paschy wypadać może w różne dni tygodnia, ustalenie, w którym spośród siedmiu lat pomiędzy 29 a 35 A.D. wypadło ono w sobotę (lub w piątek) ogranicza wybór kalendarzowo możliwych dat śmierci Jezusa na krzyżu. Należy więc odtworzyć religijny kalendarz świąt żydowskich w latach pomiędzy 29 a 35 A.D.

Przypomnijmy, że rok w religijnym kalendarzu żydowskim zaczynał się, w czasach Jezusa⁴, od nowiu księżyca pierwszego

3. Być może to właśnie stało się powodem omyłki popełnionej przez *Encyklopaedia Britannica*, która w haśle „seder” błędnie informuje, na co zwrócił mi uwagę Oded Regev, że wieczerzę paschalną spożywa się 15/16 dnia Nisan.

4. Kalendarz żydowski został zreformowany około roku 360 A.D. Używany obecnie różni się od tu opisanego głównie tym, że miesiące nie liczy się od nowiu do nowiu. Mają one na przemian albo 29 albo 30 dni. Co mniej więcej trzy lata dodaje się trzynasty miesiąc. Dodajmy, że cywilny rok w kalendarzu żydowskim zaczyna się (i zaczynał) pół roku przed miesiącem Nisan — od pierwszego nowiu księżyca po jesiennej równonocy, o ile nie jest to środa, piątek lub niedziela. Dzień ten, żydowski Nowy Rok, znany jest też jako Dzień Sądu. Żydzi wierzą, że przez dziesięć dni od Dnia Sądu do Dnia Pojednania (Yom Kippur) Bóg studiuje księgę dobrych i złych uczynków każdego człowieka.

dnia miesiąca Nisan i trwał przez dwanaście księżycowych (od nowiu do nowiu) miesięcy. Był zatem około 11 dni krótszy od roku słonecznego, tzn. liczonego od jednej wiosennej równonocy do drugiej. W ciągu trzech lat różnica ta narastała do około miesiąca. Dlatego, aby trzymać kalendarz w zgodzie ze słońcem, Żydzi dodawali co mniej więcej trzy lata trzynasty miesiąc do, jak pisze Bruno Schulz w znanym opowiadaniu, „szeregu zwykłych miesięcy”. W czasach Jezusa sprawy kalendarza regulowane były przez Sanhedryn, to znaczy najwyższą radę (lub sąd) żydowską, do której należało 70 kapłanów, przedstawicieli możliwych rodów i uczonych w Piśmie. Sanhedryn ustalał początek roku opierając się na uwierzytelnionych zeznaniach świadków, którzy dostrzegali pierwszy wąski sierp młodego księżyca. Sanhedryn także decydował, czy w danym roku wprowadzić dodatkowy, trzynasty miesiąc przed miesiącem Nisan. Trzynasty miesiąc wprowadzany był zawsze, aby zapewnić, że święto Paschy wypadnie po dniu wiosennej równonocy. Był on wprowadzany także, jeśli wyjątkowo zła pogoda opóźniała zbiory: z rytualnych względów jagnięta ofiarne nie mogły być zbyt młode, a owoce niedojrzałe w czasie Paschy.

Momenty, w których sierp młodego księżyca dostrzegany był po raz pierwszy po nowiu w Jerozolimie w czasach Jezusa, mogą być dzisiaj bardzo dokładnie wyliczone przez astronomów. Współczesne teorie, potwierdzone tysiącami obserwacji i eksperymentów, wiążą moment pierwszej widoczności młodego księżyca nad zachodnim horyzontem ze wzajemnym położeniem słońca i księżyca oraz ich ustawieniem względem widnokregu. Podobnie pytanie o to czy w danym roku Sanhedryn dodał, czy nie dodał trzynastego miesiąca do kalendarza, aby zapewnić, że święto Paschy wypadnie po dniu wiosennej równowagi, jest pytaniem czysto astronomicznym i można na nie odpowiedzieć, wykonując odpowiednie wyliczenia. Ponieważ jednak nie dochowały się do naszych czasów wiadomości o ewentualnym dodaniu trzynastego miesiąca z powodu złej pogody, nie można wykluczyć że w niektórych spośród lat od 29 do 25 A.D. Pascha wypadła o księżycowy miesiąc później, niżby to wynikało z rachunku.

Biorąc pod uwagę wszystkie wspomniane niepewności i wykonując odpowiednie obliczenia astronomiczne Humphreys i Waddington doszli do wniosku, że: jeśli Jezus umarł na krzyżu w przeddzień święta Paschy, a więc 14 Nisan, dwie tylko daty wchodzi w rachubę: piątek 7 kwietnia 30 A.D. lub piątek 3 kwietnia 33 A.D. Jeśli Jezus umarł na krzyżu w dzień święta Paschy, a więc 15 Nisan, tylko jedna data jest możliwa, a mianowicie piątek 23 kwietnia 34 A.D. (już jak wspominaliśmy, tę datę sugeruje Newton) i to jedynie w tym przypadku, jeśli z po-

wodu złej pogody dodano w tym właśnie roku trzynasty miesiąc do kalendarza. Zdaniem Humphreysa i Waddingtona jest to mało prawdopodobne. W dodatku wielu badaczy uważa, iż nawrócenie się świętego Pawła miało miejsce w roku 33/34 A.D., a zatem data Ukrzyżowania w roku 24 nie jest możliwa.

Humphrey i Waddington dochodzą do konkluzji, że Jezus umarł na krzyżu w piątek wieczorem, w przeddzień święta Paschy, gdy Żydzi zabijali ofiarnego baranka na paschalną wieczerzę, i że było to albo 7 kwietnia 30 roku, albo 3 kwietnia 33 roku. Konkluzja zgadza się z poglądami większości przeszłych i obecnych badaczy (tylko nieliczni podają inne możliwe daty Ukrzyżowania). Podobnie także ich dalsze rozważania oparte na fakcie, że w *Ewangelii* Janowej wyliczone są trzy różne święta Paschy w okresie publicznej działalności Jezusa, nie są nowe⁵.

Analiza źródeł historycznych i astronomiczna rekonstrukcja kalendarza świąt żydowskich nie wystarczają, aby z całkowitą pewnością wybrać jedną z dwu możliwych dat Ukrzyżowania: albo 7 kwietnia 30 A.D., albo 3 kwietnia 33 A.D. I tu właśnie autorzy omawianej pracy zauważają nowy element, nie brany dotychczas pod uwagę przez nikogo: 3 kwietnia 33 A.D. księżyc wschodził nad Jerozolimą zaćmiony. Żydzi, tradycyjnie wypatrujący w tym dniu wschodzącego księżyca, aby zacząć wieczerzę paschalną, ujrzeni, zamiast okrągłej i jasnej pełni, księżyc uszczuplony przez dużą, krwistoczerwoną plamę, zajmującą lewą, górną część tarczy. Reszta księżyca była żółtopomarańczowa. Dopiero po pół godzinie zaćmienie minęło. Współczesna technika obliczeniowa i wiedza astronomiczna pozwalają na prześledzenie gry kolorów tego zaćmienia z dokładnością do pięciu minut! Zaćmienie podczas wschodu paschalnego księżyca nie mogło przejść niezauważone w Izraelu. Należy zatem przyjąć, że jeśli Jezus umarł tego właśnie dnia, wiadomość o zaćmieniu księżyca powinna być zostać zanotowana przez Ewangelistów. Tak jednak nie jest. Święty Jan nie opisuje żadnych zjawisk ziemskich ani niebieskich towarzyszących śmierci Jezusa, zaś Ewangelisci synoptyczni, bardzo dokładnie opisując te zjawiska, nie wspominają ani słowem o zaćmieniu księżyca. Święty Łukasz pisze co prawda o zaćmieniu, ale słońca. Zaćmienie słońca nie jest, oczywiście, astronomicznie możliwe podczas święta Paschy, jako że księżyc jest wtedy w pełni. Zaćmienia słońca i księżyca ustawione są do-

5. Zdaniem wielu autorów Jezus rozpoczął działalność publiczną nie wcześniej niż jesienią 28 A.D. Ponieważ w *Ewangelii* świętego Jana wyliczone są trzy różne święta Paschy, w tym jedno w czasie Ukrzyżowania, rok 30 nie mógłby być datą śmierci Jezusa. Ten wniosek nie jest jednak powszechnie przyjęty.

kładnie na jednej linii prostej. Księżyc pomiędzy Ziemią a słońcem zasłania słońce, rzucając cień na ziemię. Widzimy wtedy z Ziemi jego ciemną stronę — księżyc jest zatem w nowiu. Ponieważ księżyc jest dużo mniejszy od Ziemi, plama cienia jest mała. W dodatku porusza się ona bardzo szybko na powierzchni Ziemi tak, że w danej miejscowości zaćmienie słońca trwa bardzo krótko, najwyżej kilka minut. W przypadku zaćmienia księżyca to Ziemia rzuca swój cień na księżyc w pełni. Cień Ziemi jest dużo większy od księżyca i dlatego zaćmienia księżyca są długie, trwają dziesiątki minut. Przeciwnie niż zaćmienia słońca, które obserwuje się tylko tam, gdzie pada cień księżyca, a więc na niewielkim obszarze, zaćmienia księżyca widać na całej półkuli ziemskiej, nad którą księżyc akurat się wznosi.

Przypomnijmy odpowiednie fragmenty *Ewangelii* opisujące zjawiska na niebie i ziemi w godzinie śmierci Jezusa. Święty Mateusz (Mt 27:45) pisze: „Od godziny szóstej⁶ mrok ogarnął ziemię aż do godziny dziewiątej”, a dalej (Mt 27:51): „A oto zasłona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół; ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać. Groby się otworzyły i wiele ciał Świętych, którzy umarli, powstało”. Święty Marek tak opisuje śmierć Jezusa (Mk 15:33, Mk 15:38): „A gdy nadeszła godzina szósta, mrok ogarnął ziemię aż do godziny dziewiątej. (...) A zasłona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół”. Święty Łukasz (Łk 23:44-45) tak pisze: „Było już około godziny szóstej i mrok ogarnął ziemię aż do godziny dziewiątej. Słońce się zaćmiło i zasłona przybytku rozdarła się przez środek”. Trzygodzinne ciemności zanotowane przez Ewangelistów synoptycznych można tłumaczyć zjawiskami atmosferycznymi: na przykład silny sztorm mógł poderwać tumany pyłu z pustyni, które przysłoniły słońce. Takie gorące, pustynne sztormy, znane pod nazwą chamsinu, wieją często (co około 50 dni, arabskie słowo „chamsin” znaczy „pięćdziesiąt”) wiosną, jesienią i zimą w Izraelu. Czasem, choć nie zawsze, niosą ze sobą pył z pustyni. Słońce mogła zasłonić też wyjątkowo duża chmura burzowa. W najbardziej przejmującym, literackim opisie śmierci Jezusa, stworzonym przez Michaiła Bułhakowa w „Mistrzu i Małgorzacie”, ciemności wspomniane przez Mateusza i innych spowodowane były gwałtowną burzą, jaka przetoczyła się nad Jerozolimą.

Czy zatem fakt, że Ewangelisci nie wspominają o zaćmieniu księżyca dowodzi, że w dniu śmierci Jezusa księżyc nie był zaćmio-

6. Według rzymskiej rachuby godzin dwunastogodzinny dzień zaczynał się o świcie i kończył o zmierzchu. Godzina szósta wypadała w południe.

ny, a więc datą Ukrzyżowania Jezusa jest 7 kwietnia A.D. 30? Humphreys i Waddington twierdzą, że wprost przeciwnie: odpowiednia interpretacja *Ewangelii*, *Dziejów Apostolskich* oraz świadectwo apokryficznego *Raportu* Piłata może świadczyć, że w dniu Ukrzyżowania księżyc był zaćmiony. Najważniejszym argumentem przemawiającym, zdaniem autorów, za słuszością tej teorii, jest fragment z *Dziejów Apostolskich*, który opisuje, jak w dzień Zielonych Świąt tłum drwił z apostołów, na których spłynął dar przemawiania różnymi językami, sądząc, że upili się młodym winem, a święty Piotr odpowiedział na te zarzuty, przypominając słowa proroka Joela (Dz 2:17-21): „W ostatnich dniach — mówi Bóg — wyleję ducha mego na wszelkie ciało (...). I sprawię dziwy na górze — na niebie i znaki na dole — na ziemi. Krew i ogień i kłęby dymu, słońce zmieni się w ciemność a księżyc w krew, zanim nadejdzie dzień Pański wielki i wspaniały”. Komentatorzy tego fragmentu różnią się w interpretacji, czy dotyczy on wydarzeń przyszłych, czy przeszłych. Humphreys i Waddington przyjmują pogląd tych, którzy twierdzą, że święty Piotr przypomina tu zebranym zdarzenia pamiętane przez wszystkich, gdyż miały miejsce zaledwie siedem tygodni wcześniej, aby ukazać że wypełniły się już słowa proroka Joela. „Ostatnie dni” według tej interpretacji dotyczą rozpoczętych narodzeniem Jezusa czasów mesjańskich, a „dzień Pański wielki i wspaniały” to dzień Zmartwychwstania. Zdanie, że słońce zmieni się w ciemność odnosi się do trzech godzin ciemności zanotowanych przez *Ewangelie* synoptyczne. Autorzy omawianej pracy dowodzą licznymi cytatami z dawnych kronik, że księżyc zmieniający się w krew był w starożytności synonimem zaćmienia księżyca — a to z powodu charakterystycznej gry barw. Wobec tego zdanie „a księżyc [zmieni się] w krew” może odnosić się do pamiętanego przez wszystkich zaćmienia księżyca w dniu Ukrzyżowania. Czy jednak na pewno słowa świętego Piotra odnoszą się do zdarzeń przeszłych? Zdaniem wielu komentatorów tylko początek mowy Piotra, będącej, dodajmy, pierwszym publicznym wystąpieniem Głowy Kościoła, odnosi się do zdarzeń przeszłych a zakończenie, włączając w to fragment o słońcu i księżycu — do zdarzeń przyszłych: powtórnego przyjścia Jezusa i Sądu Ostatecznego. W wyjaśnieniu do omawianego fragmentu (Dz 2:17-21) redaktorzy Biblii Tysiąclecia tak piszą: „Ostatnie dni” dotyczą czasów mesjańskich — od narodzenia Chrystusa do jego przyjścia na Sąd Ostateczny. Wiersze 17 i 18 odnoszą się do początku tego okresu, a pozostałe do jego końca”. Zatem hipoteza, że święty Piotr przypominał zebranym zaćmienie księżyca w dniu Ukrzyżowania, jest zupełnie niedowiedziona i, trzeba to powiedzieć, niezwykle mało prawdopodobna. Nastę-

ny argument autorów jest również mało przekonujący. Tylko pięć spośród rękopisów *Ewangelii* świętego Łukasza wspomina zaćmienie słońca, inne nie. Według Humphreysa i Waddingtona jest możliwe, że w oryginalnym rękopisie świętego Łukasza żadne zaćmienie, ani słońca, ani księżyca nie było wspomniane⁷. Jeden z późniejszych kopistów, znający z ustnej tradycji przekaz o zaćmieniu w dniu Ukrzyżowania, mógł dopisać zdanie o zaćmieniu, sądząc, że chodziło o zaćmienie słońca. Znowu: jest to tylko hipoteza, nie można udowodnić, że tak właśnie było. Wydaje mi się w dodatku, że nie jest to hipoteza bardzo prawdopodobna. Przypomnijmy tu pouczającą historię rękopisów z Qumran, odnalezionych przypadkowo w roku 1947 w grocie skalnej na wybrzeżu Morza Martwego. Zawierały one między innymi tekst księgi proroka Izajasza, starszy o tysiąc lat od najstarszego znanego uprzednio. Jest on prawie identyczny z tekstem współczesnym! Dowodzi to, że żydowscy kopiści, przepisywający święte księgi są sumienni i dokładni — nie dopisują niczego do oryginału.

Wreszcie ostatni argument autorów oparty jest o świadectwo *Raportu* Piłata. Oryginał tego raportu, napisanego prawdopodobnie przez samego Piłata dla Tyberiusza, zaginął dość wcześnie. Nie wiadomo, czy dochowane do naszych czasów odpisy są wierne. Piłat pisze, że gdy Jezus umierał na krzyżu słońce się zaćmiło, pokazały się gwiazdy, ludzie zapalili lampy od zstępcy do zmięch, a księżyc zmienił się w krew. Zaćmienie księżyca jest więc wyraźnie wspomniane. Ale oprócz tego zaćmienia i innych zjawisk, opisywanych w *Ewangeliiach* synoptycznych, Piłat wspomina, że „pokazały się gwiazdy”. To jest, oczywiście, astronomicznie niemożliwe. Zauważmy, że żaden z Ewangelistów nie pisze o tym, że gdy Jezus umierał na krzyżu, na niebie nad Jerozolimą widać było gwiazdy. Moim zdaniem wątpliwości co do historycznej wiarygodności *Raportu* oraz niezgodność pomiędzy *Raportem* i *Ewangeliami* powodują, że nie może on dać rozstrzygającego, niepodważalnego świadectwa o tym, że w dniu Ukrzyżowania księżyc wschodził nad Jerozolimą zaćmiony. Musimy zatem stwierdzić, że hipotezy Humphreysa i Waddingtona nie daje się dowieść. Nie da się jej jednak też obalić. Nie wiemy, jaka jest prawda i być może nigdy nie będzie-

7. W książce B. M. Metzgera „A Textual Commentary of the Greek New Testament” fakt ten przedstawiony jest odmiennie: wszystkie rękopisy wspominają o zaćmieniu lub zaciemnieniu, jedne wszelako używają wieloznacznego określenia „zaciemnienie” w sensie „astronomiczne zaćmienie słońca” lub osłabienie światła słonecznego wywołane innymi przyczynami, a inne używają wyrazu oznaczającego jedynie „nie-astronomiczne zaciemnienie”. To wydaje się wykluczać możliwość interpretacji podanej przez autorów.

my wiedzieli. Ja sam sędzę, że moi koledzy mają rację. Myślę, że fakt (będący najpoważniejszym zarzutem przeciwko ich hipotezie), iż *Ewangelie* nie wspominają zaćmienia księżyca można wytłumaczyć w sposób naturalny: zaćmiony księżyc wschodził kilka godzin po śmierci Jezusa. Ewangelista opisujący zjawiska towarzyszące śmierci Jezusa na krzyżu nie musieli zatem, a nawet nie mogli umieścić wzmianki o zaćmieniu, które było późniejsze. Są także inne przyczyny, dla których ta hipoteza jest dla mnie, zawodowego astronoma, bardzo pociągająca. Przede wszystkim rozumiem pewność, popartą rzetelnym użyciem mego fachu, z jaką autorzy pracy mówią o datach pełni księżyca, kalendarzu świąt żydowskich, kolorach zaćmienia. Drugi powód jest psychologicznej natury. Przez dwa tysiąclecia sztuka, w oparciu o *Ewangelie* i natchnioną wiarę, stworzyła obraz ziemskiego życia Jezusa w malarstwie, rzeźbie, literaturze, muzyce i filmie. Stał się on ważną częścią chrześcijańskiej tradycji. Tę tradycję ma teraz szansę, po raz pierwszy, wzbogacić nauka — dając nam wszystkim wizję wschodzącego nad Jerozolimą, w ciemnościach, które okryły wtedy ziemię, czerwonego od krwi księżyca.

Marek Artur ABRAMOWICZ

Triest - Tel-Aviv - Oxford, luty/marzec 1984

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris
Tel.: 326-04-42

Wydawnictwa Jubileuszowe:

- W. Voisé: „KSIĘGARNIA POLSKA — 150 LAT PLACÓWKI”,
- R. Cieśliewicz, afisz: „1833 — NAISSANCE DE LA PREMIÈRE LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS”,
- A. Mickiewicz: „PAN TADEUSZ” w nowej serii „Klasyków Polskich”, 24 ryciny E. M. Andriolliego z 1881 roku.

Wydawnictwa w języku polskim oraz „polonica” francuskie
w dużym wyborze.

Wysyłamy katalogi bezpłatnie na żądanie.

Trudne życie

Bing odrzucił niepotrzebną już maczugę.

— Oto szczęście ludzkości nastąpiło — powiedział obgryzając czaszkę Bonga. — Bardzo mi ta czaszka smakuje i czuję się szczęśliwy, że to ja obgryzam czaszkę Bonga, a nie Bong moją. Sprawdziły się przepowiednie o złotym wieku.

— Co by na to powiedział Bong — wyraził się Kangoor, syn pieczarki i laureata Nagrody Nobla w dziedzinie genetyki. Po ostatniej wojnie wszechświatowej nastąpiło wyludnienie, a zatem niedostatek stosunków międzyludzkich. Tylko specjaliści umieli kopulować — zastępczo — z organizmami niższymi. Kangoor wypowiedział tę swoją myśl ostrożnie, to znaczy zza krzaków, w przyzwyczajonej odległości od uzbrojonego Binga.

— Pomyłka idealistów — odrzekł Bing wysysając szczękę — polegała tylko na tym, że ludzkość pojmowali jako jakość abstrakcyjną czyli nieśmiertelną, zapominając o śmiertelności poszczególnych osobników. Czyli Bonga. Więc teraz Bong nie ma nic do gadania. Zresztą to nie była pomyłka *sensu stricto*, ponieważ ludzkość jest abstrakcyjną jakością.

— Która jednakże może być postulowana tylko przez jednostkę — upierał się Kangoor. — Na przykład przez ciebie.

— Czyli wszystko jest w porządku — zakonkludował Bing, konkludując jednocześnie ostatnią pożywną część czaszki Bonga.

— Żyje i postuluje.

To powiedziawszy czknął i spojrzał uważniej na Kangoor, ściślej mówiąc na krzaki, w których tenże się ukrywał. — Może byś stamtąd wyszedł nareszcie? Nie lubię rozmawiać kiedy nie widzę twarzy rozmówcy.

— Kiedy ja nie mam twarzy, tylko ryj — odpowiedział

skromnie Kangoor — który w dodatku na skutek radioaktywowanych mutacji nie przypomina żadnego ze znanych dotąd ryjów.

— Tym ciekawsze — zaakceptował Bing. — Ewolucja i postęp, oto co zawsze mnie interesowało. Twój ojciec znał się na rzeczy. Chętnie obejrzałbym cię z bliska.

— Ja ciebie stąd widzę doskonale — upierał się Kangoor. Po linii grzyba odziedziczył upodobanie do leśnych zaciszy i niechęć do otwartych przestrzeni, zaś po linii Nobla podstawową inteligencję.

— Subiektywizm — zganił go Bing. — Masz do mnie stosunek przedmiotowy, odmawiasz mi podmiotowości. Wbrew podstawowym założeniom etyki. Nie uznajesz mnie za równorzędną jednostkę.

— Ależ ja uznaję! — oburzył się Kangoor — i dlatego właśnie nie wychodzę z krzaków.

— Wobec tego ja tam zaraz przyjdę — zawołał Bing i chwyciwszy maczugę rozpędził się w stronę zarośli. Kangoor rzucił się do ucieczki. Niestety, dolną część ciała odziedziczył po pieczarce, a zatem miał tylko jedną grubą nogę, zaś Bing dysponował dwiema normalnymi. Ucieczka nie mogła trwać długo.

— Co teraz? — zapytał Kangoor, gdy Bing od dłuższej już chwili siedział na nim nieruchomo, w głębokim zamyśleniu. — Nie chciałbym ci przeszkadzać ale wolałbym wiedzieć co ze mną zrobisz.

— Mam ochotę na zupę, ale nie wiem, czy to będzie zupa grzybowa, czy Noblowa.

— A, jeśli tak, to zdradzę ci moją rodzinną tajemnicę. Moja matka nie była z domu pieczarka.

— A co? — zaciekawił się Bing.

— Muchomor.

— Twój ojciec dymał muchomora?

— Znał się na genetyce, ale nie znał się na grzybach. A poza tym wypraszam sobie ordynarne określenia.

— Przecież muchomory są trujące.

— Tylko w zastosowaniu gastronomicznym, jako zupa na przykład.

— Wszystko się nagle skomplikowało — rzekł z westchnieniem Bing. — A już myślałem, że żyjemy w złotym wieku.

— Być może na realizację utopii należy jeszcze poczekać — pocieszył go Kangoor melancholijnie. — Poczekajmy więc.

Innego jednak zdania był Aleksiej Samowarowicz, potomek prostego żołnierza Armii Czerwonej i samowara. Jego odległy przodek, bez żadnego laboratorium, tylko przy użyciu najprostszych narzędzi, choć bez specjalistycznego wykształcenia, ale za to wyposażony w naukowy światopogląd, zapał i niespożytą wi-

talność — dokonał w zaciszu garnizonu na granicy chińskiej eksperymentu znacznie trudniejszego, niż ten, którego owocem był Kangoor.

Obecnie Aleksiej Samowarowicz, pół-mołojec, pół-samowar, zbliżył się do Kangoor i siedzącego na nim Binga.

— Może herbaty? — zaproponował Kangoor Bingowi, zważwszy podobieństwo Samowarowicza do samowaru. — Choć to nie zupa, ale zawsze coś gorącego.

— *Czaju niet* — oświadczył stanowczo Aleksiej Samowarowicz i wyzwoił Kangoor od Binga, a Binga od Kangoor. Stało się to niejako automatycznie, bowiem Aleksiej, choć samowar, wszechstronne wyzwalanie miał w genach. Był przecież potomkiem Czerwonej Niezwyciężonej. Ponieważ zaś w ojczyźnie jego przodków wszystko było największe, więc samowarowe jego części były wielkości lokomotywy. Nic nie mogło się oprzeć jego wyzwoleńczej sile.

— *Job twoju mać* — poradził leżącym i oddalił się na Zachód. Cyrkulował bowiem wokół kuli ziemskiej w kierunku zachodnim, co również było u niego atawistyczne.

— Wracając do przerwanej rozmowy — rzekł Kangoor usiłując złożyć ponownie w całość fragmenty swojej jedynej nogi rozrzucone na krzakach i przymocować ją do kadłuba. — To co postanowiłeś?

— Mam dosyć zadawania się z mutantami — odpowiedział Bing, aczkolwiek niewyraźnie, ponieważ maczuga tkwiła mu w krtani. Po czym na czworakach opuścił teatr zdarzeń. Prawdopodobnie w poszukiwaniu istoty czysto ludzkiej, bez żadnych genetycznych domieszek, takiej samej jak on sam, lub jak nieboszczyk Bong.

Sławomir MROŻEK

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

Anna FRAJLICH

CZYTAJĄC GIBBONA

Upadał Rzym

— jakże wspaniały —
drogami wojska jeszcze szły
słońcem winnice oczekiwały
i kolumnowy marmur biały
porastał pył

upadał Rzym

co trwał przez wieki
żeby upadłszy wieki trwał

i nawet dziś nikt nie wie
czemu

jeszcze cezara syn i brat
zabijał by dosięgnąć tronu
jeszcze gladiator mierzył w lwa
w mowach wytrawnych oratorów
subtelnie grecki dzwonił styl
i tłum — jak zwykle — był na Forum
nikt nie przeczuwał

że we mgle
w porannej mgle nadreńskich borów
upada Rzym.

22 lutego 1984 r.

Anna FRAJLICH

Wiersze

Lech DYMARSKI

O CO WŁAŚCIWIE TYM LUDZIOM CHODZI

Najważniejsze, że działają prawa natury:

mordowany bywa zamordowany;

bity — zabity;

okradany okradziony;

okłamywany okłamany

i tak dalej.

Działają także (potwierdzając regułę) naturalne
przypadki:

chodzą po ludziach,

ludzie po ziemi,

ziemia chodzi jak w zegarku

i o to idzie

PRAWDA

A więc zgoda: jest pośrodku — gdzieś między
jedną półkulą a drugą (mózgu, ziemi).

Wszelako zdarza się, że pośrodku

ulicy leżą zastrzeleni, a prawda

jest tylko po jednej stronie.

Lech DYMARSKI

Obserwatorium

Dialog

Najpierw zdelegalizowano *Solidarność*, następnie — wszystkie związki twórcze, które chciały uratować choćby ślad autonomii, ostatnio przysłała kolej na politykę wydawniczą. Dziś w szkołach zdejmuję się krzyże i coraz częściej wzywa na przesłuchania księży uznanych za „ekstremistów”. Towarzyszy temu konsekwentne wzmaganie represji. Liczba więźniów politycznych, która zmalała po zniesieniu stanu wojennego, ponownie rośnie. Wydłuża się lista zakazów, których naruszenie karane jest więzieniem; aresztowanie Marka Nowakowskiego za to tylko, że jego książki ukazały się w Instytucie Literackim, jest tego wymownym przykładem. Z całą bezwzględnością prowadzi się działania zmierzające do rozbicia podziemnej *Solidarności* oraz niezależnej kultury: prasy, wydawnictw, instytucji oświatowych. Warunki w więzieniach są coraz gorsze. Znęcanie się nad więźniami przestało być czymś wyjątkowym.

W ciągu dwóch lat i trzech miesięcy ekipa gen. Jaruzelskiego nie dotrzymała żadnej obietnicy i nie ustąpiła w żadnej ważniejszej sprawie. Okazywana niekiedy powściągliwość w stosowaniu przemocy, w której niepoprawni optymiści widzieli zapowiedź zmiany kursu, za każdym razem okazywała się tylko grą na zwłokę, wyborem chwili odpowiedniej do zadania ciosu.

Dostrzegają to na swój sposób nawet ci, którzy przez długie miesiące po 13 grudnia wciąż jeszcze wierzyli w możliwość porozumienia. Dziś słowo to zostało wycofane z języka politycznego. Mówi się natomiast o dialogu. Jeśliby jednak ów „dialog” zakładać miał uznanie przez władzę jakiegoś różnego od niej i nie podporządkowanego jej wyraziciela interesów społecznych, którego opinii powinna wysłuchać by wziąć ją pod rozwagę lub

zmienić, przedstawiając własne racje — to władza przekonywująco udowodniła, że takiego dialogu nie zamierza prowadzić z nikim. Zresztą gdyby zamierzała, zrobiłaby to już dawno; w ciągu minionych dwudziestu siedmiu miesięcy ani okazji po temu nie brakowało, ani chętnych. Ale umizgi, uśmiechy, zapewnienia o otwartości i deklaracje dobrej woli okazywały się za każdym razem zwodniczą przynętą. Gdy bowiem dochodziło do spotkania, władza z reguły wymagała od swych rozmówców przystania na dyktowane im warunki; odpowiedzią na opór były jednostronne decyzje nie podlegające dyskusji ani zaskarżeniu.

Również dotychczasowe rozmowy prymasa Glempa z generałem Jaruzelskim oraz posiedzenia Komisji Wspólnej Episkopatu i rządu nie są w żadnej mierze dialogiem w podanym wyżej słowa tego znaczeniu. Poza uzyskaniem zgody na podróż Papieża do Kraju — co było osiągnięciem o najwyższej doniosłości — i załatwieniem niewielkiej liczby przypadków humanitarnych rozmowy te nie wywarły większego wpływu na bieg spraw publicznych. Kościół wciąż nie uzyskał statusu prawnego, o który zabiega. Nie doprowadził do utworzenia fundacji mającej popierać rolnictwo indywidualne. Nie osiągnął złagodzenia polityki represyjnej. Co ważniejsze, odrzucając te i inne propozycje Kościoła władza odmówiła uznania w nim rzecznika interesu narodowego. Całe jej postępowanie wskazuje dowodnie, że widzi w Kościele nie partnera dialogu o sprawach dotyczących ogółu Polaków, ale partykularną instytucję uprawnioną do występowania wyłącznie we własnym imieniu. W tym sensie dialogu z Kościołem władza po 13 grudnia nawet nie zaczęła, gdyż nigdy nie wyraziła zgody na samą zasadę, która stanowi jego konieczny warunek.

Czas najwyższy wyciągnąć wreszcie wnioski z dwudziestu siedmiu miesięcy doświadczeń i uznać fakt, że perspektywa dialogu z władzami PRL jest w przewidywalnej przyszłości nierealna. Czas najwyższy porzucić marzenia o rozmowach Polaka z Polakiem, co zakłada jakąś wspólnotę interesów, i uznać fakt, że mamy do czynienia z patriotami Paktu Warszawskiego, mianowanymi na zajmowane stanowiska, by zaprowadzić normalizację w rozumieniu Moskwy. Czas najwyższy przestać wierzyć, że władza musi odstąpić od polityki zapoczątkowanej nocą z 12 na 13 grudnia 1981, bo inaczej nie wyjdzie się z kryzysu, i zrozumieć, że jedynym kryzysem, z którego władza chce wyjść jest kryzys panowania PZPR w Polsce. Wszystkie te złudzenia ciążą już nazbyt długo na umysłach pewnych środowisk opozycji, a skutki tego są coraz gorsze: tu nie wymienia się *nazwy Solidarność*, tam mówi się o niej jak o czymś bezpowrotnie minionym,

a gdzie indziej dąży się wręcz do zaniechania wszelkich form oporu.

Nie znaczy to, że trzeba zaniechać rozmów z rządem. Znaczy to wszelako, że ci, którzy je prowadzą winni jasno zdawać sobie sprawę z rzeczywistego charakteru takich rozmów, pamiętać, że nie jest to dialog partnerów zatroskanych o wspólną sprawę, ale rokowania z przeciwnikiem pozbawionym skrupułów. I znaczy to, że należy unikać wszystkiego, co nadaje takim rokowaniom pozór dialogu, pozwalając wykorzystać je jako propagandową osłonę działań represyjnych. Wszystkiego, co sprawia wrażenie aprobaty dla polityki władzy i umacniania jej autorytetu w kraju i za granicą. Nie brakło niestety deklaracji, które nie spełniały tych elementarnych warunków i wystawiały gen. Jaruzelskiemu wraz z podwładnymi świadectwa szczerzej polskość i szlachetnych intencji, przyczyniając się do zwiększenia dezorientacji i osłabiając wolę oporu.

W ciągu najbliższych miesięcy takie świadectwa będą władzy szczególnie potrzebne. Dąży ona bowiem do zamknięcia pierwszej fazy normalizacji, co wymaga nie tylko zwycięstwa policyjnego, ale również sukcesu politycznego. Takim sukcesem mają stać się wybory do rad narodowych. Będą nim jednak tylko pod warunkiem dostatecznie wysokiej frekwencji i liczby oddanych ważnych głosów. Zarówno opinia publiczna jak instancje kościelne będą zatem przedmiotem intoksykacji i nacisków, aby nie dopuścić do bojkotu wyborów przez znaczną część uprawnionych do głosowania.

Jak będzie się kształtować opinię, już wiadomo. Naprzód zaczęła krążyć w Warszawie plotka — rzecz jasna z najlepiej poinformowanych źródeł — o mającej nastąpić 22 lipca amnestii dla 7 członków kierownictwa *Solidarności* i 4 członków eks-KOR. Następnie pojawiła się jej nowa wersja, zapowiadająca amnestię dla wszystkich więźniów politycznych. Wiadomo, że w niektórych środowiskach inteligentkich daje się temu posłuch z nadzieją, że przy okazji amnestii ujawnią się działacze *Solidarności* pozostający nadal w podziemiu, co pozwoli zamknąć historię związku i otworzyć nowy rozdział „dialogu z władzą”. Instancje kościelne są nie tylko pod ciśnieniem takich pogłosek. Wolno bowiem przypuszczać, że prymasowi Glempowi przypomniany będzie i podany za wzór kardynał Wyszyński, który w styczniu 1957 wezwał do głosowania na listę Frontu Narodowego. Pozostaje tylko wyrazić nadzieję, że różnice między gen. Jaruzelskim w roku 1984 a Gomułą w trzy miesiące po Październiku 1956 są dostatecznie uderzające, by nikt nie dał się zwieść tej fałszywej analogii.

REDAKCJA

Archiwum polityczne

Pomysły polityczne

Orwell po polsku

Widząc do połowy odsłonięte okno na ostatnim piętrze wieżowca odchodzi z przystanku, jakby nagle się rozmyślił. Przebiega kładką dla pieszych ponad połatany asfaltem autostrady. Jeśli byłby śledzony, policja właśnie w tym momencie by się wysypała. Ktoś zacząłby mówić do teczki, ruszyłyby samochody. „Gubi ich nadmiar techniki — myśli mijając kamerę na skrzyżowaniu ulic — a solidarności nie kupi się za dolary na Zachodzie”.

Zakurzony obiektyw mógłby najwyżej pokazać na monitorach wielotysięczny tłum. Nawet w Białym Domu orientują się, że wtedy jest już za późno. Dla podziemnego społeczeństwa kamery nie są żadnym zagrożeniem. Nasłuch rozmów policji wykazywał, że głównodowodzący Delta także z nich nie korzysta. Zresztą z drogówką Delta wyraźnie miał kłopoty: nie chciała zgłaszać zatrzymanych samochodów oficerowi dyżurującemu w Pokoju Nr 2 przy końcówce komputera. „I słusznie: przecież nie wszystko jest na kartki, a łapówek nie wezmą przez obiektyw ani przez komputer” — pomyślał, rutynowo sprawdzając w zaszczonej przejściowej klatce narożnego domu, czy jest „czysty”.

Skierował się teraz w stronę bloku, który zakodował w notesie jako Len-Mick. „Wszystko wiemy, więc mówcie” — uśmiecha się na wspomnienie ostatniego zatrzymania. Rozmiękczone wódką mózgi ubeków z Biura Szyfrów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie skojarzą przecież skrótów od słowa „Lenin” z ulicą Rewolucji Październikowej. Tym bardziej skrótów od nazwiska narodowego wieszczka z liczbą 44. Winda jedzie tak wolno,

że zanim zapuka do drzwi swojej skrzynki, dolicza się na ścianie szybu czternastu antyrządowych haseł. Nagle tuż nad głową zauważa przedmiot, którego jeszcze nigdy nie widział. Jest to krótka aluminiowa rura z okrągłymi otworami. Przez dwa z nich przełożona jest kłódka tak, by nikt z lokatorów nie mógł ukraść żarówki. Tego nawet Orwell by nie wymyślił!

Tak dla wielu z nas zaczął się Nowy Rok. *Real-soc* wkroczył w rok 1984. Po dwóch latach wojny wewnętrznej Wielki Brat nie może już na nas liczyć w obronie Grenady. Coraz bardziej oddalamy się od przerażającej wizji społeczeństwa totalitarnego, nakreślonej przez Orwella. Komunizm naszego roku 1984 nie jest wprawdzie mniej ohydny od tamtego, ale nie paraliżuje też swoją techniką naszej woli zbiorowego oporu. Partia zewnętrzna jest w rozkładzie, a proleci są zorganizowani. W czterdzieści lat po „wyzwoleniu” udało nam się wreszcie złamać komunistyczne tabu. Stworzyliśmy konspirację niepodatną na prowokację i nieuchwytną dla policji myśli. Zawdzięczamy ją 500 dniom Solidarności, które poruszyły — jak każda rewolucja — najgłębsze warstwy świadomości.

Zatem skoro jest tak dobrze, dlaczego jest tak źle?

W walce politycznej prowadzonej w warunkach użycia siły, gdy jesteśmy stroną fizycznie słabszą, decyduje ofensywność. Tymczasem, choć sytuacja wciąż się zmienia, pojawiło się niewiele nowych pomysłów politycznych, które zaskoczyłyby przeciwnika. Od początku wojny nie chcieliśmy brać udziału w grze władzy i proponowaliśmy własną. Musimy zatem odpowiedzieć sobie na pytanie: czym jest po dwóch latach program budowy Podziemnego Społeczeństwa?

Nie sprowadziliśmy społeczeństwa do katakumb. Z podziemia możemy natomiast wpływać i wpływamy na to, jak toczy się naziemne życie. Dzięki podziemnym ruchom do dziś nie nastąpiła „normalizacja” — życie naziemne nie stało się na sposób sowiecki przyziemne. Wystarczy wziąć do ręki jakąkolwiek gazetę oficjalnego obiegu, by zorientować się: tylko dla tego, że istnieje niezależna prasa, Urban musi kręcić, by choćby dotykać prawdy. Odbywa się niewidoczny na pierwszy rzut oka dialog i zawierane są porozumienia społeczne. Ich efektem jest ten poziom wolności, który dziś w Polsce mamy. To, co Bujak określił jako „walkę pozycyjną”, Kulerski jako „trzecią możliwość”, Michnik jako „długi marsz”, stało się odpowiednikiem strategii wojen ograniczonych, które obserwujemy od półwiecza na całym świecie.

W naturze naszej leży idealistyczne widzenie polityki. Wyraża się ono w tendencji do jasnych rozstrzygnięć: zwycięzcy albo pokonani, konfrontacja lub porozumienie. Nasz antytotali-

taryzm staje się przez to jałowy: coraz częściej padamy ofiarą propagandy własnej lub przeciwnika. Szukamy jednoznacznych, całościowych rozwiązań, zamiast skupić się na korzystnym rozgrywaniu kolejnych partii. Trzeba powtórzyć za Raymondem Aro-nem: „Tradycyjny pokój zniknął w tym samym czasie co wojna totalna”.

Nie dyrygować morzem

Długo jeszcze przyjdzie nam trwać między klęską a zwycięstwem. Właśnie trwanie tworzy nową jakość. Tę prawdę nasz naród cenił w tradycji, ale nie umie jej stosować w teraźniejszym działaniu politycznym. Fakt, że podziemne centrum Solidarności i ośrodki regionalne istnieją i działają już niemal dwa lata, stanowi zjawisko społeczne, którego doniosłość trzeba docenić już dziś. Społeczeństwo mające niezależne struktury organizacyjne w podstawowym wymiarze jest wolne. Ma szansę wyboru, bo po obu stronach więziennego muru może liczyć na Solidarność. Nie my żyjemy w katakumbach. To kilkuset tysięcy w środowisku aparatu władzy żyje w getcie. Na Rakowieckiej jest nawet dyskoteka, żeby młodzi ubecy nie waleśali się po mieście i mogli bezpiecznie zabawić się wśród swoich!

Obojętne, jaką politykę PRL chce prowadzić. Istotne, jaką prowadzić musi. System liberalizuje się pod naciskiem społeczeństwa, a nie na życzenie władz. Paradoks sytuacji polega na tym, że ekipa Jaruzelskiego wzięta jest w dwa ognie i uprawia już politykę Gierka: spektakularnie zaostrza kurs, by pokazać Moskwie i rodzimym gorliwcom, jaka jest twarda i własnymi rękami realizuje może nie nasze cele, ale sytuacje społeczne pozwalające o nie walczyć. W tym sensie ich reforma nie uda się, a nasza już jest w trakcie realizacji.

Od pierwszego kryzysu po porozumieniach sierpniowych — konfrontacji związanej z rejestracją Związku — piszę o milczeniu morza jako jedynej masowej reakcji, jaka może się powieść, gdy miliony ludzi staną wobec zorganizowanej przemocy. W tej ciszy powszechnej odmowy, odmowy udziału w kłamstwie i zbrodni, wystarczy rozgrywać na naszą korzyść kolejne wydarzenia, wystarczy znajdować wciąż nowe pomysły polityczne, a to już stopniowo przechylą szalę zwycięstwa. Taktyka Solidarności musi być na tyle elastyczna, by dla wszystkich było czytelne, że komunistyczni liberałowie realizują pod naciskiem społecznym właśnie nasze cele. Nastawiając się na częściowe, a

nie totalne konfrontacje powodujemy, że czas trwania pracuje dla nas.

Nie należy dyrygować morzem, co ostatnio robi dość często TKK. Nie należy wzywać do demonstracji i strajków, a jedynie popierać swym autorytetem te, które się rodzą. Wszyscy wracają (a robotnicy w szczególności) do doświadczeń Sierpnia '80. Ale przecież tego zrywu nikt nie zaplanował, ani też nikt do niego nie „poderwał mas”. Opozycja demokratyczna była przygotowana do sierpniowej rewolucji i dlatego została jej szczęśliwym akuszerem. Wezwania do demonstracji ulicznych nie mają sensu nawet, jeżeli ich celem jest tylko uzmysłowienie społeczeństwu, że Solidarność powinna „dzień święty święcić”. Jeśli ludzie nie wychodzą na ulicę, to nie dlatego, że nasz ruch uległ erozji. Wezwanie do demonstracji ma dziś bowiem tylko sens w rozmowie twarzą w twarz. Jeśli przyjaciel nie pójdzie z nami na pierwszomajową demonstrację, możemy uważać to za sprawdzian jego faktycznej odwagi i ideowości. Ale takich egzaminów żadna — choćby naznaczona charyzmą podziemnego autorytetu — władza nie może robić narodowi.

Drodzy nasi przywódcy, funkcjonujecie jako symbol, wypełniajcie więc ramy symbolu! Władza, która wciąż do czegoś wzywa i publicznie wydaje drobiazgowo dyspozycje zamiast panować nad sytuacją, zaczyna zarządzać. Nie warto na tym polu konkurować z komunistami. To oni już nie panują, więc tylko rządzą. Chaotycznymi, częściowymi nakazami próbują upewnić nas, a głównie siebie, że istnieje jeszcze jakaś całość pod tytułem Socjalizm Realny i jakiś PRL, którego oni są kierowniczą siłą.

Warto natomiast wypełniać aż do granic wyobraźni i wrażliwości społecznej symbol, jakim jest podziemne centrum Solidarności. Po to trzeba jedynie stawiać podpisy członków TKK czy RKW pod wszystkimi akcjami, które już miały miejsce i w których czytelna jest inspiracja ideami naszego ruchu. Wielu pomysłów politycznym brak jedynie poparcia autorytetu podziemnej „S”. Słowem: brak im pieczętki Rządu Narodowego.

Dawne pomysły polityczne

Walka polityczna składa się, jak każdy dramat, z epizodów. Znaczenie ich zależy od rozwiązywania dramatu, od tego, czym kończy się konfrontacja. Wielu dramatom, choćby w roku 1970 czy 1968, nie dane było się rozwinąć. Pojedyncze epizody dostarczały tylko aktorów przyszłym wydarzeniom. Jednym z bohaterów Marca był Michnik. Jednym z bohaterów Grudnia był Wałęsa.

Historia jako nauczycielka życia pokazuje przede wszystkim, jak częściowe są wysiłki ludzi, jak przypadkowe są ich ruchy. Nic poza świadomością społeczną nie łączy poszczególnych epizodów w historyczną całość. Warto tu przypomnieć słowa niedawno zmarłego poety Mirona Białoszewskiego: „W historii to zawsze bywa dużo tandety, zawsze”. Błędem jest próba konstruowania pomysłu politycznego w oparciu o przewidywanie „logicznego biegu wydarzeń” — zabawę w Pana Boga. Stare, dobre pomysły polityczne opierały się na innym założeniu wyjściowym: nawet jeśli nasza inicjatywa poniesie klęskę, to niech będzie to taka klęska, która kiedyś zaowocuje zwycięstwem. Nawet najambitniejsi politycy — dopóki unikają mistyfikacji organizacyjnych, bluffu, mitomanii — choć pokonani, przechodzą do historii. Spójrzmy pod tym kątem na dawne, ale wciąż żywe w pamięci narodowej pomysły polityczne.

Wymarsz Pierwszej Kadrowej Legionów następnym pokoleniom wydawał się początkiem logicznego ciągu wypadków. Z upływem czasu Oleandry to był już tylko romantyczny początek epopei. Zapomniano, że Piłsudski wyszedł *va banque*, rzucił wszystko na szalę. Był świadom, że jedna potyczka może uśmiercić jego pomysł polityczny i wówczas wymarsz z Oleandrów pozostanie tylko o gestem. Ale trzeba było grać, jeśli miało się już dość życia w wychodku. I bez ryzyka nie można było liczyć na wygraną w walce.

Powstanie Warszawskie (pokazuje to świetnie kontrowersyjna książka J. F. Steinera), czyli ograniczenie akcji „Burza” do terenu Warszawy i okolic, było pewnym pomysłem politycznym. W warstwie pozytywnej, w sferze *Realpolitik*, Powstanie miało od początku nikłe szanse odwrócenia biegu wypadków. Po przemilczeniu Katynia, po zdradzieckiej likwidacji AK na kresach Rzeczypospolitej żaden dowód sowieckiej perfidii nie mógł skłonić Zachodu do zmiany stanowiska wobec Sowietów. Powstanie Warszawskie jako poparcie Mikołajczyka w momencie jego rokowań w Moskwie? Ta kalkulacja polityczna też się nie sprawdziła. Mając za sobą płonącą Warszawę a przed sobą zimny cynizm Stalina, Mikołajczyk z prawowitego gospodarza zmieniał się właściwie w petenta sprawy polskiej.

Tym, co powoduje, że to powstanie skazane na tragizm owocuje dziś zwycięstwem, jest warstwa moralno-ideowa, do której przywódcy AK się odwoływali: nie wolno godzić się w milczeniu na przemoc, nie wolno, dopóki ma się broń w rękę, ginąć na kolanach, nie wolno jeść z ręki kata. Przyszłość pokazała, że honor i godność, których bronili powstańcy, stały się zobowiązaniem dla przyszłych pokoleń. I stworzenie takiego zapisu było

najistotniejszą częścią pomysłu politycznego, jakim było Powstanie.

Narodziny pomysłu politycznego są zawsze takie same: parę osób, jakiś środowiskowy autorytet, konkretne zadanie, twórczo potem rozbudowywane, tworzenie ram instytucjonalnych dopiero, gdy inicjatywa ma szansę się obronić i przetrwać pierwszy atak. Wymieńmy najważniejsze z nich. Pomysłami politycznymi były kluby: Krzywego Koła i Poszukiwaczy Sprzeczności. Pomysłem była grupa Znak w Sejmie. Pomysłem był „List 34” i list w sprawie poprawek do Konstytucji. Pomysłem politycznym był Komitet Obrony Robotników. Pomysłem była Niezależna Oficyna Wydawnicza NOW-a. Pomysłem było konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Pomysłem był *Robotnik* i tworzone przez jego kontakty kolportażowe komitety założycielskie Wolnych Związków Zawodowych. Pomysłem było Towarzystwo Kursów Naukowych i Uniwersytet Latający.

Strajk w Stoczni Gdańskiej i utworzenie MKS-u w sierpniu 1980 roku były pomysłem politycznym, wyrosłym z atmosfery i doświadczeń tego gorącego lata. Ale także ciężkiej harówki lat 1976-1980. Nie byłoby listy 21 postulatów strajkowych bez Karty Praw Robotniczych opublikowanej przez *Robotnika*. Nie byłoby ekspertów w Stoczni, gdyby nie działalność TKN-u. Nie byłoby biuletynu strajkowego *Solidarność*, gdyby nie NOW-a.

W każdej fazie rozwoju pomysłu politycznego, jakim był strajk w Stoczni Gdańskiej, zwiększała się stawka i jednocześnie malało pole manewru przeciwnika: jeśli nie udało się mu wyciągnąć robotników na ulice, wymanipulować efektywnym taktycznym ustępstwem, trzeba było sięgnąć do stołu lub interweniować. Paradoksalnie po każdym kolejnym kroku ryzyko interwencji malało w miarę zwiększania się skali wydarzeń.

Utworzenie TKK było wspaniałym pomysłem politycznym. Mam jednak szereg wątpliwości co do kierunku, w którym pomysł ten został rozwinięty. TKK nie zdecydowała się, czy jest pieczęcią Rządu Narodowego, czy centrum operacyjnego, a przede wszystkim wcześniejszy tekst Wiktora Kulerskiego, który tak sformułował „trzecie wyjście” między ugodą a powstaniem, dowodził, że liderzy naszego ruchu są raczej za tworzeniem centrum-autorytetu, centrum, które bardziej uwiarygodnia i przyzwala, niż nakazuje i wzywa. Z kolei rozliczne apele po 31 sierpnia '82 świadczyły o tym, że TKK czuje się jednak centrum operacyjnym i zaczyna dyrygować morzem. Niezgodność obecnego działania z założeniami pierwotnego pomysłu politycznego, jakim było powołanie TKK „Solidarności”, nie jest przypadkowa.

Spór o program naszego ruchu i spór o jego model organiza-

cyjny toczy się nadal, jednak jest coraz dalszy od realiów politycznych i społecznych. Spróbujmy jeszcze raz opisać nie tyle przebieg tych polemik, co sposób, w jaki stawia się dyskutowane problemy: programu i organizacji.

Spór o program

„Zupełną nieorientację polityczną zdradzał Kościuszko, gdy wezwany przez Napoleona, aby stanął na czele sił polskich, oświadczył w liście do Fouchego, że pojedzie, jeżeli cesarz Francuzów zapewni na piśmie na razie choćby poufnie, a potem ogłosi publicznie: 1) że forma rządu w Polsce będzie taka, jak w Anglii; 2) że chłopci będą wolni i otrzymają na własność swoją posiadłość teraźniejszą; 3) że granice Polski będą się rozciągały od Rygi do Odessy z jednej, a od Gdańska do Węgier z drugiej strony”. Nic dziwnego, że Talleyrand z tego powodu powiedział, że: „Kościuszkę uważaliśmy zawsze za odważnego ale niezdolnego do przeprowadzenia jakiegokolwiek przedsięwzięcia”. Napoleon zaś powiedział: „Nie przywiązuję żadnego znaczenia do Kościuszki. Zresztą postępowanie jego dowodzi, że jest po prostu głupcem. Trzeba więc mu pozwolić, niech robi co chce, nie dbając o niego wcale”.

Ten fragment ze „Sprawy polskiej” Władysława Studnickiego, książki pisanej tuż przed wybuchem niepodległości, bo w roku 1911, obrazuje, czym stają się założenia programowe w oderwaniu od strategii walki politycznej. Nie inaczej niż Kościuszko za Napoleona postępuje dziś *Głos*, gdy proponuje w „Programie bieżącym” oparcie budowy państwa na sojuszu wojska, Kościoła i Solidarności. Armia nie po to zastąpiła partię, by powołać taką Świecką Tróję! *Niepodległość* nazwała trafnie program *Głosu* — „frankizmem po polsku” i... ogłosiła własne „Założenia programowe”, w których obiecuje nam w wolnej ojczyźnie nie tylko demokrację parlamentarną, ale i bezpłatne ubezpieczenia społeczne. A dlaczego, chciałoby się zapytać, przecież na przykład dla liberałów przymusowe ubezpieczenia społeczne to haniebne ograniczenie wolności? Dlaczego opłacać z pieniędzy podatników coś, o czym każdy na własne ryzyko mógłby zdecydować?

Programy polityczne określające do czego dążymy są zbiorem banałów: celów oczywistych, lecz nieosiągalnych, tym bardziej drażniących, im bardziej prezentowanych jako prawda objawiona. Programy działania, których tak wielu oczekuje, nie zaprowadzą nas dużo dalej. Samo powtarzanie zaklęć: „Trzeba umocnić autentyczne...”, „należy podmiotowo, a nie manipulacyjnie...” — nie zbliża nas do wolnej Polski.

Działanie nie opiera się na wielkich słowach, znajduje w nich najwyżej duchową inspirację. Określenie celów w oderwaniu od środków jest niezrozumieniem istoty gry politycznej. Cele walki są środkami i środki walki są celami. W dzisiejszych sporach o program *gros* wysiłku intelektualnego poświęca się na określenie, dlaczego jest źle lub co znaczy: dobrze. Tymczasem pytaniem, które stawia sobie w miarę świadomy obywatel jest: co i jak zrobić, żeby było dobrze lub choćby lepiej? Jest to więc pytanie o strategię czy taktykę działania, a nie o dalekosiężne cele polityczne. Sprawdzianem zasad ideowych są pomysły polityczne.

Przypomnijmy: pomysłem był KOR, pomysłem był TKN, pomysłem były Komitety Założycielskie Wolnych Związków Zawodowych, które zapewniły Solidarności pierwszą kadrę działaczy. Myśl programowa towarzyszyła tym pomysłom najpierw w formie etosu, któremu byli wierni ci, którzy pomysł współtworzyli, później jako podsumowanie doświadczeń. Jest znamienne, że dokumenty będące zbiorami postulatów nigdy nie zyskały tej siły przebicia, co zapisy życia politycznego robione na gorąco. „Czarna księga cenzury” — to była przecież prawdziwa bomba! Lepsza niż niejeden apel w obronie wolności słowa.

Program działania proponowany przez KOR w latach 1976-1980 sprowadzał się do hasła Jacka Kuronia: „Zamiast palić komitety, zakładajcie własne”. W latach 1980-1983 nasze własne komitety — Solidarność zakładów, regionów i kraju — wciąż próbowały skłonić władzę do dialogu”. (...) Nie postuluję tu ani walki o niepodległość, ani też dążenia do parlamentarnej demokracji — pisał wówczas Adam Michnik w artykule „Nadzieja i zagrożenia” — choć zawsze deklarowałem, jak bardzo drogie są mi te wartości i dziś się tych deklaracji nie wyrzekam. Twierdę wszakże, że kto dzisiaj ufa w realizm takich postulatów, ten bierze zasadniczy rozbrat ze zdrowym rozsądkiem i poczuciem narodowej odpowiedzialności.

Postuluję tu kompromis z władzą. Z władzą, której nie lubię, której zasady nie podobają mi się, ale która jest dla nas tym samym, co gipsowy gorset dla chorego: jest uciążliwa, ale niezbędna. (...) Można ludzi władzy nie lubić, ale trzeba w nich widzieć partnerów negocjacji”.

Do roku 1980 o dialogu nie mogło być mowy: władza ignorowała opozycję. Po Sierpniu komuniści zaakceptowali dialog jako... przygotowanie do użycia siły. To wyznaczyło kolejną drogę: dialogu siłowego, prowadzonego nie tyle przy ciągłym użyciu siły, co w cieniu przemocy. Władza i Solidarność znalazły się w sytuacji podobnej do tej, która ogranicza dziś wielkie

mocarstwa. Szantaż atomowy powoduje, że nie stać żadnego z nich na bezpośrednią konfrontację: grozi ona samozniszczeniem. Podobnie namiestnicza władza w Polsce, jeśli podjęłaby ponowną próbę totalitarnego opanowania społeczeństwa, zostałaby zapewne zmieciona przez dalszy bieg wypadków. Impas polega na tym, że jeśli władza zastosuje masowy terror, Starszy Brat nie będzie już potrzebował w Polsce Rakowskich i Jaruzelskich: znajdzie sobie nowych „liberałów”. Jeśli zaś kolejny po 13 grudnia frontalny atak ugrzęźnie w humanitarnych (z punktu widzenia Moskwy) niekonsekwencjach, trzeba będzie zatrudnić bardziej „betonową” ekipę do dalszej „normalizacji”. Obecny namiestnik czuje się więc dziś w Belwederze gorzej niż Wielki Książę Konstanty. Za plecami ma konkurentów, pod sobą nieuchwytnie podziemie polityczne, a uciekać nie ma dokąd.

Natury systemu zmienić nie można. Na razie obalić się go nie da. Jak i jakie cele polityczne należy postawić, by wykorzystać impas władzy? Należy dążyć do zmiany systemu przez wymianę jego instytucji. Tylko częstkowe cele polityczne pozwolą wywalczyć nowe obszary wolności. A każde zagospodarowane przez Solidarność pole życia społecznego zmieni cechy naszej ograniczonej suwerenności. Stan marazmu związanego z wielkim szantażem (konfrontacja z władzą to sowiecka interwencja) można przełamywać właśnie działaniami lokalnymi. O ile naga władza realnego socjalizmu na szczeblu centralnym jest usprawiedliwiona skądinąd racjonalnym argumentem — musimy rządzić, skoro z przyczyn geopolitycznych nie może rządzić Solidarność — to w skali lokalnej taka *Realpolitik* zamienia się w kompletny nonsens. Nonsens, dodajmy, czytelny, któremu można przeciwstawić prostą kontrpropozycję.

Niezależne instytucje społeczne najpierw były symbolem, który władza próbowała ignorować, potem społeczną praktyką, która usiłowała rozluźnić partyjno-państwowy gorset. Dziś niezależne instytucje w postaci podziemnych struktur organizacyjnych są faktami, z którymi władza musi walczyć środkami politycznymi. Represje policyjne nie są w stanie ich zniszczyć, bo naród przekonał się, że Solidarność jest warunkiem narodowej egzystencji: peerelowski gorset już nie podtrzymuje „chorego człowieka Europy”, a tylko dusi. Dotąd niezależne instytucje walczyły o wielkie zmiany w ramach systemu. Proponuję odmienną taktykę. Walczmy o tysiące małych zmian, nie troszcząc się o to, czy „mieszczą się one w ramach”. Nowe jakości społeczne, które powstają przy realizacji pomysłów politycznych wyznaczą nową skalę przemian. W naszej dwuletniej już dziwnej wojnie jedynym frontem walki, który się ustabilizował jest front lokalny. To obrona konkretnych spraw i ludzi mobilizuje innych do walki. Ani sprawy pod-

wyżek cen, ani wyborów, ani więźniów politycznych nie wygramy centralnie, jeśli lokalną inicjatywą nie rozpoczniemy walki. To wymaga tworzenia konkretnych kontrakcji, kontrpropozycji, kontrplanów, będących naszym niepisany programem pozytywnym.

A jeśli szukamy tych wielkich, inspirujących pomysły polityczne słów, niech słowem tym będzie WOLNOŚĆ. Wolność związkowa i wolność wyborów. Wolność nauki i wolność kultury. Wolność oświaty i wolność produkcji. Wolność budowlana i wolność handlu. Pomysł polityczny stanowi nie tyle żądanie wolności, co znalezienie sposobu na wolnościową samorealizację i przyjęcie tych ograniczeń wolności, które inicjująca pomysł społeczność uważa za niezbędne.

Nie można być „wolnym, jeśli...” Byłaby to Frommowska wolność od, a nie wolność do. Człowiek wolny jest wolny, choćby w niepełny sposób, ale już tu, teraz. Jeśli kto czeka, aż znów będzie mu wolno założyć znaczek Solidarności, to jest niewolnikiem. Niewolnikiem patriotycznych symboli, które żywią się same sobą, gdy jego zwyczajne życie zniewolone biegnie obok.

Solidarności jest dziś potrzebny dokument, będący kartą praw. Kartą praw wolnego, demokratycznego, samorządnego społeczeństwa. Niegdyś Karta Praw Robotniczych była inspiracją dla rodzącej się w Stoczni Solidarności. Dzisiaj Karta Praw Obywatelskich mogłaby się stać inspiracją dla pomysłów politycznych, budujących naszą suwerenność. Wśród zapisów-haseł takiego dokumentu muszą się znaleźć takie, jak: uspołecznienie gospodarki, wolne związki zawodowe, ochrona środowiska, oświata niezależna, walka o pokój, wojsko w służbie narodu, chłopska gospodarka rodzinna, wolne wybory, samorząd terytorialny, bezpieczeństwo i humanizm pracy, samorząd pracowniczy, prawo do zrzeszania się i manifestacji, jawność życia publicznego, wolność dla politycznych i status więźnia politycznego, uczciwa płaca za uczciwą pracę i dodatek drożyznianny związany z ruchem cen, prawo inicjatywy prywatnej, niezależna kultura, prawo do strajku, wolny handel — ograniczony tylko przepisami podatkowymi, swoboda podróżowania i prawo łączenia rodzin.

Lista jest długa. Nie pretenduję do tego, by ją wyczerpać ani by ta kolejność była najlepsza. W sporze o strategię działania Solidarności nie szukam idealnego zestawu haseł, raczej już: innego sposobu ich rozumienia, widzenia znanych haseł w kontekście innej taktyki. Nie ma bowiem i nigdy nie było prostego przełożenia słów na czyny. Słowa uwiarygodniać można tylko włas-

nym działaniem, realizując konkretny pomysł polityczny. W grze „w czerwone” nie wystarczy zawołać: raz — dwa — trzy, moja wolność!

Spór o organizację

Jeżeli Solidarność jest dziś nie tylko ideą, ale formą, zawdzięcza to wyłącznie tym, którzy zdecydowali się stanąć w szeregu, oddać swoje siły i czas do dyspozycji ruchu. Czy jest to ktoś, kto oddaje raz na dwa tygodnie swoje mieszkanie na spotkania, kolporter bibuły czy członek RKW — każdy z nich buduje organizację. Jakkolwiek byśmy hołubili wizję wielkiego spontanicznego ruchu społecznego w opozycji do organizacji kadrowej, nikt nie ma złudzeń, że policja poluje nie na czytelników *Tygodnika Mazowsze*, a na producentów. Niepokój, jaki budzą wszelkie inicjatywy budowy organizacji kadrowych, wynikają — jeśli pominąć sferę neurotycznych skojarzeń (... pierwsza kadrowa, akowski szpan, tromtadracja narodowców itp.) z niezrozumienia sposobów organizowania wszelkich ruchów.

Wszystko, co połączone *homo sovieticus* uważa za scentralizowane. Jakby nie było innych połączeń niż góra-dół. Jakby „porozumienia poziome”, tak potępione w partii przez partię, u nas nie mogły stać się sposobem oddolnego scalenia organizacji. Jest wciąż wiele nieporozumień wokół podstawowych pojęć, którymi posługujemy się w dyskusjach o strukturze społecznego oporu. Wszelkie formy organizowania (strukturalizowania) działania jakiejś grupy ludzi rozumiane są jako wyraz ciągłot technokratycznych lub totalitarnych. Naszemu przeciwnikowi, którego siłą jest zawodowy aparat policyjno-wojskowo-partyjny, Solidarność chce przeciwstawić ruch „nieokreślony i różnorodny”, oparty na „spontanicznych reakcjach”.

Wszelkie scalanie i porządkowanie komunikacji uważane jest za szkodliwą centralizację. A przecież każde, nawet najbardziej spontaniczne działanie, musi pod koniec instytucjonalizować się, jeśli chce przetrwać. Instytucją może być jedno mieszkanie i jeden telefon, ale żadnego pomysłu politycznego nie zrealizuje się bez stabilnej i odtwarzalnej sieci łączności. Ważne, by organizować ją dla realizacji określonych pomysłów politycznych, a nie tworzyć organizację dla organizacji. Paradoks dostrzeżony przez Croziera i Friedberga polega na tym, że „wyzwolenie większej inicjatywy i autonomii jednostek nie dokonuje się przez zmniejszenie stopnia zorganizowania, ale przez jego zwiększenie rozumiane jako świadoma strukturalizacja obszarów działania”. W eseju „Czło-

wiek i system. Ograniczenia działania zespołowego" — piszą oni: „Alternatywą zmian technokratycznych i autorytarnych może być tylko stopniowe poszerzanie i upowszechnianie eksperymentowania rozumianego jako całokształt zespołowych i instytucjonalnych procesów uczenia się na wszystkich poziomach struktury społecznej, czy też raczej organizowania warunków sprzyjających upowszechnieniu się takiego eksperymentowania”.

Określając ramy pomysłu politycznego nie należy odwracać zagadnienia: najpierw się organizować, wyłaniać „wiarygodną reprezentację”, by ta określiła „autentyczne problemy środowiska”. Jeśli pomysł nie stoi na głowie, najpierw środowisko jest świadome swoich autentycznych problemów, drogą kooptacji powołuje nieformalne grupy, które określają środki-cele; gdy jest *consensus*, rodzi się potrzeba demokratycznej reprezentacji i demokratycznego sposobu określenia tych celów. Zarówno w czasach Solidarności, jak i dziś, w podziemiu, roi się od propozycji odwracających ten logiczny ciąg wydarzeń. Warto więc uczyć się na nowo demokratycznych obyczajów. Właśnie teraz, gdy za każdy gest trzeba znów zbierać raczej razy niż oklaski. Ta sytuacja może być lepszą szkołą skutecznej demokracji niż czasy jawnego działania Solidarności. Teraz bowiem ryzyko zabrania głosu pozytywnie selekcjonuje dyskutantów, a jednocześnie pozwala wyłaniać prawdziwe, a nie tylko wiecowe problemy i autorytety. I oby już nigdy nie powtórzyły się koniunkturalne argumenty o ludziach czasu walki i ludziach czasu negocjacji, które niejednego asekuranta nobilitowały na człowieka polityki, a dawnego dysydenta degradowały do roli prostego bojowca!

Nie zamierzam w tym tekście zgłaszać pomysłów politycznych, proponuję tylko zmianę punktu widzenia. Publiczne rzucanie pomysłów byłoby ich uśmiercaniem, zanim wejdą w krwiobieg Podziemnego Społeczeństwa. Inicjatywa powinna być dopiero wtedy ujawniona, gdy wystarczająco już okrzepła i jest w stanie sama się bronić, tzn. zorganizować środowiska w obronie swojego mini-centrum tak, by nie paraliżowało to normalnej działalności. Trzeba jeszcze raz sobie powiedzieć, że zarówno program jak i organizacja to w końcu ludzie. Ludzie, którzy swoją determinacją, poświęceniem, wolą pracy są gotowi unieść ciężar własnych pomysłów politycznych. Zdolni twarzą w twarz nawiązywać kontakty międzyludzkie, podejmować ryzyko, przełamywać strach. Ci, którzy łudzą się, że można zbudować jakąkolwiek polityczną inicjatywę w podziemiu bezosobowo, przez łańcuch pośredników, scedowując ryzyko na jakichś innych ludzi, a nie zaczynając od siebie, nie tylko narażają tym tych, których naprawdę musimy chronić (tj. TKK i poszczególne RKW), ale niszczą swoją ambicją przemieszaną ze strachem to, co w naszym ruchu jest naj-

ważniejsze: odwagę i braterstwo. A zarówno odwaga jak i braterstwo mierzone mogą być tylko podejmowanym faktycznie (a nie spychanym na innych) ryzykiem.

Kryzys ostatnich dwóch lat polegał na braku nowych pomysłów politycznych. Czas Solidarności, masowego ruchu, który działał w skali globalnej (nawet, gdy proklamowano lokalny strajk), przesunął zainteresowanie z pomysłów na wielkie cele. Po 13 grudnia, nawet gdy pojawiły się pewne pomysły i zyskiwały pewną popularność, wkrótce szukano kolejnej cudownej broni.

Co więc proponuję? By zamiast poszukiwać sposobu na wygraną frontalnej konfrontacji, skupić się na niewielkich osiągalnych celach, którym fakt ich jednoczesnego występowania nadawać będzie wymiar politycznej presji. Centrum, czyli TKK i Lech Wałęsa będą mogli wzywać do solidarnego poparcia tych inicjatyw, które zdołają przetrwać pierwszy atak władz. To pierwsze przetrwanie będzie próbą dla środowiska, które o swój lokalny cel walczy.

Nie jest istotne, czy powołamy kadrową organizację (w) Solidarności czy też nie. Nie statut, przysięga, legitymacja, dyscyplina i sankcje decydują o sile naszego ruchu. Ważne jest jedynie, by uświadomić sobie, czym podziemna Solidarność jest już teraz. Kim TKK faktycznie może kierować. Ważne, by wiedzieć, kiedy i na kogo można liczyć. Wizyta Ojca Świętego była ogólnospołecznym referendum. Ale wybory to będzie referendum tylko dla naszych kadr. *C'est la ζωή*. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna Solidarności musi w końcu, jak pan Jourdain, uzmysłowić sobie, że mówi prozą.

Zamiast happy endu

Czytelnik oczekuje w tym momencie, nie wierząc mym wcześniejszym zaprzeczeniom, że jeśli nie zaproponuję, to choćby zasugeruję parę nowych pomysłów politycznych.

Czekasz, Drogi Czytelniku, że i moja góra analiz urodzi mysz wniosków? Nic z tego. Nie posunę się ani kroku dalej. Ten tekst nie ma *happy end'u*, wszak miał służyć tylko terapii politycznej. To jedyny pomysł, jaki miałem, pisząc. Nowe pomysły polityczne należą do Ciebie.

Maciej POLESKI

Artykuł powyższy ukazuje się jednocześnie w pozacenzuralnym miesięczniku „Krytyka” (Red.).

O gospodarce Polski i bloku sowieckiego

(ROZMOWA Z PROF. WŁODZIMIERZEM BRUSEM)

Włodzimierz Brus, przed marcem 1968 profesor ekonomii politycznej Uniwersytetu Warszawskiego, wykłada obecnie problematykę gospodarki świata komunistycznego na Uniwersytecie Oxfordzkim. Jest członkiem (*fellow*) Wolfson College.

Radek SIKORSKI: — *Zacznijmy od kwestii bardzo ogólnej i w pewnym sensie także osobistej. Jak ocenia Pan 40 lat polskich doświadczeń centralnie planowanej gospodarki „realnego socjalizmu”? Czy i co zmieniło się w Pana ocenie z upływem czasu?*

Włodzimierz BRUS: — W okresie wprowadzania w Polsce socjalistycznej gospodarki planowej byłem jej entuzjastą. Zwolenników planowania było zresztą u nas wówczas wielu, między innymi pod wpływem ujemnych doświadczeń okresu międzywojennego. Jednak pojmowanie gospodarki planowej — jej zakresu, stosunku do rynku i związku z nacjonalizacją środków produkcji — było bardzo różne. Ja należałem do zwolenników rozwiązań skrajnych: planowania możliwie wszechogarniającego, scentralizowanego, opartego na daleko posuniętej socjalizacji środków produkcji, zwłaszcza poza rolnictwem. Krótko mówiąc, moje poglądy w tej sprawie oparte były na ortodoksyjnej doktrynie komunistycznej „marksizmu-leninizmu”. Wzory sowieckie uważałem za pozytywne, jeśli nie we wszystkich elementach — wiele negatywnych zjawisk tłumaczyłem sobie szczególnymi warunkami historycznymi Rosji zarówno przed jak i po Rewolucji — to na pewno w zasadniczych zrzębach. Wydawało mi się, że gospodarka centralnie planowana tego typu pozwoli stosunkowo szybko i skutecznie postawić niewykorzystane zasoby wytwórcze na służbę rozwoju ekonomicznego Polski, przede wszystkim jej uprzemysłowienia, bez którego nie widziałem możliwości rozładowania przeludnienia wsi, przeprowadzenia urbanizacji, awansu społecznego na wielką skalę, radykalnej — nawet jeśli nie nastąpiłaby od razu — poprawy warunków bytowania szerokich rzesz społeczeństwa. Realizację planu sześcioletniego przyjmowałem początkowo bez zastrzeżeń, a w pracy wykładowej i publikacjach wydobywałem

jedynie aspekty pozytywne, przedstawiając je jako potwierdzenia słuszności doktryny i aktualnej linii partii.

Jednakże już wówczas obserwacja rzeczywistości prowadziła mnie stopniowo do wniosku, że nawet przy najprzychylniejszej interpretacji wyników działania systemu daleko mu do racjonalności: wielka mobilizacja przynosiła efekty, lecz niewspółmierne do ogromnych kosztów. Toteż, kiedy po śmierci Stalina w 1953 roku zmieniać zaczęła się stopniowo atmosfera życia intelektualnego, wystąpiłem z — początkowo umiarkowanymi, później bardziej radykalnymi — propozycjami zmian. Propozycje próbowałem później uogólnić w postaci modelu gospodarki planowej, wykorzystującej mechanizm rynkowy i umożliwiającej samorządność pracowniczą. Wie Pan zapewne, że nie byłem pod tym względem wyjątkiem: burzliwy rok polskiego Października obfitował nie tylko w koncepcje, ale zrodził masowy ruch społeczny na rzecz przemian gospodarczych i politycznych. Panu chodzi jednak o wyjaśnienie ewolucji moich poglądów — muszę więc trwać na tej niespodziewanie biograficznej ścieżce. Otóż w tym mniej więcej okresie uświadomiłem sobie w pełni, że negatywne zjawiska pierwszego okresu istnienia gospodarki planowej w Polsce nie są „trudnościami wzrostu” słabnącymi w miarę dojrzewania, lecz przeciwnie będą się nasilały jeśli system ekonomiczny wraz z jego powiązaniami politycznymi nie zostanie zasadniczo zreformowany. Odtąd mój optymizm czy pesymizm w ocenie przeszłości i perspektyw gospodarki polskiej stał się uzależniony od tego, jak widziałem możliwości dokonania tego typu reformy.

Początkowo byłem optymistą nie tylko w odniesieniu do treści reform, lecz również jeśli chodzi o metody ich realizacji. Uważałem mianowicie, że najbardziej obiecującą a może nawet jedyną skuteczną metodą osiągnięcia niezbędnych zmian jest działanie od wewnątrz — w oficjalnych strukturach, zwłaszcza partyjnych. Jeszcze w 1966 roku, kiedy Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian zostali z PZPR usunięci, należałem do tych, którzy nalegali na nich aby złożyli odwołanie od decyzji, by utrzymali możliwość działania wewnątrz partii. (Sam otrząsałem się z tego złudzenia kilkanaście miesięcy później, tuż przed marcem 1968 gdy wystąpiłem z partii). Szkoda chyba czasu na rozwodzenie się, że ów optymizm był nieuzasadniony; istotne jest to, że chociaż od prawie 30 lat mało kto w Polsce dowodzi, że reforma systemu ekonomicznego jest zbędna a oficjalne zapowiedzi jej dokonania występują przeciętnie raz na pięć lat — system ma się znakomicie a gospodarka bardzo źle.

Jeśli zatem spojrzeć na czterdziestolecie gospodarki socjalistycznej w Polsce jako na całość, której obecna faza jest związana

z poprzednimi, jeśli uwzględnić koszty — wymierne i niewymierne — jeśli wziąć pod uwagę alternatywy, to ocena moja jest niestety ujemna. Zdaję sobie sprawę z tego, że to co mówię otwiera problem znacznie szerszy — problem reformowalności systemu w ogóle, ale jest to temat na oddzielną rozmowę.

R.S.: — *Zatrzymajmy się nad jeszcze jednym problemem natury ogólnej: czy to co Pan mówi stosuje się jedynie do Polski czy też ma wymiar ogólniejszy? Często spotkać się można z opinią, że w żadnym z krajów bloku sowieckiego nie nastąpiła taka katastrofa gospodarcza jak w Polsce...*

W.B.: — Czyli nie system jest winien lecz *polnische Wirtschaft*? Cóż — dawniej ignorowałem całkowicie wpływ takich czynników, jak charakter narodowy, tradycje itp. na procesy gospodarcze. Teraz jestem bardziej skłonny do brania ich pod uwagę, choć sam nie potrafiłbym wyważyć stopnia ich wpływu. Czytając przed rokiem 1980 książkę Waldemara Kuczyńskiego „Po wielkim skoku”, a ostatnio jedynie w swoim rodzaju „wspominki” Pawła Bożyka, szefa grupy doradców Gierka, musiałem raz po raz zadawać sobie to samo pytanie: czy ta horrendalna wprost ślepotą i lekkomyślnością ludzi decydujących o wielomiliardowych kwotach narodowego majątku nie jest w jakiejś mierze również przejawem tak często wytykanych w przeszłości polskich „grzechów głównych”? Odpowiedzi będą może w stanie udzielić ludzie bardziej kompetentni w formułowaniu wielkich uogólnień historycznych. Moja własna refleksja każe mi szukać źródeł szczególnego nasilenia negatywnych zjawisk gospodarczych w Polsce nie tyle w odległej przeszłości i charakterze narodowym Polaków, ile w bardziej niekorzystnych niż u sąsiadów konsekwencjach narzuconego systemu. Jak powiedzieliby cybernetycy, „ujemne sprzężenie zwrotne” między systemem a polską rzeczywistością społeczno-polityczną było i jest ostrzejsze niż gdzie indziej. W okresie wprowadzania systemu komunistycznego opór był w Polsce silniejszy niż gdziekolwiek w Europie wschodniej, o czym świadczy między innymi zapomniany dziś fakt, że w odróżnieniu od innych krajów demokracji ludowej, partia w Polsce powojennej nigdy nie odważyła się wystąpić w jakichkolwiek wyborach pod własnym sztandarem, zawsze chowała się za parawanem „bloków”, „frontów” czy „ruchów”. Jedyna próba przeciwstawienia się pełnej stalinizacji systemu politycznego, która wyszła z partii komunistycznej miała miejsce w Polsce w postaci gomułkowskiego „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”. Nawet w szczytowym punkcie stalinizmu nie udało się skolektywizować polskiego rolnictwa. Idea reform ekonomicznych połączonych z samorządno-

cią pracowniczą zrodziła się w Polsce wcześniej i nigdy właściwie nie udało się całkowicie zdjąć jej z porządku dziennego. Pozycja Kościoła katolickiego była i jest unikatem w świecie komunistycznym. Niezależność intelektualna i związki z kulturą zachodnią pozostawały zawsze (na miarę „obozową”) stosunkowo silne. Wreszcie — co najbardziej znamienne — każdy z wielkich przełomów politycznych w Polsce od 1948 roku dokonał się pod prężnym wpływem buntu robotniczego. Zmiał na kolejne ekipy a w 1980 roku dał początek autentycznemu ruchowi społecznemu i narodowemu na nieznana dotąd skalę. „Specyfika” polska jest więc niewątpliwa, a jedyną racjonalną metodą przeciwdziałania ciągłemu odrzucaniu „przeszczepu” mogła być systematyczna i subtelna polityka reform wychodzących naprzeciw postawom i aspiracjom społeczeństwa, zarówno w dziedzinie gospodarczej jak i politycznej. Zamiast tego królowała doktryna co najwyżej chwilowo i źle maskowana. Oczywiście nie ma żadnej gwarancji, że polityka reform przyniosłaby pełne rozwiązania ale stwarzałaby ona przynajmniej szanse. Podsumowując uważam, że głównym elementem szczególnych okoliczności kształtujących procesy gospodarcze w Polsce jest większe niż gdzie indziej wyobcowanie reżymu komunistycznego i nieumiejętność albo niemożliwość skompensowania tego przez odpowiednią politykę. W tym widzę przyczynę tej iście kosmicznej katastrofy, która uporczywie kojarzy mi się z tym co widzieliśmy w filmie „Grek Zorba”.

Mam jednak nadzieję, że ani Pani ani czytelnicy nie utożsamiają tego uznania elementów szczególnych z traktowaniem Polski jako wyjątku. Polska jest, moim zdaniem, jedynie skrajnym przypadkiem ogólnego zjawiska rosnącej niewydolności gospodarki krajów komunistycznych. Nigdzie wprawdzie dochód narodowy nie spadł w ciągu 4 lat o ponad 1/4 jak w Polsce (w przeliczeniu na 1 mieszkańca i w zakresie tzw. dochodu narodowego podzielnego w 1982 roku nastąpiło cofnięcie o całą dekadę) lecz kilkuprocentowe spadki w poszczególnych latach w różnych krajach komunistycznych przestały już budzić sensację a dawne wysokie tempo wzrostu (7 % średnio rocznie według oficjalnych danych dla ZSSR i europejskich członków RWPG łącznie w latach 60-tych, nie mówiąc już o 10 % w latach 50-tych) odchodzi w zapomnienie. Przed paru tygodniami urząd statystyczny ZSSR ogłosił z dumą, że dochód narodowy wzrósł o 3,1 % w ciągu ubiegłego roku — dziesięć lat temu taka liczba uważana byłaby za hańbę albo za wymysł wrogiej propagandy. Nigdzie wprawdzie obsługa długów zagranicznych nie kształtowała się tak katastrofalnie w stosunku do uzysków w walucie wymiennej jak w Polsce, ale wielkość zadłużenia na jednego mieszkańca była u progu lat 80-tych wyższa w NRD i na Węgrzech niż w Polsce.

ZSSR jest praktycznie rzecz biorąc nie zadłużony — nastąpiły korzystne dla niego zmiany warunków handlowych (*terms of trade*), które przyniosły mu wielomiliardowe dodatkové wpływy, zarówno z Zachodu jak i z innych krajów RWPG. Lecz ten ogromny strumień środków z zewnątrz jakoś nie znalazł odzwierciedlenia w odwróceniu wygasającej dynamiki gospodarczej. We wszystkich bez wyjątku krajach RWPG występuje malejąca efektywność inwestycji (tzw. przyrostowy współczynnik kapitałowy, czyli wielkość nakładów inwestycyjnych potrzebna dla uzyskania przyrostu jednostki dochodu narodowego wzrósł z 2-2,5 w latach 50-tych i 60-tych do 6-7 pod koniec ubiegłej dekady). Ani w dziedzinie wydajności pracy ani w nakładach materiałowych i energii, ani w nowoczesności produkcji i w zdolności dostosowania jej do potrzeb odbiorców — krajowych i zagranicznych — nie zaznacza się w krajach komunistycznych postęp, który uzasadniałby ogólne przeciwstawienie ich Polsce jako zjawisku wyjątkowemu a są przypadki krajów, w których głód towarowy jest porównywalny z naszym.

Nie można tego problemu dyskutować zbyt długo, chciałbym tylko dodać, że uważam charakterystyczne obecnie dla całego świata komunistycznego trudności gospodarcze za skutek pewnych szczególnych właściwości systemu, który zdeformował proces modernizacji realizowanej zresztą za cenę wielkich ofiar. W niedawno ogłoszonym artykule, którego jestem współautorem użyliśmy określenia „konserwatywna modernizacja” — niby paradoks jednak oddaje chyba istotę rzeczy — modernizacja wystąpiła ale poza wyselekcjonowanymi dziedzinami, głównie związanymi z woj-skim, nie wytworzyła ona wewnętrznych mechanizmów samorozwoju: gospodarka jest antyinnovacyjna, zachowuje stare układy gałęziowe i jej handel z Zachodem ma wciąż strukturę analogiczną do krajów słabo rozwiniętych.

R.S.: — *Jednak ogłoszone wyniki ekonomiczne roku 1983 zdają się wskazywać na pewną poprawę. Czy nie sądzi Pan, że „widać już światło w tunelu” czyli, że RWPG zaczyna wychodzić z kryzysu?*

W.B.: — Z belferskiego nawyku spróbuję najpierw sprecyzować pojęcia. Kryzys w języku potocznym mniej więcej znaczy to samo co w języku ekonomicznym depresja albo, jeśli spadek produkcji jest łagodniejszy — recesja; w obu wypadkach chodzi o *cykliczne* załamanie koniunktury. W niektórych krajach komunistycznych, zwłaszcza na Węgrzech, ogłoszono interesujące rozprawy dowodzące, że wbrew wyznawanej uprzednio doktrynie, nawet gospodarka planowana centralnie podlega wahaniom cyk-

licznym wywołanym przede wszystkim przez nadmierną ekspansję inwestycyjną, która po pewnym czasie napotyka na bariery i musi zostać gwałtownie wyhamowana. Nie chcę tu rozważać, na ile tego typu teorie są ścisłe; wspominam o nich głównie po to by dokonać rozgraniczenia między zjawiskami cyklicznymi a długofalowymi tendencjami, trendami. To o czym mówiłem w odpowiedzi na poprzednie pytanie dotyczyło właśnie trendu, gasnącej dynamiki gospodarczej systemów centralnie planowanych. Wokół linii trendu zawsze występują wahania mniej lub bardziej krótkookresowe, wywołane przez różne czynniki. Starłem się nie używać słowa kryzys w naszej dyskusji gdyż wolałbym zachować ten termin dla charakterystyki spadkowej fazy wahań krótko- lub średniokresowych. W tym sensie gospodarka RWPG może „wychodzić z kryzysu” tzn. wahać się w górę w okresie rocznym czy nawet kilkuletnim. W przypadku takim jak Polska, gdzie duże cięcia importowe gwałtownie obniżyły stopień wykorzystania zdolności produkcyjnej pewien wzrost produkcji w porównaniu z najniższym poziomem powinien nastąpić w wyniku prostych zabiegów przystosowawczych. Jednak kluczowa sprawa to w moim przekonaniu to czy oznacza to odwrócenie trendu. Co do tego mam poważne wątpliwości i nie mógłbym się zgodzić, że widać już światło w tunelu.

Przypatrzmy się kilku liczbom (wszystko są to dane oficjalne — nie interesuje mnie ich wiarygodność w liczbach absolutnych, chodzi wyłącznie o porównania w czasie przy założeniu, że ewentualne zniekształcenia są jednakowego rzędu w różnych okresach). Dochód narodowy ZSSR, jak już wspomnieliśmy, wzrósł w 1983 roku o 3,1 %, czyli więcej niż w 1982 roku kiedy wzrósł jedynie o 2,5 %. Lecz plan na całe pięciolecie 1981-1985 przewidywał średni roczny wzrost o 3,4 % więc i ta „lepsza” liczba plasuje się poniżej planu a przeciętny wzrost za okres trzech lat 1981-1983 wynosi mniej więcej 3 % rocznie. Co więcej, zaplanowany na obecne pięciolecie wskaźnik wzrostu był niższy niż faktycznie uzyskany (lub w każdym razie podany do wiadomości) wskaźnik wzrostu w poprzednim pięcioleciu. Czy można wyciągnąć z tego wniosek o odwróceniu trendu? Nawet najostrożniejszy obserwator powiedziałby, że nie.

To samo da się powiedzieć o wszystkich prawie krajach wschodnioeuropejskich. Czechosłowacja ogłosiła 2,2 % wzrost dochodu narodowego w 1983 roku ale to oznacza niewiele więcej niż powrót do poziomu oficjalnego z 1980 roku, gdyż w latach 1981-1982 zamiast przyrostu był spadek (odpowiednio o 0,4 % i 1 %) — o wykonaniu skromniutkiego planu 2-2,6 % rocznie w tym pięcioleciu nie ma mowy choć i ten plan jest znacznie niższy od wzrostu uzyskanego w przeszłości. Na Węgrzech, gdzie

w roku ubiegłym zanotowano lekki spadek dochodu narodowego, a w latach poprzednich słabutki wzrost, też trudno spodziewać się wykonania bardzo ostrożnego planu. Rumunia wykazuje przyrosty roczne w granicach 2-3 %, ale ambitni planiści chcieli osiągnąć ponad 7 % (też trochę mniej niż w poprzednim pięcioleciu). Nawet NRD, jedyny kraj, który zaplanował nieco wyższe tempo rozwoju niż w pięcioleciu 1976-1980 (5 % rocznie zamiast 4,1 %) znajduje się „pod planem” ze wzrostem tegorocznym 4,4 % a przeciętnym za trzy lata około 4 %. Jedynie Bułgaria wciąż jeszcze ma wskaźnik wzrostu nieco wyższy od zaplanowanego, ale wskaźnik ten został w planie obcięty o ponad 1/3 w porównaniu z wynikami poprzedniego pięciolecia (3,7 % zamiast 6,1 %) a poza tym wskaźniki z roku na rok spadają (5 % w 1981 r., 4 % w 1982 r., 3 % w 1983 r.). Dla pełnego obrazu dodajmy, że poza-blokowa Jugosławia wykazuje ostatnio podobną tendencję — w 1983 roku produkt społeczny (wielkość obliczana inaczej niż dochód narodowy w krajach RWPG) spadł tam o ponad 1 %.

Przepraszam za lawinę liczb lecz nie chciałem być gołosłowny mimo, że ogólne wskaźniki są tylko uproszczoną ilustracją.

R.S.: — *Jakie znaczenie będzie miał ten spadek dla przyszłości systemów centralnie planowanych?*

W.B.: — Duże, jeśli chodzi o nacisk na podjęcie środków zaradczych. Dotąd władzom w pewnym stopniu, choć nie wszędzie, udawało się amortyzować skutki zwolnienia dla sfery konsumpcyjnej: dynamika nakładów inwestycyjnych obniżyła się więcej niż dynamika dochodu narodowego. Bez końca tak postępować nie można bo tendencja stagnacyjna przekształci się we wsteczną i to w przyspieszonym tempie. Wobec tego dotychczasową względną osłonę bieżących interesów konsumpcyjnych ludności trzeba będzie zarzucić, co nie może nie wywrzeć wpływu na sytuację społeczno-polityczną. Za krótka koldra da się w końcu odczuć również w dziedzinie wydatków zbrojeniowych, które oczywiście trudniej powiększać z malejącego przyrostu dochodu narodowego.

Jednak wzmożona presja na podniesienie efektywności gospodarowania i większe prawdopodobieństwo przeprowadzenia zmian w systemie to dwie różne rzeczy. Dopóki reformy zależą od decyzji władz oceniane są one według nadrzędnego kryterium utrzymania i wzmocnienia władzy aktualnej ekipy. Lepsze możliwości rozładowania ewentualnych napięć społecznych są na pewno atrakcyjne, ale nie za wszelką cenę w kategoriach politycznych. Wkraczamy tu w istny gąszcz konfliktów włącznie z owym zasad-

niczym problemem reformowalności, którego nie mamy dziś dyskutować. Analiza tych konfliktów wykracza poza ramy naszej rozmowy, mogę tylko zarejestrować swój pesymizm co do szans skutecznych reform ekonomicznych w krajach komunistycznych w bieżącej dekadzie.

R.S.: — *Z Pańskiej analizy wynikałoby, że ocena szans reformy w Polsce musi być jeszcze bardziej pesymistyczna gdyż do ogólnie niekorzystnych warunków dochodzi głębokie zakłócenie równowagi. Pisał Pan w swoim czasie, że w takiej sytuacji rozszerzenie zakresu mechanizmu rynkowego i zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw grozi wszystkimi negatywnymi skutkami zachowań monopolistycznych — nieuzasadnionymi podwyżkami cen, spadkiem jakości itd.*

W.B.: — Naturalnie, głęboka nierównowaga stanowi ogromną przeszkodę w uruchamianiu mechanizmów rynkowych a nagromadzenie rezerw — rzeczywistych rezerw, nie papierowych — powinno w normalnej sytuacji stanowić nieodłączny składnik przygotowania reformy gospodarczej. Tak było m.in. na Węgrzech przed wprowadzeniem w 1968 roku „nowego mechanizmu gospodarczego”, który zdążył się od tego czasu zestarzeć, lecz oznaczał istotny krok naprzód na drodze usprawnienia systemu.

Co najmniej dwie sprawy powinny jednak być wzięte pod uwagę przy rozważaniu obecnych warunków realizacji reformy gospodarczej w Polsce. Po pierwsze znacznie jaśniejsza jest dziś współzależność między systemem ekonomicznym a naruszeniem równowagi rynkowej: to nie tylko nadmiernie ekspansywna polityka gospodarcza ale właściwości systemu nakazowo-rozdziałczego jako takiego są źródłem ustawicznego stanu niezaspokojonego popytu, a więc odkładanie reformy do czasu gdy równowaga zniknie może być czekaniem na Godota. Po drugie, wygląda na to, że w Polsce nie ma po prostu innego wyjścia. Może w NRD są podstawy do rozważania opcji zachowania systemu nakazowo-rozdziałczego z udoskonaleniami organizacyjnymi z jednej strony a opcji reformy rynkowo-decentralizacyjnej z drugiej; w Polsce taka alternatywa wydaje się nie istnieć gdyż system nakazowo-rozdziałczy jest doszczętnie skompromitowany i nie ma widoków na to by funkcjonował na modłę niemiecką (nawet jeśli uznać ją za godny naśladowania wzór). Oczywiście, ten doszczętnie skompromitowany system wykazuje ogromną siłę przetrwania, zarówno wskutek zwykłej inercji jak i potężnych interesów, które za nim stoją. Dwa lata jakie upłynęły od oficjalnego ogłoszenia obecnej reformy dostarczają wielu dowodów na to, że będzie uparczywie wracał, jeśli nie frontowymi to tylnymi drzwiami.

Ale to nie jest alternatywne rozwiązanie lecz dalsze spychanie gospodarki w dół.

Reforma jest więc niezbędna mimo, że warunki jej wprowadzania są tak złe. Jakie z tego wyjście? Trudno stwierdzić z całą pewnością, że wyjście w ogóle istnieje sędzę jednak, że jedyna szansa tkwi w sferze politycznej. Sfera polityczna w odniesieniu do reformy gospodarczej ma wiele aspektów: zdecydowane zaangażowanie się po stronie przemian systemowych, gotowość do pragmatycznego wychodzenia poza uznane kanony socjalistycznego gospodarowania, łamanie starych struktur instytucjonalnych i związanych z nimi partykularnych interesów. Nade wszystko jednak rozwiązania polityczne polegać muszą na zmianie stosunków pomiędzy władzą a społeczeństwem, na włączeniu autentycznych samorządnych organizacji społecznych do procesów podejmowania decyzji ekonomicznych zarówno na szczeblu lokalnym (przedsiębiorstwa, jednostki terenowe) jak i ogólnokrajowym. Nie czas dzisiaj na „gdybanie” na temat okresu między sierpniem 1980 roku a wprowadzeniem stanu wojennego, który zmienił układ sił na arenie politycznej Polski. Jeśli jednak ta zmiana układu sił interpretowana będzie nadal przez władze jako przesłanka do ignorowania ogromnego ruchu społecznego, którego wyrazicielem była Solidarność to reformę pozbawia się moim zdaniem ostatniej szansy. Jest bowiem rzeczą raczej oczywistą, że przeobrażenia, które mają spowodować zmianę zachowań ludzkich w działalności gospodarczej, kiedy ewentualne korzyści mogą przyjść później a dotkliwe nieraz środki muszą być stosowane od razu, nie będą dokonywały się bez *aktywnego* współdziałania społecznego to zaś z kolei jest nieosiągalne bez możliwości autentycznej artykulacji opinii, interesów i aspiracji różnych warstw społecznych.

R.S.: — *Czy nie sądzi Pan, że pod pewnym względem Polska ma lepsze perspektywy gospodarcze na przyszłość niż inne kraje komunistyczne? Mam na myśli istnienie prywatnego sektora w rolnictwie.*

W.B.: — Na Wschodzie jest to naturalnie uważane za jednoznacznie ujemny czynnik — nie skolektywizowaliście, teraz macie za swoje. Na Zachodzie też trafia to niektórym do przekonania, a ci, którzy zasadniczo wierzą w przewagę prywatnej gospodarki nad kolektywną też często pomijają ten temat w dyskusjach na temat polskiego krachu gospodarczego. Rzeczywistość polega na tym, że gospodarstwa chłopskie nie pozwoliły się wprowadzić skolektywizować lecz też nie uzyskały możliwości rozwoju na gruncie własności prywatnej. Atak frontalny zastąpiono obłożeniem, które przyniosło gospodarce narodowej ogromne straty

(około 1/4 zadłużenia w latach 70-tych spowodowane było przekształceniem się Polski z netto eksportera w importera żywności). Obłożenie skutecznie przeciwdziało również efektywnej modernizacji rolnictwa i racjonalizacji struktury agrarnej. Teraz sytuacja ulega zmianie, jednak ciągle zbyt mało jest dowodów na to, że jest to zmiana strategiczna a nie taktyczny unik. Wydaje mi się, że istotnym elementem potwierdzającym, iż chodzi tu o coś więcej niż o krótkotrwały zwrot, przypominający to, co działo się w przeszłości, byłoby doprowadzenie do pomyślnego końca tasiemcowych negocjacji w sprawie utworzenia kościelnego funduszu pomocy rolnictwu prywatnemu. Nie chodzi o to, że fundusz ten sam przez się zaspokoi potrzeby rolnictwa i przełamać wszystkie trudności rozwojowe lecz o to, że uruchomienie go zasygnalizowałoby wyraźnie długofalowe intencje.

Z punktu widzenia ogólnego kierunku reformy systemu ekonomicznego rolnictwo prywatne zajmuje szczególną pozycję dlatego, że istnieją w nim już motywacje i przesłanki przedsiębiorczości, które dopiero trzeba stwarzać w sektorze państwowym czy w biurokratyzowanych konglomeratach spółdzielczych (z nazwy). Znaczenie tego faktu jest coraz bardziej doceniane w innych krajach komunistycznych, o czym świadczą nie tylko Węgry, gdzie największym sukcesem reformy okazało się rolnictwo umiejętnie wiążące prywatną inicjatywę z sektorem socjalistycznym, lecz powszechna właściwie zmiana klimatu wobec działek indywidualnych a co najważniejsze, zapoczątkowany w 1983 roku powrót do idei tzw. ogniw w rolnictwie sowieckim (chodzi o coś w rodzaju grupowego systemu agencji; po rosyjsku nazywa się to *kollektywny podriad*).

Wracając do rolnictwa polskiego, chciałbym mocno podkreślić, że moim zdaniem powinno być ono traktowane nie jako coś osobnego, lecz jako kluczowy odcinek reformy. Właśnie dlatego, że nie potrzeba tu dopiero stwarzać nowych motywacji, stosowanie mechanizmów rynkowych w rolnictwie i wokół rolnictwa mogłoby się dokonywać stosunkowo najbardziej konsekwentnie także w obecnej sytuacji. Potrzeba do tego nie tylko wspomnianej poprzednio jasności w długofalowej polityce rolnej, lecz również wyraźnego poparcia dla przedsiębiorstw prywatnych oraz małych autonomicznych spółdzielni w sferze produkcji i usług dla rolnictwa oraz handlu ze wsią. Powinno to doprowadzić także do zmiany form działania przedsiębiorstw państwowych tej sfery gdyż znalazłyby się one w obliczu konkurencji. Uogólniając — rozszerzenie zakresu prywatnej inicjatywy włączając w to przedsiębiorstwa o kapitale zagranicznym i mieszane mogłoby w istotny sposób wpłynąć na perspektywy usprawnienia gospodarki. Naturalnie wystąpią także zjawiska negatywne, gdyż trudno się ustrzec

przed wykorzystywaniem rozprężonego rynku dla celów spekulacyjnych. Jeśli jednak władza będzie kontynuowała tradycyjną metodę reagowania w postaci przykręcania ledwie odkręconej śruby, a tym bardziej hałaśliwych kampanii często służących odwracaniu uwagi od ważniejszych przyczyn trudności — to nic z tego wszystkiego nie wyniknie. Doświadczenie wskazuje nie-
zbicie, że w warunkach niepewności co do trwałości każdorazowej „nowej” linii działań będą tylko tacy prywatni przedsiębiorcy, którzy liczą na bardzo szybki zysk przy minimalnym zaangażowaniu kapitału — na długofalowe solidne inwestycje liczyć można dopiero gdy ugruntuje się atmosfera zaufania. Są to takie truizmy, że aż wstyd je przypominać, ale żeby je za takie uznać w Polsce, trzeba pokonać potężne przeszkody doktrynalne i polityczne.

R.S.: — W całej naszej dyskusji pominęliśmy kwestię zewnętrznych ograniczeń politycznych. Czy śmielsze inicjatywy polskich władz komunistycznych nie mogą być paraliżowane przez nacisk sowiecki?

W.B.: — Jest to temat-gigant, który wymagałby przedyskutowania zmian w stosunkach między ZSSR a państwami satelickimi na przestrzeni całego okresu powojennego. Jeśli chodzi o Polskę to uważam, że władza komunistyczna ma wystarczające pole manewru zanim natknie się na bariery w postaci sprzeciwu sowieckiego. Krótko mówiąc odpowiedzialności za ewentualne zmarnowanie niewielu istniejących jeszcze szans na wyciągnięcie Polski z tego upadku w jakim się znajduje nie da się po prostu przerzucić na „Wielkiego Brata”.

Rozmawiał Radek SIKORSKI



**KSIEGARNIA
POLEMICA**
WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ
ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48
MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Sprawy i troski

Prymas Glemp w Ameryce Południowej

REAKCJE PRASY BRAZYLIJSKIEJ

Wizyta kardynała Glempla w Brazylii — mimo wielkiego entuzjazmu kolonii polskiej — przez prasę brazylijską była przyjęta chłodno i ostrożnie, a często ironicznie.

Wszystko zaczęło się od depeszy bońskiego korespondenta poważnego liberalnego dziennika *Jornal do Brasil* w Rio de Janeiro. Depesza była zamieszczona w przeddzień przyjazdu kardynała. Redakcja *Jornal do Brasil* jest tradycyjnie przychylna sprawom polskim; przez półtora roku utrzymywała stałego korespondenta w Warszawie, z wielką uwagą rejestrując i komentując wydarzenia ostatnich trzech lat. Korespondent ten, William Waack (Brazylijczyk pochodzenia holenderskiego) jest stałym korespondentem w Bonn, ale bezustannie jeździł stamtąd do Polski jako specjalny wysłannik tej gazety. Każdorazowo otrzymywał wizę wjazdową tylko na krótki okres, po czym musiał wracać do Niemiec i oczekiwać na przyznanie nowej. Wreszcie wizy mu odmówiono, ale Waack — już po ogłoszeniu stanu wojennego — raz jeszcze pojechał do Warszawy, nielegalnie, jako szofer ciężarówki wiozącej paczki żywnościowe do rozdziału w kościele św. Marcina. Nie można go więc posądzać o antypatię do Polski, gdzie zdobył sobie wielu przyjaciół, zarówno w kołach KOR-u i „Solidarności”, jak i wśród części kleru.

Jego depesza z Bonn była kijem w mrowisko. Waack donosił: „Od chwili wprowadzenia stanu wojennego prymas wołał rozmawiać z gen. Jaruzelskim niż z Lechem Wałęsą. Dziś prymas podtrzymuje swoje kontakty z rządem i partią, polegające głównie na unikaniu nowych starć z władzami. Posądza się go, że czyni to za każdą cenę i dlatego ludzie z podziemia 'Solidarności' mówią o nim 'towarzysz Glemp' i uważają, że gdyby kardynał był członkiem partii komunistycznej, to stanowiłby typowy przykład partyjnego aparatchyka”. Na spotkaniu z niższym duchowieństwem

stwem — pisze dalej Waack — „prymas miał powiedzieć, że Polska jest ofiarą nacisków zarówno ze Wschodu jak i z Zachodu. Wicepremier Rakowski podchwycił tę wypowiedź Glempa i radośnie oświadczył, że prymas i generał mają identyczną wizję geopolityczną. Druga pielgrzymka papieża do Polski naraziła prymasa na wiele krytyk ze strony działaczy katolickich, jak np. Tadeusz Mazowiecki. Rozgoryczenie ich było spowodowane tym, że prymas trzymał ich w całkowitej izolacji od Ojca Świętego podczas Jego pielgrzymki. Inni nawet mówią, że Glemp kupił przyjazd papieża za cenę wyroku śmierci na 'Solidarność'. Dziś prymas jest nie tylko niepopularny w sferach opozycji i dużej części społeczeństwa, ale nawet wśród wielu członków niższego duchowieństwa". Tyle *Jornal do Brasil*.

Na drugi dzień, już na lotnisku, otoczyła prymasa duża grupa dziennikarzy brazylijskich i korespondentów zagranicznych. Ale po kilku minutach prymas stracił cierpliwość i kiedy korespondent agencji *Associated Press* zadał mu pytanie na temat bieżącej sytuacji w Polsce, kardynał szorstko odpowiedział: „Najlepiej niech pan pojedzie do Warszawy i sam zobaczy”.

Tego samego dnia w kioskach ukazał się ostatni numer wielkiego tygodnika politycznego *Isto é* (co można przetłumaczyć: *To jest tak*). Rzymski korespondent tego tygodnika, Albino Castro Filho, nadał następującą wiadomość: „W chwili kiedy Prymas Polski lądował w Rio, wszystkie źródła watykańskie milczały. Nie była to już nawet zwykła dyskrecja, ale prawdziwy mur milczenia, mający jakby na celu wykazanie obojętności wobec wizyty prymasa w Ameryce Południowej. Nawet *Osservatore Romano* ani jednym słowem nie zarejestrował wyjazdu prymasa. Jeszcze na lotnisku rzymskim kardynał powiedział korespondentom włoskim, że jest żywo zainteresowany dynamiczną działalnością Kościoła brazylijskiego w tym największym kraju katolickim świata. Nie była to więc wizyta o charakterze trzeciorzędnym”.

W dalszym ciągu Albino Castro Filho donosił, że rozmawiał z księdzem Adamem Bonieckim, który próbował mu wytłumaczyć, że *Osservatore Romano* zajmuje się jedynie wiadomościami bezpośrednio dotyczącymi papieża, a taki przypadek tym razem nie zachodzi. Korespondent uznał tłumaczenie to za bardzo słabo umotywowane, bo trudno przypuścić, że papież nie był zainteresowany wizytą prymasa. Zaczął więc bliżej badać sprawę i ze źródeł watykańskich, których nie ujawnił — ale które uważa za absolutnie miarodajne i zawsze doskonale poinformowane — otrzymał wyjaśnienie, że motywów milczenia należy szukać nie w Ameryce Południowej, lecz w Europie Wschodniej. Prymas, który wykazał wielkie zdolności dyplomatyczne utrzymując trudny dialog z komunistycznym rządem wojskowym w Polsce, jest rzekomo przygotowywany do dalszych misji, o wiele ważniejszych. Podróż do Brazylii i Argentyny może więc być pomyślana jako ćwiczenie wstępne i „rozgrzanie mięśni” przed wizytą w Moskwie. Jeszcze w tym roku!

Przetłumaczyłem prymasowi ten artykuł i zapytałem o jego opinię. Odpowiedział mi, że są to dziennikarskie ploteczki. — Ale czy mają jakąś podstawę? — „Nie ma żadnych konkretnych planów. Na razie jedynie zamiary” — i na dalsze pytania odmówił odpowiedzi.

Od pierwszej chwili po wylądowaniu prześladowały prymasa nieustanne pytania w sprawie ks. Nowaka: na lotnisku, po mszy w kościele polskim, na przyjęciu w T-wie „Polonia” i w salonach pałacu prezydenta republiki w Brasili padają nieuchronnie te same pytania dotyczące strajku głodowego w Ursusie, demonstracji robotników i przeniesienia ks. Nowaka. Podczas gdy na konferencji prasowej w Rio de Janeiro prymas oświadczył, że przeniesienie ks. Nowaka było pomyślane jako „awans”, to w Brasili powiedział, że ksiądz został przeniesiony „na własne żądanie”. Dziennikarze akredytowani przy prezydencji republiki i korespondenci 12 agencji telegraficznych podali obie wypowiedzi prymasa („awans” i „na własne żądanie” — w cudzysłowach).

Popularny i prorządowy dziennik *O Globo* (o największym nakładzie) naświetlając wydarzenia w Ursusie podkreślił, że strajk głodowy i demonstracje miały na celu protest przeciw polityce ugody między episkopatem i rządem.

Daily Post, dziennik w języku angielskim wychodzący w Rio, napisał: „Polski kardynał Glemp oświadczył, że strajk głodowy jako protest przeciwko przeniesieniu a *pro-Solidarity priest* był dziełem poławiaczy rozgłosu (po angielsku: *publicity seekers*). Cała agitacja i strajk były zorganizowane przez parę tuzinów ludzi szukających własnego awansu politycznego”.

Korespondent *Jornal do Brasil* w Sao Paulo przeprowadził krótką rozmowę z prymasem, który mu powiedział, że przewiduje pozytywne załatwienie stosunków dyplomatycznych z Watykanem i że zyska na tym Polska, dyplomatycznie izolowana od świata.

Próbując znaleźć powody tego na ogół niechętnego stanowiska brazylijskiej prasy, w rozmowach z kilkoma kolegami słyszałem zwykle to samo tłumaczenie: „Dla nas w Brazylii 'Solidarność' była radosnym wstrząsem i byliśmy zafascynowani w jej rozwój (do dziś na szybach wielu samochodów są nalepione napisy 'Solidarność'). Dla brazylijskich robotników Wałęsa jest najwyższym przykładem do naśladowania, dla inteligencji jest symbolem walki o wolność. Buntujemy się przeciw ustępstwom i ugodzie, które w końcu nie doprowadzą do niczego”.

Można stwierdzić, że prymas poniósł prawdziwą klęskę z okazji swego nieszczęśliwego wywiadu dla dziennika w Sao Paulo *O Estado de Sao Paulo*. Ten dziennik, największe i najpoważniejsze pismo liberalne w Brazylii, jest tu nazywany brazylijskim *New York Times'em*. Dwóch specjalnych wysłanników gazety pojechało do Kurytyby na umówione spotkanie z prymasem. Przez długi czas trwały rozmowy nad techniką przeprowadzenia tego wywiadu. Prymas chciał, aby wszystkie pytania zostały mu z góry podane na piśmie; odpowiedzi miałby udzielić po kilku

dniach, również na piśmie. Nie dogadzało to redaktorom. Wreszcie ustalono, że pytania zostaną nagrane na taśmie, a odpowiedzi prymasa — w języku włoskim — będą mu przedstawione do zatwierdzenia. Było to w sobotę. Ustalono, że prymas do poniedziałku przysłał swą aprobatę. Gdy nie przysłał w poniedziałek, redakcja *Estado* w Sao Paulo i biuro w Kurytybie interweniowały przez cały następny tydzień, nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi. Wtedy postanowiono wydrukować cały wywiad nagrany na taśmie. Był to wywiad bardzo długi — na całą stronę dziennika. Oto najważniejsze wypowiedzi kardynała Glempa.

— Mówi się, że Kościół opuścił „Solidarność”. Jest to wielkie uproszczenie. Ten wielki ruch, wkrótce po swym narodzeniu, przestał być związkiem zawodowym, a stał się ruchem politycznym. Trzeba wiedzieć, że z 10 milionów członków połowę stanowili komuniści, a więc to nie były ideały czysto katolickie. Ja zawsze mówiłem, że Kościół da pełne poparcie, jeśli będą respektowane początkowe cele obrony robotników. Ale w pewnej chwili „Solidarność” straciła cały sens obrony robotników.

— Stało się to dlatego, że „Solidarność” była workiem, do którego wrzucono wszystko: marksistów i trockistów, a potem wszystkich karierowiczów i członków partii. Dlatego formułka, że „Solidarność” jest czystym blokiem własnych ideałów jest nieporozumieniem i łatwo prowadzi do oskarżeń Kościoła.

— Wałęsa jest niezależny i nie należy do żadnej grupy infiltrującej „Solidarność”. Ale stracił kontrolę nad ruchem. Był on wybrany z wielkim trudem, prawie cudem udało mu się osiągnąć wybór na przewodniczącego. A poza tym nie jest żadnym politykiem i popełnił już wiele błędów.

— W Polsce polityka jest wyłącznie komunistyczna. Atakowanie reżymu oznacza prowokowanie interwencji sowieckiej. Kościół o tym dobrze wie.

— Nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że Kościół w Polsce jest prześladowany. Komuniści robią wszystko, aby Kościół nie prześladować. Tylko jeden ksiądz jest uwięziony, ale w związku z zastrzeleniem policjanta, a broń była znaleziona w mieszkaniu tego księdza. Być może istniały jeszcze trzy inne wypadki, ale były to wydarzenia typowo kryminalne.

— To nieprawda, co mówili biskupi o akcji uniemożliwiania nauczania dzieci katechizmu. W szkołach nie wolno zawieszать krzyży, ale my nie chcemy uczyć religii w szkołach pod kontrolą. Uczymy katechizmu bez kontroli, w parafiach. Dlatego nie mogę wyraźnie powiedzieć, że Kościół w Polsce jest prześladowany. Owszem, istnieją różnice ideologiczne, których nie można usunąć i ta walka ideologiczna będzie trwać bo ONI chcą, aby dzieci wychowywać w materializmie — ja nie mówię o marksizmie, bo marksizmu nikt już nie bierze na serio — a my nie możemy się a to zgodzić i mówimy NIE!

— Trudno osądzić, gdzie sytuacja Kościoła jest lepsza: w ka-

pitalizmie czy w komunizmie. U was jest chyba trudniejsza ze względu na niesprawiedliwość społeczną.

Dzień po zamieszczeniu wywiadu z Glempem *O Estado de Sao Paulo* ogłosił artykuł redakcyjny, w tonie raczej przychylnym, starając się zrozumieć wypowiedzi prymasa i jego konflikty. Prymas mówił z pozycji kraju katolickiego, którego socjalizm jest wyrazem sowieckiego imperializmu. Musiał pamiętać o tym, aby uniknąć jakiegokolwiek wzmianki, która mogłaby być uznana za akt polityczny. Wielki dramat narodu polskiego naznaczył sumienia głównych aktorów, których większość utraciła równowagę w swych wypowiedziach, albo też zapomniawszy o swych obietnicach ideologicznych i religijnych. Kardynał, mając zapewne na względzie jakiś *modus vivendi*, upierał się, że w Polsce nie prześladowuje się Kościoła. Tłumaczył swe stanowisko wobec „Solidarności”, ale użył słów poniżających i obraźliwych zarówno wobec „Solidarności” jak i wobec laureata Nagrody Nobla, Lecha Wałęsy. Nazwanie „Solidarności” pogardliwie „workiem do którego wszystko się wrzuca” jest właśnie jej największą zasługą i chwałą, bo potrafiła wchłonąć ludzi należących do przeróżnych rodzin ideologicznych, nie ograniczając się wyłącznie do katolickich „kołędowników”.

REAKCJE PRASY ARGENTYŃSKIEJ

W dniu 3 marca po południu w nuncjaturze papieskiej odbyła się konferencja prasowa. Przybyli na nią reporterzy wszystkich gazet argentyńskich, radia i telewizji, jak również korespondenci zagraniczni, akredytowani w Buenos Aires. Właśnie tego dnia rano dziennik *Clarín* przedrukował w całości wywiad z prymasem Glempem, zamieszczony w *Estado de Sao Paulo*. Na konferencji prymas kategorycznie zaprzeczył, jakoby miał się niekorzystnie wyrażać o „Solidarności” i o Wałęsie i powiedzieć, że „Solidarność” nie broni więcej robotników; dodał, że pozostaje z Wałęsą w najlepszych stosunkach. Przyciskany dalszymi pytaniami powiedział, że w Kurytybie wszystko „było wymyślone przez złośliwego dziennikarza brazylijskiego”. Wszystkie gazety zacytowały, bez komentarzy, zaprzeczenie prymasa. Korespondent *Associated Press* depeszował, że prymas odmówił oceny przyznania Wałęsie Nagrody Pokoju Nobla, „widocznie — powiedział — komitet przyznający tę nagrodę miał ku temu jakieś powody”.

Reakcja redakcji *O Estado de Sao Paulo* była natychmiastowa, krótka i bezapelacyjna. Przypomniała, że kardynał Glemp w rozmowie z dziennikarzami w Buenos Aires zaprzeczył, jakoby nazwał przywódców „Solidarności” mieszaniną marksistów, trockistów i karierowiczów, nie zaprzeczył jednak, że Wałęsa jest manipulowany przez te grupy w łonie „Solidarności”. Redakcja stwierdziła, że kardynał przy świadkach zezwolił na druk jego

pierwszych wypowiedzi jako podstawy do wypowiedzi dalszych, które miał nadesłać w obiecany czas. Ponieważ tego nie uczynił ani w oznaczonym dniu, ani w ciągu pięciu następnych dni, choć był ciągle przez redakcję interpelowany, *O Estado* zdecydował ogłosić deklarację prymasa „zarejestrowane na taśmie magnetofonowej, która pozostaje w posiadaniu redakcji”. Nie było na to żadnej reakcji ze strony otoczenia prymasa.

Ale prawdziwą sensacją w Buenos Aires było doniesienie dziennika *Clarín*, raczej mało przychylnego dla spraw polskich. W obszernym artykule dziennik ten podał, że Saul Ubaldini, pierwszy sekretarz CGT (Confederación General de Trabajo, czyli nadbudówki 62 związków zawodowych) dowiedziawszy się, że prymas Polski znajduje się w danym momencie w nuncjaturze papieskiej, przerwał posiedzenie ze swymi dyrektorami i zjawił się w nuncjaturze, prosząc o ważną rozmowę z prymasem. I wtedy, w obecności nuncjusza, Ubaldini złożył prymasowi następującą deklarację:

„Argentyńska Konfederacja Pracy, zrzeszająca 62 robotnicze związki zawodowe, chce opierać cały swój program na działalności polskiej 'Solidarności'. 'Solidarność' stanowi wzór i najwyższy przykład dla robotników argentyńskich i Konfederacja jest i nadal pozostanie w duchowym kontakcie z 'Solidarnością' i z Lechem Wałęsą. Robotnicy argentyńscy byli dumni z przyznania Wałęsie Nagrody Pokoju Nobla i dlatego Generalna Konfederacja Pracy wysłała mu depeszę gratulacyjną”.

Clarín nie odnotował żadnej reakcji prymasa.

W Klubie Korespondentów Prasy Zagranicznej w Rio de Janeiro krążą najrozmaitsze pogłoski i spekulacje. Rozważano możliwość wizyty Prymasa w Ameryce Południowej jako chęć usunięcia go z widowni w Polsce. Jego zniknięcie na trzy tygodnie miałoby stępić wrogie nastawienie doń ludności. Tego rodzaju teza nie sprawdza się jednak, bo po jego powrocie do Warszawy demonstracje nadal trwają.

Maciej FELDHUZEN

Rio de Janeiro, 17 marca 1984 r.

Towarzystwo Historyczno-Literackie

24 marca br. odbyło się w Paryżu tradycyjne walne zebranie członków Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Członkowie ustępującej Rady złożyli sprawozdanie za okres pięcioletniej ka-

dencji — w tym sprawozdanie finansowe (które, nie wiadomo dlaczego, objęło jedynie okres ostatniego roku — 1983). Przeprowadzono wybory do Rady i jeszcze tego samego dnia szesnasto-osobowe grono powierzyło pięciu wybranym spośród siebie osobom naczelną funkcję w Towarzystwie. Zmiany są niewielkie — prezesem został wybrany ponownie Eugeniusz Zaleski, wiceprezesem — Andrzej Folkierski (poprzednio funkcję tę pełnił Leszek Talko), a sekretarzem generalnym pozostał Jerzy Mond. Ponadto w skład Rady weszły Anne-Marie Rozwadowska i Teresa Vido-Rzewuska, które pełnić będą funkcje skarbnika i zastępcy sekretarza generalnego. Józef Handelsman — dotychczasowy dyrektor Biblioteki Polskiej — zrezygnował z pełnienia tej funkcji.

W związku z zebraniem i wyborami nasuwa się kilka refleksji. Towarzystwo Historyczno-Literackie od dłuższego już czasu jest przedmiotem gorących dyskusji, sporów i polemik prowadzonych zarówno wśród pokolenia starszych emigrantów jak i wśród „młodzieży” emigracyjnej. Ta zasłużona dla Polski instytucja — będąca od prawie 150 lat symbolem nie tylko wolnej myśli, ale również symbolem trwałości polskich aspiracji niepodległościowych i wolnościowych — przeżywa obecnie głęboki kryzys.

Szczególny niepokój budzi marginalna (lub prawie żadna) działalność naukowa Towarzystwa, która — wydawałoby się — winna być jego podstawową aktywnością. Działalność TH-L w ostatnim okresie sprowadza się nieomal wyłącznie do: 1) przeprowadzania niezbędnych remontów; 2) opieki nad Biblioteką Polską i 3) organizowania różnego rodzaju odczytów, koncertów i okolicznościowych wieczorów — co jest działalnością najbardziej widoczną, choć winien być to jej margines. Nie jest to bilans imponujący i wskazuje na istotne zachwianie priorytetów.

Innym zagadnieniem związanym z obecną sytuacją Towarzystwa jest jego uzależnienie się od funduszy jedynej fundacji (Fundacji Lanckorońskich). Jak bardzo sponsor ten nie byłby oddany, zasłużony i użyteczny, to sytuacja niemal całkowitej zależności finansowej od jednego dobroczyńcy jest niekorzystna i więcej — wręcz niedopuszczalna. Ale zdaje się, że nie rozumiała tego dotychczasowa Rada, gdyż (sądząc po braku osiągnięć) nie czyniła specjalnych starań dla pozyskania nowych sponsorów.

Osobnym zagadnieniem są zasady funkcjonowania Biblioteki Polskiej. Kilkakrotnie (ale niewystarczająco) pisano na temat problemów Biblioteki Polskiej na łamach *Kultury* i miejmy nadzieję, że dyskusja ta przyniesie jeszcze efekty. Chwilowo Biblioteka Polska pozostaje bez dyrektora i głównego bibliotekarza i nie wiadomo jeszcze, jakie decyzje w tej sprawie podejmie Rada. Podobno rozważana jest propozycja zarządzania zbiorowego, tzn. kilka zatrudnionych w Bibliotece osób będzie odpowiedzialnymi za poszczególne działy. Przy okazji warto tutaj zwrócić uwagę na jeden, dość istotny szczegół: w budżecie TH-L, który za ostatni rok wyniósł niebagatelną (jak na instytucję emigracyjną) sumę prawie 1,5 miliona franków francuskich, brak nawet niewielkich sum na zakup i konserwację książek...

Problemów jest dużo więcej. Niestety ostatnie zebranie i wybory jeszcze bardziej powiększają niepokój o losy zarówno Towarzystwa jak i Biblioteki Polskiej. Przede wszystkim zwraca uwagę fakt nie „odmładzania” Rady. Nie wydaje się to zwykłym przypadkiem, nie jest również powodowane brakiem odpowiednich kandydatów — już od kilku lat Francja stała się ponownie głównym krajem azylu dla Polaków. Towarzystwo jednak nie przejawia zbyt wielkiego zainteresowania nowymi emigrantami. Dodatkowo w nowo wybranej Radzie Towarzystwa Historyczno-Literackiego uderza brak zawodowych historyków i literatów, podczas gdy poza granicami kraju przebywa ich wielu — w tym również wybitnych. Wspomniane problemy były częściowo tematem burzliwej dyskusji w trakcie kilkugodzinnego spotkania. Dyskutowano m.in. o potrzebie zachowania funkcji dyrektora Biblioteki Polskiej, o konieczności przestrzegania zasad statutowych (uprawnienia członków rzeczywistych i członków korespondentów), poruszono kwestię — nie istniejącej obecnie — polityki nabytków i uzupełnień zbiorów. Jednakże całość dyskusji nie została uwieńczona żadnymi uchwałami. Wnioski nasuwają się pesymistyczne.

Wobec licznych kontrowersji i uzasadnionych obaw dotyczących przyszłości Towarzystwa Historyczno-Literackiego i dalszych losów Biblioteki Polskiej, już teraz konieczna jest publiczna dyskusja. Utracone go prestiżu nie odzyska się milczeniem.

Wojciech SIKORA

WEZWANIE niezależne pismo literackie

Składu redakcji krajowej nie podajemy ze względu na bezpieczeństwo redaktorów. Przedstawiciel „Wezwania” za granicą: Marek Michalski (Sztokholm).

Wydawca:

„Wezwanie publication”,
Box 50112, 104 05 Stockholm, Sverige.

Cena 1 egzemplarza — 40 SKR lub 7 US\$.

Wpłaty na fundusz pisma uprzejmie prosimy kierować na adres przedstawiciela redakcji lub

Postgiro 11 08 58-8

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Jerzy Giedroyc przesłał mi listy czytelników, nie zgadzających się z główną tezą artykułów Michała Hellera „Spotkanie trzeciego typu” i „Polski przykład”. Czytelnicy oponują przeciw nazywaniu imperium rosyjskiego państwem „normalnym”; ich zdaniem Rosja była, jest i będzie „nienormalna”. Wynika z tego, że fenomen sowietyzmu nie stanowi niczego nowego — jest to przedłużenie zwykłego rosyjskiego „nienormalnego” państwa.

Gazety, czasopisma i książki z ostatniego miesiąca dostarczają jak zwykle wielu argumentów w tym sporze, który trwa już siedemdziesiąt lat. O przedrewolucyjnej Rosji napisano niemało bzdur. Nie więcej jednak, niż o innych państwach — tajemniczym Wschodzie, niezgłębionej Azji... Wszystkiego tego nie da się jednak porównać z tym, co pisano i, co ważniejsze, nadal się pisze o Związku Sowieckim i demoludach. Zbędne przypominać, co wypisywano o Andropowie nie dalej niż kilka miesięcy temu. Zupełnie niedawno już, bo w styczniu 1984, amerykańska organizacja Freedom House, oceniająca stopień wolności w rozmaitych krajach świata, przeniosła Polskę z rzędu państw „pozbawionych wolności” do kategorii „częściowo wolnych”, do których zaliczają się m.in. Afryka Południowa i Jugosławia. W marcu zastępca sekretarza generalnego ONZ oświadczył, że w Polsce „istnieją warunki sprzyjające ugodzie między różnymi odłamami polskiego społeczeństwa”. Amerykański specjalista od Chin z kolei doniósł, że „w dziedzinie praw człowieka sytuacja w Chinach znacznie się poprawiła... po śmierci Mao w 1976 roku”. Urodzony w Chinach Jean Pasqualini, który odsiedział długie lata w chińskich więzieniach i obozach, wnosi do informacji amerykańskiego specjalisty poprawkę: między 1981 a 1983 rokiem rozstrzelano w Chinach więcej osób niż przez 25 lat rządów Mao Tse-tunga.

Informację Jeana Pasqualini *International Herald Tribune* opublikował w dziale listów (27 lutego 1984), zaś artykuł eksperta na widocznym miejscu. Na tym właśnie rzecz polega: ekspert

przedstawia Chiny (lub Polskę, lub Związek Sowiecki) jako normalne państwa. Natomiast naoczny świadek Pasqualini mówi prawdę o „nienormalnym” państwie komunistycznym.

Rzecz byłaby prosta, gdyby wszystkie opinie o zjawisku socjalizmu dały się podzielić na poglądy „ekspertów” i relacje świadków. Jednym z dowodów nienormalności zjawiska jest jednak to, że świadectwa naocznych uczestników, mieszkańców sowieckiego świata, coraz częściej pokrywają się z twierdzeniami zachodnich „specjalistów”. Naoczni świadkowie opisują świat w którym żyją jako normalny. Roy Miedwiediew żegnając Andropowa przyznał, że nieboszczyk był „niesprawiedliwy” w stosunku do dysydentów, ale za to zajął się „ważnymi państwowymi problemami, jak np. walką z korupcją” (*International Herald Tribune* z 14 lutego 1984). Sąd Roya Miedwiediewa nikogo nie powinien dziwić — jest on starym zwolennikiem Andropowa, a do tego wywiadu, z którego pochodzi powyższe zdanie, udzielił w Moskwie. Dziwniejsze wydają się wypowiedzi „przybyszy stamtąd”, jakie odnotowano ostatnimi czasy.

Swietłana Allilujewa, zamieszkała od niedawna w Anglii, udzieliła obszernego wywiadu londyńskiemu tygodnikowi *Observer* (25 marca 1984). Pismo przypomina, że córka Stalina opuściła Związek Sowiecki w 1967 roku, mieszkała w Stanach Zjednoczonych, potem przeniosła się do Wielkiej Brytanii i oto siedemnaście lat po wyjeździe podsumowuje swoje doświadczenia. Myślą przewodnią jej wywodów jest, że ZSSR i USA, „dwa supermocarstwa, są do siebie bardzo podobne”, „i w dobrym, i w złym”. Mało tego. Przyznając, że w ZSSR panuje ustrój totalitarny, Swietłana Allilujewa twierdzi, że w Stanach Zjednoczonych wpływy wojskowych są dziś tak silne, że tam także „powstał reżym totalitarny”. Różnicy nie ma żadnej, dlatego walkę należy skoncentrować na głównym niebezpieczeństwie — groźbie wojny nuklearnej.

Dziennikarka przeprowadzając wywiad zadała Allilujewej narzucające się pytanie o wolność: czy nie uważa Pani, że na Zachodzie ludzie cieszą się większą wolnością niż w ZSSR? — Tak — odparła córka Stalina — tu można robić różne rzeczy, „zwłaszcza jeśli ma się pieniądze”. Na Zachodzie, jak wiadomo, można też mówić różne rzeczy, a już na pewno Swietłana Allilujewa może mówić co jej przyjdzie do głowy. Tylko jeden fragment jej długiego wywiadu wydał mi się niemoralny. W odpowiedzi na pytanie o swobody polityczne, KGB i Gułag Swietłana Stalinówna odpowiedziała: „Tak, w Związku Sowieckim zdarzyło się wiele strasznych rzeczy, ale w większym lub mniejszym stopniu działo się tak samo i w innych częściach świata... Gułag istniał 40 lat temu. O Gułagu należy powiedzieć, że zjawisko zostało rozdmuchane”.

Nietrudno sobie wyobrazić, jaka podniosłaby się oburzona wrzawa, gdyby jakiś krewny Hitlera oświadczył, że „sprawa obywateli koncentracyjnych została rozdmuchana”. Córce Stalina nie wystarczy jednak nazwanie Gułagu „rozdmuchanym”, oskarża

ponadto Sołżenicyna, że odpisując stalinowskie łagry „wniósł do świata więcej nienawiści niż zrozumienia”.

Poglądy Swietłany Allilujewej można wytłumaczyć motywami osobistymi, osobistymi niepowodzeniami i rozczarowaniami. Sprawa staje się bardziej zagadkowa, gdy niemal identycznymi słowami wyraża podobne poglądy profesor logiki i pisarz Aleksander Zinowiew. Wydanie w 1976 roku „Przepastnych wyżyn”, książki napisanej w roku 1974, otworzyło nowy etap w badaniach zjawiska socjalizmu. Bezlitośnie analizując sowiecki świat, Zinowiew lepiej niż ktokolwiek wykazał jego niepowtarzalny, wyjątkowy w dziejach ludzkości charakter. Po wyjeździe na Zachód logik i pisarz z trudem znosi nowe ciśnienie atmosferyczne. Wiadomo, że nurek, który zbyt nagle wypłyne na powierzchnię — ginie. Aleksander Zinowiew zaczyna sam siebie poprawiać. Po *Homo sovieticus* (1982), opisującym tragiczne życie sowieckiego emigranta na Zachodzie — los przybysza z nieludzkiej planety na Ziemię — Zinowiew pisze książkę „Polot naszych młodych lat” — „literacko-socjologiczną rozprawę o stalinizmie” (1983). Jest to apologia epoki stalinowskiej jako okresu młodości i porywu. Tytuł książki wzięty został z popularnej pieśni lat 30-tych: „*Stalin — nasza junost bojewaja, Stalin — naszej junosti polot*”. Nie wiem, czy można by dziś opublikować we Włoszech książkę o „młodzieńczych porywach” w czasach Mussoliniego i zatytułować ją „*Giovinezza, Giovinezza...*”. Nie ulega wątpliwości, że bohaterem książki Zinowiewa jest sam autor, chociaż przemawiają w jego imieniu różne postacie. W ogromnym wywiadzie, jakiego udzielił George Urbanowi dla londyńskiego *Encounter'a* (marzec 1984) autor „Polotu naszych młodych lat” mówi już we własnym imieniu, powtarzając dosłownie to, co w książce włożył w usta postaci literackich. Gustaw Herling-Grudziński, który czytał ten wywiad jeszcze w maszynopisie, ocenił go sprawiedliwie, chociaż może trochę za zwięzłe (*Kultura* nr 3/1984).

Na początku kwietnia Zinowiew wystąpił na poświęconym Orwellowi kolokwium w Strasburgu i, z właściwym *homo sovieticus* przekonaniem o własnej słuszności, zdemaskował autora „1984”. Zachód, powiedział autor *Homo sovieticus*, uznał książkę za dzieło „socjologiczne i futurologiczne”. Tymczasem orwellowski opis społeczeństwa 1984 roku stanowi — podkreślił z naciskiem Zinowiew — „zbiór socjologicznych absurdów”. „Książka jest w głównych twierdzeniach fałszywa. Fałszywe są nie tylko fakty, ale i zasada”.

Zinowiew oskarża Orwella o to, że chciał swą książką wzbudzić strach i dlatego poświęcił tyle miejsca „czysto negatywnym zjawiskom epoki stalinowskiej, absurdalnym opowieściom, jakie przywozili na Zachód rosyjscy i sowieccy emigranci”. Swietłana Allilujewa wyraziła się zwięźle: Gułag został rozdmuchany. Aleksander Zinowiew przytacza listę „absurdów” Orwella: teleekran w państwie sowieckim nie istnieje; miłość nie jest zabroniona; ludność umie czytać i pisać; ludzie cierpią nie wskutek samotności, ale wskutek nadmiaru kolektywizmu; partia nie

zmierza do władzy jako takiej; na Zachodzie fałszuje się historię zupełnie tak samo jak w Związku Sowieckim...".

Mały ciężar gatunkowy tych argumentów — żeby wyrazić się delikatnie — jest tak oczywisty, że ich koniecznym przedłużeniem wydaje się zdanie: „W ZSSR miliony ludzi otrzymały bezpłatną naukę, możliwość studiów uniwersyteckich, bezpłatną służbę zdrowia... Skąd biorą się szachiści, tancerze, muzycy, kosmonauci, uczeni i sportmeni?” To ostatnie zdanie pochodzi jednak nie od Zinowiewa, lecz od Swietłany Allilujewej.

Pełen wyniosłego lekceważenia dla Orwella i innych, Aleksander Zinowiew wyjawia łaskawie elementarną prawdę: Czy nam się to podoba czy nie, istnieją obiektywne prawa powstawania i trwania zbiorowisk ludzkich i prawa te są równie nieubłagane jak prawa przyrody...". Dla większej jasności Zinowiew przytacza przykład, który „zna każdy uczeń”: W sferze przyciągania ziemskiego nie można w nieskończoność zginać pałeczki grubości np. palca — doszedłszy do określonego punktu pałeczka się złamie. „Prawa tego typu — dodaje Zinowiew z naciskiem — rządzą zbiorowiskami ludzkimi”.

Artur Koestler wcale tego nie podejrzewając już 42 lata temu opisał sposób myślenia Zinowiewa w osobie Komisarza: rozum to nieomylny kompas, świat to swego rodzaju wymyślny mechanizm zegarowy, który raz wprowadzony w ruch będzie go kontynuował idąc jasno wytyczonym tropem, każdy kto myśli inaczej zamyka oczy na rzeczywisty świat. Koestler zwrócił uwagę na jeszcze jedną cechę Komisarza: nie sposób z nim dyskutować. Przez lata które upłynęły od napisania „Jogi i komisarza” ten ostatni zmienił się tylko w jednym punkcie: Zinowiew opisuje tę zmianę ze zdumiewającą szczerością w „Polocie naszych młodych lat”: na przeszłość, na stalinowskie lata „można patrzeć oczyma ocalałych albo oczyma tych, którzy na nich zrobili karierę”. W 1942 roku Komisarz walczył z wrogami i umierał z rąk swoich w imię Celu, świetlanej przyszłości, w którą jeszcze wierzył. Zaś Komisarz, który ocalał i zrobił karierę troszczy się już tylko o to, jak zachować nagromadzony dobytek. Jego filozofią stają się „obiektywne prawa” nieuchronnego zwycięstwa komunizmu, nawet jeśli realny komunizm nie okaże się lepszy od realnego kapitalizmu.

Z pewnością siebie Komisarza przedstawia Zinowiew fakty, które mogłyby zahamować zegarowy mechanizm „obiektywnych praw”: przede wszystkim dotyczy to Polski. Postępowanie Polaków nie odpowiada „obiektywnym prawom” i Zinowiew stwierdza w wywiadzie dla *Encounter'a*: „Duża część narodu polskiego może się czuć nieszcześliwa w ustroju socjalistycznym takim, jakim on jest dziś, ale niewątpliwie ogromna większość Polaków akceptuje ten ustrój. W przeciwnym przypadku ustrój zostałby natychmiast zmieciony”.

Godne uwagi jest to, że odnotowując wszystkie irracjonalne czynniki, jakie wpływają na postępowanie człowieka i zbiorowisk

ludzkich, Zinowiew nie zwraca uwagi na „nieprawdopodobieństwo”, jakie odkrył w powieści Orwella angielski pisarz Evelyn Waugh. W 1949 roku Waugh napisał: „Jest całkiem możliwe, że w 1984 roku będziemy żyli w warunkach podobnych do tych, jakie Pan opisał. Jedyna tylko rzecz wydaje mi się w Pańskim opisie nieprawdopodobna: zniknięcie Kościoła”.

Roy Miedwiediew, Swietłana Allilujewa i Aleksander Zinowiew zgodni są co do tego, że między sowieckim systemem a Zachodem nie ma zasadniczej różnicy. Orwell pisał: twierdzić, że demokracja i totalitaryzm to jedno i to samo znaczy uważać, że nie ma różnicy między połową bułki i zupełnym brakiem chleba. Wymienieni wyżej „świadkowie” tak właśnie uważają. Anatolij Golicyn, którego książka ukazała się w marcu 1984 roku, jest przekonany antykomunistą. Zanim został antykomunistą pracował w KGB. W grudniu 1961 roku major Golicyn, piastujący urząd w Finlandii, uciekł na Zachód. Niemal ćwierć wieku później wychodzi jego książka zatytułowana „Nowe kłamstwo zamiast starego”. Podtytuł precyzuje: „Komunistyczna strategia kłamstwa i dezinformacji”¹.

Myśl Anatola Golicyna nie jest nowa, ale nigdy jeszcze nie została tak szeroko zastosowana. Józef Mackiewicz opublikował w 1976 roku w Monachium broszurę pt. „Trust nr 2” — znajdujemy w niej częściowo te same koncepcje co u Golicyna. Mackiewicz przedstawił ruch dysydencki lat 60-tych i 70-tych w ZSSR jako instrument, stworzony i wykorzystany przez KGB do walki z antykomunizmem. Golicyn zasadniczą część swojej książki napisał w połowie lat 60-tych, najprawdopodobniej nie znając Józefa Mackiewicza. Podobieństwo argumentacji jest tym bardziej zaskakujące. Podobne argumenty, powołując się na „Trust”, wysuwa Władimir Chenkin, autor książki „Ochotnik w wierzch nogami”, poświęconej pułkownikowi KGB Ablowi i maszynopisu „Russkije priszli” (kilka rozdziałów opublikował *Kontynent*), w której przedstawia emigrację ze Związku Sowieckiego w latach 70-tych jako robotę KGB.

Anatolij Golicyn zbiera jakby w jedną całość różne myśli, jakie zrodziły się w głowach licznych byłych komunistów i antykomunistów: przedstawiają oni wszystkie działania Związku Sowieckiego jako „kłamstwo i dezinformację”. Dla Golicyna i konflikt sowiecko-albański, i konflikt sowiecko-chiński, i „niezależność” Rumunii, i „spór” z Jugosławią, i „demokratyzacja” w Czechosłowacji w 1968 roku, i ruch dysydencki w Związku Sowieckim i innych krajach socjalistycznych itd., itp. — są dziełem KGB. W. Chenkin, dobrze znający mechanizm działania KGB, uważa, że plan „Trustu nr 2” powstał w roku 1967, kiedy kierownictwo KGB objął J. Andropow; Golicyn natomiast, nie mniej obeznany z funkcjonowaniem KGB, za autora „wielkiego planu” uważa Aleksandra Szelepina (1958). Wszyscy zgodni są

1. Anatolij Golitsyn, *New Lies for Old*, New York 1984.

co do jednego: że autorem i wykonawcą wielkiego planu było KGB. Wszechmoc tej instytucji doskonale odmalował w *Homo sovieticus* A. Zinowiew.

Przy lekturze książki Golicyna, podobnie jak i innych książek o wszechmocy KGB, nasuwa się pytanie: jeśli rzeczywiście tak się sprawy mają, jeśli mieszkańcy sowieckiej zony kuli ziemskiej, posłuszne marionetki, rzeczywiście wszystko robią z rozkazu KGB, to jaki sens ma opór?

Golicyn poświęca duży rozdział „Solidarności”. Nie ulega dlań wątpliwości, że strategiczny cel „Solidarności” (w rękach KGB!) jest ten sam co Praskiej Wiosny — oszukanie rządów zachodnich, polityków i opinii publicznej co do prawdziwej natury aktualnego socjalizmu w Polsce (str. 333).

Golicyn, jak każdy Komisarz, doskonale wie, jak potoczą się wypadki: pierwsza faza planu — utworzenie „Solidarności” i jej działalność w charakterze związku zawodowego; druga faza — mianowanie Jaruzelskiego pierwszym sekretarzem, wprowadzenie stanu wojennego, zawieszenie „Solidarności” dla zdobycia nad nią pełnej kontroli i dla konsolidacji politycznej; trzecia faza — utworzenie rządu koalicyjnego złożonego z przedstawicieli partii, odrodzonej „Solidarności” i Kościoła. „Doda się być może — dorzuca Golicyn — kilku tzw. liberałów”. Logiczną konsekwencją „konceptji polskiej” wydaje się twierdzenie, że KGB i Bułgarzy nie maczali palców w zamachu na papieża.

W obszernym rozdziale demaskującym Sacharowa jako „wiernego sługę reżymu, grającego rolę głównego kanału dezinformacji organizowanej przez sowieckich strategów” (str. 231) były major KGB twierdzi, że Sacharow i inni znani dysydenci będą mogli być wykorzystani w przyszłości, kiedy KGB zacznie tworzyć fikcyjny wielopartyjny system w państwach komunistycznych. Idąc tokiem rozumowania Golicyna, Andriej Sacharow liczy na to, że w przyszłości zostanie członkiem rządu ZSSR...

Na zakończenie A. Golicyn proponuje środki do walki z komunizmem: jest wśród nich wiele rozumnych i uzasadnionych. Nieuchronnie jednak nasuwa się pytanie: jeśli wszystko co robi Związek Sowiecki, wszelkie informacje o nim są dezinformacją, to dlaczego książka byłego majora KGB miałaby być uznana za autentyczny wyraz prawdziwych informacji? Wątpliwość takiego jak golicynowskie rozumowania polega nie tylko na tym, że przy tej koncepcji należałoby wtajemniczyć w „plan” tysiące ludzi w wielu krajach, ale przede wszystkim na tym, że zakłada ona wiarę we wszechmoc KGB, a zatem w niemożliwość oporu. Książka Golicyna jest wymownym świadectwem szczególnego charakteru systemu sowieckiego, który zatruwa i przyjaciół, i wrogów.

Powstają książki i artykuły o ustroju sowieckim, a ustrój tymczasem żyje swoim normalno-nienormalnym życiem. 4 marca Konstantyna Czernienko wybrano generalnym sekretarzem KC KPZS, 11 kwietnia — przewodniczącym prezydium Najwyższego Sowietu obrony ZSSR, tj. wodzem naczelnym. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że nowy Wódz Naczelnym ma mizerną prze-

szłość bojową. Urodzony 6 lat przed rewolucją Październikową, nie mógł uczestniczyć ani w rewolucji, ani w wojnie domowej. Mógł być, z tytułu wieku, wziąć udział w wojnie z Niemcami, ale był zajęty robotą partyjną tysiące kilometrów od frontu. Co robić? Dowieść raz jeszcze, że Związek Sowiecki jest krajem nieograniczonych możliwości. *Krasnaja zwiezda* z 10 kwietnia opisuje wyczyny bojowe generalnego sekretarza, przewodniczącego Najwyższego Sowietu i wodza naczelnego. Dokonał ich w latach 1930-1933, służąc w wojskach ochrony pogranicza na granicy chińskiej. *Krasnaja zwiezda* informuje, że młody Kostek Czernienko był świetnym jeźdźcem, doskonale strzelał z karabinu i z karabinu maszynowego, a granaty z jego ręki zawsze trafiały w cel. Najciekawsze w tej opowieści jest to, że Kostek strzelał nie na poligonie, nie na manewrach, ale do żywych ludzi — „goniąc za wrogimi bandami”. Autor artykułu nie dodaje, że w latach 1930-1933 przeprowadzano kolektywizację, i że kolektywizacja natrafiała na zdecydowany opór chłopstwa. Działalność bojowa Kostka Czernienki zaczęła się więc podczas ekspedycji karnych przeciw chłopom, odmawiającym pójścia do kołchozu.

W ten sposób nowy sekretarz generalny zdobył przeszłość niewiele tylko gorszą od przeszłości swoich poprzedników.

Adam KRUCZEK

12 kwietnia 1984

Kronika niemiecka

Sprzed parafii im. św. Maksymiliana Kolbego w zachodniobерлінskiej dzielnicy Spandau wyruszył jubileuszowy 250-ty transport z lekami, odzieżą i żywnością do Polski. Niestrudzonym organizatorem oraz inicjatorem tej trwającej od trzech lat akcji jest proboszcz parafii ks. Georg Walff, odznaczony w lutym br. Krzyżem Zasługi RFN przez prezydenta Carstensa. Do tej pory ks. Walff dostarczył do Polski 850 ton różnych towarów o wartości ok. 4 mln marek. ■ Manipulowany przez *Misję Wojskową PRL* sklep *Krakowianka* w Berlinie Zachodnim prezentuje w oknie wystawowym wydane w kraju książki Czesława Miłosza i ponadto *Zniewolony umysł* w przekładzie niemieckim (*Verführtes Denken*), opatrzone wstępem Karla Jaspersa. Na banderoli uwidoczniło tłustym drukiem: *NOBELPREIS 1980*. W książce kosztującej zaledwie 6 marek zamieszczono obszerną notę biograficzną o autorze, opracowaną przez François Bondy. Czyli wszystko jak trzeba. ■ W Berlinie Zachodnim utworzona została polska parafia. Ordynariusz berliński, kardynał Joachim Meisner, przeznaczył do wyłącznego użytku Polaków kościół pod wezwaniem *Dobrego Pasterza* w dzielnicy Reinickendorf. Parafia liczy ok. 4 tys. wiernych. ■ W Berlinie Wschodnim otwarto wystawę *Malarstwo polskie XIX i XX wieku*. Zaprezentowano 109

obrazów ze zbiorów Muzeum Narodowego we Wrocławiu. ■ Trzy utwory sceniczne Tadeusza Różewicza ukażą się w NRD w oficynie Henschel Verlag. Są to *Odejsie głodomora*, *Na czworakach* i *Paupka*. ■ W Berlinie Wschodnim podpisane zostało porozumienie o współpracy między Związkiem Literatów Polskich a Związkiem Pisarzy NRD na rok 1984. Autorzy z NRD będą np. uczestniczyć w *Warszawskiej Jesieni Poezji* — 84 oraz w sesji poświęconej 90-leciu urodzin Jarosława Iwaszkiewicza. Natomiast przedstawiciele ZLP będą wyjeżdżali do NRD „dla wymiany doświadczeń”, będą też uczestniczyć w międzynarodowym kolokwium poświęconym Annie Seghers oraz w spotkaniu redaktorów naczelnych czasopism literackich KDL-ów. Ze strony ZLP umowę o współpracy podpisał Jan Koprowski. ■ Zespół Teatru Wielkiego występował w Karlsruhe i Ludwigsafen. Przedstawiano *Straszny dwór* (śpiewali m.in.: Hiolski i Mróz), *Borysa Godunowa* (m.in. w partii Borysa — Koczerga, Ostapiuk i Pękowski), dalej — *Manekiny* (występowali m.in. Artysz i Tonkiel). Dyrygowali: Robert Satanowski, Bogdan Hoffman i Agnieszka Kreiner. Recenzje raczej pochlebne. ■ W latach 1981-1982 pracowało w RFN ok. 3 tys. polskich budowlanych. Obecnie na skutek spadku koniunktury oraz trudności z uzyskiwaniem zgody na pracę liczba realizowanych kontraktów znacznie zmalała (ok. 1.800 osób). ■ Paxowskie Kierunki o inicjatywach Centralnego Związku Rzemiosła za granicą: „Zamiast jechać na już spenetrowany rynek bawarski pojechano do Berlina Zachodniego, gdzie występ kilkunastu rzemieślników wskutek złej organizacji centrali rzemieślniczego eksportu TEI Remex miał posmak skandalu”. ■ Zachodniemieckie zakłady Mannesmann zbudują w Baku i Taganrogu walcownie różnych wyrobów z rur. Wartość tego kontraktu przekracza 100 mln DM. ■ Wyjazdy przedstawicieli młodzieżowych organizacji PRL i NRD w ramach pobytu wakacyjnego i wypoczynkowego, zostaną w tym roku rozszerzone. Nowe porozumienie w tej sprawie zakłada przyjazd do PRL 87 tys. dzieci i młodzieży z NRD i pobyt 125 tys. młodych Polaków na terenie NRD. ■ Nowopowstała grupa RSP POMOST w Kolonii podkreśla w wydanej ulotce, że tworzy polskie „lobby” w RFN przez „kontakty z wpływowymi politykami i dziennikarzami” oraz zbiera fundusze i broni pokrzywdzonych Polaków... POMOST twierdzi ponadto, że wydaje w Kolonii *Zeszyty polskie*. Dotąd jednak pismo o tej nazwie jeszcze się nie ukazało. ■ Szereg czołowych pisarzy zachodniemieckich na czele z Günterem Grassem, Heinrichem Bölle i Ingeborg Drewitz zaprotestowało przeciwko szykanowaniu i uwięzieniu polskiego pisarza — Marka Nowakowskiego. W tej samej sprawie z ostrym protestem wystąpił niemiecki PEN-Club. Marion hr. Dönhoff, znana publicystka i wydawca tygodnika *Die Zeit* oraz Karl Dedecius, wybitny tłumacz literatury polskiej i dyrektor *Deutsches Polen-Institut* w Darmsztacie interweniowali na rzecz Marka Nowakowskiego podczas wizyty u Tadeusza Olechowskiego, ambasadora PRL w Kolonii. Na kilka dni przed aresztowaniem Marka Nowakowskiego został zatrzymany na Okęciu Klaus Staemmler, tłumacz literatury polskiej. Bezpieka przewiozła Staemmlera do MSW i tam go przesłuchiwała przez 10 godzin. Dopiero po złożeniu pisemnego oświadczenia, iż nie będzie kontaktował się z Markiem Nowakowskim, został zwolniony. Staemmler przybył w PRL na oficjalne zaproszenie Agencji Autorskiej. Po zwolnieniu z aresztu, w porozumieniu z ambasadą RFN w Warszawie, Staemmler (odznaczony medalem *Zasłużony dla Kultury Polskiej* i działacz proreżymowego Towarzystwa Niemiecko-Polskiego) natychmiast Polskę opuścił. Towarzyście z bezpieczeństwa interesowali się szczególnie literackimi kontaktami Marka Nowakowskiego w RFN. *Raport o stanie wojennym* tegoż pisarza ukazał się w ub. roku nakładem monachijskiego wydawnictwa *Hanser Verlag* pt. *Karpfen für die Miliz*. ■ Polskie przedsiębiorstwo Eksportowo-Importowe HORTEX sprzedało do RFN 2 tys. ton miodu. Nie wiadomo jednak, czy transakcja zostanie zrealizowana, ponieważ w Polsce zabrakło ocynkowa-

nych beczek... ■ Ambasador PRL w RFN Tadeusz Olechowski wręczył członkowi Zarządu Szopenowskiego w Darmsztacie Ernstowi Weitzelowi medal *Zasłużony dla Kultury Polskiej*. ■ Firma Siemens z RFN za cenę 1.250 tys. dolarów dostarczyła do Wrocławia tomograf komputerowy (*Somaton-2*). Prasa krajowa nie wspomniła słowem, że do zakupu doszło dzięki dotacjom niemieckich organizacji charytatywnych i kół przemysłowych. ■ *Polska Misja Katolicka* we Frankfurcie nad Menem, obok skutecznie funkcjonującej biblioteki i działalności odczytowej, wydaje również biuletyn pn. *List*. Dla Polaków w Hesji przydatne są ogłoszenia parafialne (ks. Kazimierz Kosicki, Vilbelerstr. 36, 6000 Frankfurt/M. 1). ■ Ukazał się XXII tom w 5 serii wydawniczej *Instytutu im. Georga Eckerta d/s Międzynarodowych Badań Podręczników Szkolnych*, zatytułowany *Śląsk i Pomorze w stosunkach niemiecko-polskich w XVI i XVII wieku*. ■ Problem stosunków niemiecko-polskich jest również tematem powieści Michaela Biebracha pt. *Piroggen und Pistolen*, wydanej przez düsseldorfską oficynę *Erb Verlag*. Podtytuł książki, która jest debiutem pisarskim Biebracha, brzmi: *Jak to było, gdy cesarz odszedł, a orzeł polski poderwał się do lotu*. ■ Adam Hanuszkiewicz reżyseruje *Miesiąc na wsi* według Iwana Turgieniewa w *Stadttheater* w Baden-Baden, a Jan Kulczyński prowadzi próby przedstawienia *Langusty* Freda Dengerera w *Deutsches Theater* w Getyndze. ■ Na przedwiosennych *Międzynarodowych Targach Rzemiosła* w Frankfurcie nad Menem PAGED w małej dziupli wystawił galanterię drzewną, REMEX pokazał rękodzielnictwo artystyczne, poczynając od okropnie podrabianych ikon, a kończąc na świeżkach i kasetach. COOPEXIM przedstawił szeroką paletę od wyrobów z wikliny przez galanterię skórzaną aż po... szczurołapki. Dobrze zakomponowana została wystawa polskiego szkła, ceramiki i kryształów zorganizowana dla MINEX-u przez zachodniemiecko-polską spółkę LIMINEX. Cóż z tego, kiedy wiele negocjacji utyka, gdy zaczyna się rozmowa o cenach. Do wielu polskich producentów nie dociera po prostu obiektywna sytuacja rynku światowego, który nie chce uznać znacznego wzrostu kosztów produkcji w Polsce, bez względu na przyczyny. Inna sprawa: klienci na Zachodzie nie chcą kupować towarów pakowanych w prymitywną tekturę. Uważają, że im skromniejszy towar, tym większą wagę trzeba przywiązywać do atrakcyjnego opakowania. W dziedzinie opakowań PRL-owskie zacofanie rzuca się szczególnie w oczy. ■ W *Wydawnictwie PAX* ukazała się praca Ludwiga Buchholtza — *Powstanie Kościuszkowskie w świetle korespondencji posta pruskiego w Warszawie*. Z rękopisu przełożył i przypisał opatrzył Henryk Kocój. Swoje listy pisał Buchholtz w styczniu-czerwcu 1794. Korespondencja ukazuje kulisy gry dyplomatycznej. ■ W Berlinie Zachodnim była czynna wystawa firm polonijnych zorganizowana przez *Izbę Przemysłowo-Handlową INTER-POLCOM*. Uczestniczyło w niej 18 firm, co oznacza spadek liczbowy w stosunku do zeszłorocznej wystawy w tym mieście. Wystawiano głównie odzież, wyroby z drewna — w tym domki *weekend'owe* i meble, zabawki, sprzęt sportowy i turystyczny. W sumie głównie różnego rodzaju drobiazgi. Ilość zawartych umów z zachodniobierlińskimi partnerami spada. ■ W Kolonii, przy przepelnionej sali, odbyło się spotkanie z Tadeuszem Podgórskim, przewodniczącym *Centralnego Komitetu PPS* w Londynie. Temat prelekcji: *Sprawy starej i nowej emigracji na tle 2 lat dyktatury Jaruzelskiego*. Na spotkaniu było obecnych wielu działaczy NSZZ *Solidarność* i demokratycznej opozycji. ■ Dzięki staraniom Andrzeja Wirgi z *Hilfskomitee Solidarność* (Moguncja) doszło do wydania w języku niemieckim dokumentacji *Prawa człowieka i obywatela w PRL (13. XII. 1981 - 31. XII. 1982)*. Ważną publikację opatrzył wstępem Leszek Kołakowski. Moguncjki *Komitet Pomocy Solidarności* rozpoczął również wydawanie niemieckiej mutacji paryskiego *Biuletynu Informacyjnego Solidarność* (redaktor Seweryn Blumsztajn). ■ W Prabutach w woj. elbląskim nastąpiło przekazanie miejscowemu *Sanatorium Przeciw-*

gruźliczemu kolejnej partii darów zebranych przez mieszkańców miasta Pinneberg k/Hamburga. Są wśród nich lekarstwa, przyrządy medyczne, a także karetka pogotowia marki Mercedes. Inicjatorem pomocy prabuckiemu sanatorium jest mieszkaniec Pinneberga Ernst Schröder. ■ *Komisja Katoликów* m. Kolonii wysłała już 100-ny transport do Krakowa. Rozpoczęta w marcu 1981 akcja pomocy (lekarstwa, sprzęt medyczny, odzież i żywność) będzie nadal kontynuowana; dotąd jej wartość opiewa na sumę ok. 16 mln marek (1.990 ton różnych towarów). ■ W związku ze sporym powodzeniem rejsów do Kolonii *Polskie Linie Lotnicze LOT* uruchomiły trzecie w tygodniu połączenie na trasie Warszawa - Kolonia - Warszawa. ■ Podpisano umowę o współpracy między *Polskim Radiem i TV* oraz *Westdeutscher Rundfunk* w Kolonii. Umowa przewiduje wymianę programów telewizyjnych i radiowych, koprodukcję filmów, wzajemne świadczenia usług oraz współpracę techniczną. ■ 22.556 osób pobiera na RFN naukę języka rosyjskiego. Większość to gimnazjaliści (19.843). Zaznacza się tendencja spadkowa. ■ Od 1 kwietnia bezrobotni Polacy w Berlinie Zachodnim, podobnie jak przybysze z innych krajów, przestaną korzystać z pomocy socjalnej w gotówce i będą musieli zadowolić się posiłkami w zbiorowej kuchni i bonami na inne artykuły. W Berlinie Zachodnim przeżywa ok. 9 tys. emigrantów polskich. Spośród nich tylko 750 ma zezwolenie na pracę, a 3 tysiące korzystało z pomocy socjalnej. Decyzją ministra spraw wewnętrznych Berlina Zachodniego, Lummera, wielu Polaków, którzy złożyli wnioski o azyl polityczny, skierowano do obozów przejściowych na terenie RFN. Decyzja dotknęła także niektórych członków *Towarzystwa Solidarność* (redakcja dwutygodnika *POGLĄD*). Obecnie trwają starania o cofnięcie zarządzenia berlińskiego Urzędu d/s *Obcokrajowców*. ■ Sukcesem dla PRL zakończył się XXX jubileuszowy *Festiwal Filmowy* w Oberhausen. *Grand Prix* przyznano *ex aequo* filmowi Jadwigi Zajiček *Protokół zniszczenia* oraz dokumentalnemu utworowi zrealizowanemu przez twórców z Gwatemali *Vamis patria a caminar*. Wśród głównym nagród znalazł się również utwór animowany Juliana Antoniszczaka — *Polska Kronika Non-Kamera nr 6*. Film ten otrzymał nagrodę *FIPRESCI*. Ponadto Aleksander Sroczyński otrzymał nagrodę *Międzynarodowej Federacji Klubów Filmowych* za utwór *Film animowany*. W retrospekcyjnych przeglądach filmów ekipa z PRL nie pokazała dzieł polskiej kinematografii z lat 1980-1981. ■ Od 1 stycznia do 9 kwietnia br. przybyło do Republiki Federalnej 17.233 przesiedleńców z NRD. Dziennie przeciętnie przekracza niemiecko-niemiecką granicę od 60 do 600 osób po uzyskaniu zezwolenia na przeniesienie się do RFN.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika ukraińska

Ukraińskie pisma prawosławne poświęciły wiele wspomnień stu dwudziestej rocznicy urodzin metropolity Autokefalicznego Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Wasyla Łypkiwskiego. Warto przytoczyć kilka danych z tych głosów. Wasyl Łypkiwskyj urodził się 7 marca 1964 roku we wsi Popudnia na Kijowszczyźnie jako syn duchownego, Konstantyna Łypkiwskiego, który wyemigrował do Naddnieprzańskiej Ukrainy z Galicji. Wasyl Łypkiwskyj pracował najpierw w szkolnictwie, a potem — już jako młody duchowny —

działał na Podolu i na Połtawszczyźnie na rzecz oporu przeciwko dalszej rusyfikacji prawosławia na Ukrainie. Nawoływał do organizowania nieoficjalnych komisji celem przywrócenia kościołowi prawosławnemu niezawisłości. Był współzałożycielem komisji, zajmującej się pierwszym ukraińskim tłumaczeniem Pisma Świętego. Pracował wraz z kijowskimi kompozytorami nad modernizacją liturgii. Po wybuchu rewolucji i zrzuconiu caratu w styczniu 1918 roku zebrał się z jego inicjatywy Wszechukraiński Sobór Kościelny, a 9 maja 1919 roku Łypkiwskyj odprawił w Kijowie po raz pierwszy Mszę Świętą po ukraińsku. Wydarzenie to stało się datą przełomową. Na Święto Pokrowy, w październiku 1921 roku, Wszechukraińska Rada Kościelna powołała do życia Sobór, który zadecydował o utworzeniu Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Wasyl Łypkiwskyj został obrany Metropolitą tego kościoła. Niestety na krótko. Wkrótce po zdobyciu Kijowa przez wojska bolszewickie Łypkiwskiemu postawiono ultimatum w sprawie odwołania autokefalii i ponownego podporządkowania Kościoła patriarchatowi moskiewskiemu. Łypkiwskyj odrzucił wszystkie propozycje i naciski. Został aresztowany a następnie w nieznanym miejscu rozstrzelany. Okoliczności morderstwa, dokonane prawdopodobnie dopiero w 1938 roku, zostały tak doskonale okryte tajemnicą, że Ukraińcy dotychczas nie wiedzą dokładnie gdzie i kiedy dokonano tej zbrodni. Rosyjski Kościół prawosławny wyklął metropolitę Łypkiwskiego jako odszczepieńca i po dziś dzień stoi na tym stanowisku. W tej sprawie pomiędzy Kremlem a hierarchią prawosławną w Zagorsku pod Moskwą nie ma najmniejszych różnic w poglądach. Zresztą rosyjskie kościoły prawosławne na emigracji pod tym względem nie ustępują swym moskiewskim konkurentom ani na krok. Ukraińcy natomiast swemu przywódcy duchowemu z ostatniej rewolucji wyzwolenczej wybudowali niedawno w Stanach Zjednoczonych, w ośrodku Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego koło Nowego Jorku, pomnik dziękczynności i wierności. Przedstawia on wielkiego duchownego kaznodzieję, nieczym Mojżesza w charakterystycznej pozie z rozwianą długą brodą. ■ Natomiast Josyf Slipyj, kardynał i Najwyższy Arcybiskup Ukraińskiego Kościoła Grecko-Katolickiego, który dzięki okresowi odwilży i wstawiennictwu Papieża Jana XXIII wy dostał się z GUŁAGU, obchodził w połowie lutego 92 urodziny i 40-lecie przejścia w 1944 roku Halicko-Lwowskiej Metropolii po śmierci Władki Szeptyckiego. Uroczystości ku czci sędziwego kardynała odbyły się w katedrze św. Zofii przy udziale arcybiskupa Myrosława Lubaczewskiego — metropolity kanadyjskiego z Winnipegu, Maksyma Hermaniuka — sekretarza Kongregacji dla Wschodnich Kościołów, arcybiskupa Myrosława Marusyna i biskupa na Francję, Luksemburg i Szwajcarię Mychajła Hryncyszyna. Obecny był też proto-archimandryta Zakonu Bazylianów, Izidor Patryło.

BEO

Deutsches Polen-Institut

Deutsches Polen-Institut czyli Instytut Niemiecko-Polski w Darmstadt założony został w Bonn 13. 12. 1979 roku, zaś uroczyste otwarcie miało miejsce 11. 03. 1980. Prezydium składa się z dr Marion hrabiny Dönhoff (prezes), będącej zarazem wydawcą hamburskiej *Die Zeit*, prof. dr. Gottholda Rhode (wiceprezes) z uniwersytetu w Moguncji, znanego historyka (opublikował niedawno w berlińskim *Archipelagu* interesujący szkic o Piłsudskim), dr. Alfreda Blumenfelda oraz dyrektora placówki, którym jest znany i zasłużony tłumacz literatury polskiej dr Karl Dedecius.

Po czterech latach działalności Instytut stał się ostatnio przedmiotem różnych wypowiedzi krytycznych. Dotyczą one przede wszystkim działalności wydawniczej tej placówki, a więc działalności najbardziej rzucającej się w oczy. Zarzuca się przede wszystkim, iż instytucja ta nastawiona jest głównie na kontakty z oficjalnymi czynnikami w PRL, iż — poza Miłoszem — nie uwzględnia polskiej literatury emigracyjnej, że (poprzez osobę hrabiny Dönhoff) związana jest z reżimem Jaruzelskiego itp. Wyobrażam sobie, jakie z kolei ataki pojawią się po opublikowaniu w serii wydawniczej Instytutu tomu poświęconego polskiej emigracji — od wychodźstwa Braci Polskich po dzień dzisiejszy (tym razem, oczywiście, będą to ataki drugiej strony).

Problem jest, jak wszystkie polskie problemy, dość złożony. Grają tu rolę przede wszystkim względy polityczne (warto przypomnieć bliskie i serdeczne stosunki, łączące od lat obecnego wicepremiera Rakowskiego z prezeską Instytutu), ale także ambicio-
nalne. Pamiętać przy tym należy, że Instytut para się nie tylko prezentacją polskiej literatury i jeśli ta właśnie działalność wy-
suwa się na plan pierwszy, to jest to głównie zasługa Dedeciusa,

o którym z jednej strony czytamy zjadliwe uwagi w prasie emigracyjnej, iż „posiada rozległe stosunki w oficjalnej Warszawie” (nawiasem mówiąc, w nieoficjalnej Warszawie też posiada stosunki), z drugiej — troskliwe — w prasie reżimowej, iż „jako humanista, człowiek zajęty pracą twórczą, nie jest osobą faktycznie nadającą ton tej placówce”. W dalszej części krajowego donosu przeczytamy: „Nadaje go zupełnie kto inny i chciałbym, aby polska opinia publiczna nie miała złudzeń, jakim celom służy Instytut” (cytat z *Rzeczywistości*).

No cóż — walka o Instytut będzie zapewne długa i zażarta. Jedno nie ulega wątpliwości — póki co, Instytut i Dedecius to w zasadzie jedna i ta sama instytucja. Literacki „przechyl” tej placówki — finansowanej przez rząd RFN, rządy krajowe Hesji i Palatynatu Reńskiego, miasto Darmstadt oraz fundacje Roberta Boscha i Volkswagena — jest zarazem jej siłą i słabością. Siłą — gdyż takie przedsięwzięcia jak seria wydawnicza „Biblioteka Polska” stanowią rzeczywiste, wymierne osiągnięcia. Słabością — gdyż wszelkie wybory tu dokonywane (jak choćby wydanie „Kordiana i chama” Kruczkowskiego) narażają Instytut na rozliczne krytyki. Kłopotów jest zresztą więcej — ostatnio Instytut walczy zażarcie z władzami polskimi o przevorsowanie zaproponowanej przez siebie listy zaproszonych do Darmstadt tłumaczy polskich: kilka nazwisk na tej liście zbyt „kłuje w oczy” polskie czynniki oficjalne (chodzi m.in. o stypendium przeznaczone dla Ryszarda Krynickiego, świetnego poety, redaktora *Zapisu*, tłumacza wierszy Brechta); jak dotychczas, kierownictwo Instytutu nie poszło tu na żaden „kompromis”.

W skomplikowanym „układzie polskim” znalezienie złotego środka, który pozwoliłby odnaleźć równowagę między zamiarami a realnymi możliwościami Instytutu jest niesłychanie trudne. Było oczywistym błędem tej placówki, iż na otwarcie swej działalności nie zaprosiła żadnego z przedstawicieli polskiej kultury żyjących na emigracji, niemniej należy pamiętać, że pierwszy po polsku wywiad Dedeciusa o zadaniach i celach Instytutu pojawił się na łamach *Kultury*.

W ocenie działalności tej placówki należy moim zdaniem brać pod uwagę to przede wszystkim, iż jest to instytucja niemiecka, a nie polska. Musi ona stać ponad „polskimi sporami”. I póki to potrafi robić, póki w sposób w miarę niezależny zajmuje się prezentacją kultury polskiej, póty zgłaszanie do niej pretensji mających ją „właściwie” ustawić politycznie jest nonsensem. Wydaje się przy tym, że ową niezależność Instytut rzeczywiście zachowuje. Widać to zarówno w zestawie nazwisk antologii 100 polskich poetów XX wieku przygotowywanej obecnie, jak w fakcie prac nad antologią polskiej literatury emigracyjnej.

Nie chcę „bronić” Dedeciusa — on sam zresztą broni się swą pracą. Chcę natomiast przestrzec przed próbami instrumentalnego traktowania tej wyjątkowej placówki. Łatwo ją zniszczyć, a zastąpić nie będzie czym. To, co dotychczas wydano w „Bibliotece Polskiej” (nie licząc „prywatnej” działalności Dedeciusa — a kto rzeczywiście oddzieli jego rolę „prywatną” od roli dyrektora Instytutu?) już jest olbrzymią pracą. Instytut prowadzi nadto zakrojoną na lata pracę dokumentacyjną, ma wpływ na akcje stypendialne dla polskich naukowców, prowadzi działalność wystawową, odczytową i informacyjną. Jeśli powodem ataków mają być dobre stosunki łączące panią prezes z panem wicepremierem, to jest to po prostu śmieszne. Atakować Instytut można jedynie wówczas, gdy czyni on szkody polskiej kulturze. W każdym innym wypadku można jedynie doradzać.

Dedecius — to prawda — jest człowiekiem-instytucją. Ale nawet on nie jest w stanie udźwignąć wszystkiego i wszystkiego wiedzieć (zaś do pomocy ma kilkusobową ekipę pozostającą na skromnych etatach). Nie wiem czy polskie instytucje kulturalne na wychodźstwie same próbowały podjąć współpracę z Instytutem. Jeśli próbowały i jeśli propozycje te zostały odrzucone — jest to powód do czynienia alarmu. Jeśli nie — tym gorzej dla tych instytucji. Nie można bowiem czekać, aż ktoś zacznie pracować dla nas i w dodatku za nas. I tak np. zbiory Instytutu obejmują sporą ilość wydawnictw emigracyjnych, ale wydaje się, że przede wszystkim same te wydawnictwa powinny być zainteresowane w dotarciu do Instytutu.

Dorobek wydawniczy Instytutu (druk w Suhrkamp Verlag) jest już dość spory. Składają się nań następujące tomy: *Die Dichter Polens. Hundert Autoren vom Mittelalter bis heute* (Poeci polscy. Sto autorów od średniowiecza do dzisiaj), *Das Junge Polen* (Młoda Polska), J. C.F. Schulz *Reise nach Warschau* (Podróż do Warszawy), wspomniany już „Kordian i cham” Kruczkowskiego, „Wiersze” Czesława Miłosza, „Wiersze i dramaty” Tadeusza Różewicza, *Der Monarch und der Dichter. Polnische Märchen und Legenden* (Monarcha i poeta. Polskie baśnie i legendy), „Listy do królowej” Jana Sobieskiego oraz „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego. W przygotowaniu znajdują się m.in. dwie antologie: poezji polskiej XX wieku oraz literatury polskiej emigracji. Trwają prace przygotowawcze do antologii mającej zaprezentować najmłodszą prozę polską. Już z tego przeglądu widać, iż antologie są w chwili obecnej podstawą prac edytorskich Instytutu — i słusznie, gdyż poprzez nie możliwa jest najpełniejsza prezentacja dorobku literatury i przygotowanie rynku czytelniczego. Myślę, że warto tu podsunąć Dedeciusowi pomysł zaprezentowania antologii powojennej polskiej publicystyki politycznej

— zarówno krajowej oficjalnej i podziemnej jak emigracyjnej. Tylko niby dlaczego właśnie Instytut ma się nad tym głowić, jeśli nikt z polskich wydawców dotąd czegoś takiego nie wymyślił? Warto też pamiętać, iż jednak książki Instytutu adresowane są do czytelnika niemieckiego, a nie do Polaków.

Powoli lecz systematycznie rozrasta się biblioteka Instytutu, trwają przygotowania do uruchomienia kasetowej filmoteki, w 1982 roku ukazała się obszerna dokumentacja o polsko-niemieckich stosunkach kulturalnych, w obecnej chwili opracowywana jest podobna dokumentacja o wymianie młodzieżowej. We współpracy z IBL PAN powstaje kompendium polskiej literatury współczesnej, na które mają się złożyć dwa tomy poezji, dwa tomy prozy i tom aforyzmów, opatrzone zarysem historii literatury, biografiami, bibliografią i komentarzami.

Już z tego wynika, że wszelkie próby instrumentalnego traktowania Instytutu i doraźnych ocen jego prac (przy zestawieniu z planami zakładającymi konieczność wieloletniej pracy) są co najmniej szkodliwe. Oczywiście — należy się działalnością tej instytucji interesować, należy rozszerzać — w miarę możliwości — kontakty. Tu jednak, myślę, Polacy sami powinni wykazywać inicjatywę, a nie czekać na „zaproszenie”. W końcu to oni są najbardziej zainteresowani. Tym bardziej, że władze polskie starają się o zdobycie monopolu.

K. Z.

Między Dubnem a Dublinem

Co kilka lat w prasie emigracyjnej powracają wypowiedzi i polemiczne notatki (listy) na temat pochodzenia wyrazu „chuligan”, a w związku z tym i jego pisowni. Mianowicie, czy należy pisać bez „c”, tj. „huligan” jak tego żądają (niektórzy) zwolennicy tezy, że jest to wyraz pożyczony z angielskiego „hooligan”, czy też przyjąć pisownię Komitetu Językoznawstwa PAU, który uznawszy, że jest to pożyczka z języka rosyjskiego, każe pisać „chuligan”.

Wśród językoznawców zagadnieniem tym zajmował się także (żartobliwie) S. Laks w książce „Słowa i antysłowa” (Londyn 1978), gdzie zamiast opowiedzenia się w tym czy innym kierunku proponuje rozwiązanie radykalne, ale bodaj niewykonalne, w postaci usunięcia tego wyrazu ze słownika (i mowy) jako zbyt szkodliwego wobec obfitości równorzędnych rodzimych określeń.

Naturalnie, nasze obecne dyskusje na temat „chuligana” nie są nowością. Pierwszym bodaj kto na ten temat pisał był Ał. Łętowski, który w książce „Błędy nasze. Rzecz o czystości języka polskiego na Litwie” (Wilno 1915) pisze, że (chuligan) jest to „barbaryzm pochodzenia angielskiego, zaczerpnięty jednak od Rosjan i narzucony nam przemocą przez niektórych pp. dziennikarzy”.

Zarówno pierwsza jak i druga część tego twierdzenia nie odpowiada jednak rzeczywistości. Przede wszystkim w wyrazach przejmowanych przez język rosyjski z angielskiego (jak i innych europejskich), głoska „h” zawsze jest zastępowana przez „g”. Gdyby więc język rosyjski przejął wyraz angielski „hooligan”, to brzmiałby on i pisał się „guligan”. Co zaś do drugiej części twierdzenia Łętowskiego, to wyraz ten nie był „narzucony przemocą” przez dziennikarzy, ale już dawniej był rozpowszechniony w języku mówionym.

B. Wieczorkiewicz w swoim „Słowniku gwary warszawskiej XIX wieku” podaje trzy znaczenia, w jakich wyraz „chuligan” był w tym okresie używany: 1° — łobuz, awanturnik, 2° — skrajny reakcjonista, w gwarze partyjnej, 3° — więzień kryminalny, w gwarze więziennej (w przeciwieństwie do politycznego).

L. Chełmiński w swojej książce pt. „Wspomnień garść z więzienia w Płocku”, wydanej w Warszawie w roku 1906, pisze: „W sąsiedniej kamierze (tj. celi — przyp. mój) jest pełno, jak nasza władza nazywa, chuliganów”. Była to, oczywiście, władza i więzienie, a więc i język, rosyjskie.

Stąd wynika że wyraz „chuligan”, przejęty z języka rosyjskiego był na terenie naszego kraju i w naszym języku w użyciu (choćby gwarowym) w tym czasie kiedy był więziony Chełmiński, a więc w ostatnim dziesięcioleciu XIX stulecia, to znaczy nawet wcześniej niż wyraz „hooligan” pojawił się w Anglii (mianowicie w gazecie *Daily News* z 26 lipca 1898 roku — jak to stwierdza Wielki Słownik Oksfordzki, tzw. O.E.D.).

W języku rosyjskim wyraz ten był zapewne wcześniej znany w użytku gwarowym, nie notowanym w ogólnych słownikach. J.N. Baudouin de Courtenay, polski językoznawca, a ówczesnie profesor uniwersytetu w Petersburgu, uzupełniając i redagując nowe wydanie (w 1909 roku) dzieła „Słownik współczesnego języka wielkorosyjskiego” W. I. Dala (nie żyjącego już wtedy od trzydziestu paru lat) włączył wiele nowych wyrazów, a m.in. również „chuligan”, pisząc w jego objaśnieniu, że jest to wyraz „rzekomo zapożyczony od nazwiska Hooligan, przestępcy sławnego w XVII wieku w Anglii”. Courtenay nie wyjaśnia ani z jakiego źródła wyraz ów zaczerpnął, ani też powodów swych wątpliwości co do niego wyrażonej w słowie „rzekomo”. Późniejsze słowniki języka rosyjskiego powtarzają objaśnienie wyrazy „chuligan” opuszczając słowo „rzekomo”.

W istocie nie ma powodu, aby doszukiwać się wpływu obcego języka na powstanie wyrazu, który łatwo i w sposób naturalny wyprowadza się z pierwiastków istniejących od dawien dawna w języku rosyjskim (a nawet starosłowiańskim). Te źródłowe

wyrazy mają (do dziś) w słownikach postać „chuła” (rzeczownik) i „chulit” (czasownik), w znaczeniu „łżyć, zlorzeczyć” a także „zachowywać się lub wyrażać grubiańsko”. Takie pochodne wyrazy jak „chułowieści”, „chulstwowat”, „chulitel”, „chulnik” notuje „Słownik języka starorosyjskiego” I. I. Srezniewskowo. Z tego źródłowego pnia wyraz „chuligan” tworzy formanta „gan”, mająca znaczenie pobłażliwego zgrubienia, tak jak np. w wyrazie „malczugan” (od „malczyk”) lub „starczugan” (od „starczyk”).

Z drugiej zaś strony, w języku angielskim pochodzenie wyrazu „hooligan” jest nieustalone i nieuzasadnione, jak to — mimo istnienia kilku wersji źródeł tego wyrazu — stwierdza autorytatywnie O.E.D.

Jedna z takich wersji przypisuje pochodzenie tego wyrazu źródłom hinduskim, gdzie święto wiosenne, rodzaj hinduskich saturnaliów, w ciągu kilkudniowych obchodów prowadziło często do różnych ekscesów i zamieszek. Podczas tego święta, które nosi nazwę (indyjską) „holi”, a jest rytualnym obchodem urodzaju i płodności, mężczyźni oblewają kobiety kolorowaną wodą, często zaprawianą pachnidłami. Jest to rytuał bardzo dawnego pochodzenia, rozpowszechniony jeszcze przed ostatecznym rozpadem pierwotnej pra-indoeuropejskiej społeczności i przed migracją poszczególnych szczepów. Jego ślad zachował się u nas (jak i u innych narodów indoeuropejskich) w postaci obyczaju zwanego dyngusem lub śmigusem. Po okresie surowych ale niezbyt skutecznych w średniowieczu zakazów władze kościelne ostatecznie zdecydowały się tolerować ten obyczaj po nadaniu mu nazwy zacierającej jego związek z pogańskim świętem. Nazwa ta została w polskim języku przejęta, jak stwierdza Brückner, z niemieckiego „Dingus” (okup) albo „Schmeckostern” (poniedziałek wielkanocny). Ta druga nazwa poprzez czeski „szmerkus”.

W czasie święta „holi” całe grupy młokosów, bandy chłopców podochoconych żutymi w tym okresie narkotycznymi roślinami, a zwłaszcza grzybami, polują na dziewczęta i nawet starsze kobiety, zdzierają z nich wierzchnie odzienie i oblewają kubłami kolorowanej wody. Inne grupy bronią swych kobiet, powstają bijatki, a nierazdło i większe zamieszki. Bandy takie były jakoby nazwane „holi gangs” przez żołnierzy armii angielskiej w Indiach, która w tych okresach trzymana była w pogotowiu, ale zamknięta w koszarach. Do Anglii wyrażenie to mieli przynieść emerytowani wojskowi wracający do kraju i stosujący tę nazwę do awanturujących się po ulicach pijaków i w ogóle niesforne zachowujących się uliczników. Wersja ta również utrzymuje, że przez stykające się na terenie Afganistanu oddziały wojskowe angielskie i rosyjskie (gdzie w XIX stuleciu Rosja i Anglia rywalizowały ze sobą o osiągnięcie wpływów politycznych, co ostatecznie doprowadziło do rzeczywistej „wojny afgańskiej”) wyrażenie „holi gang” miało być przejęte przez Rosjan. Jest to jawna fantazja, nie tylko dlatego, że rosyjski wyraz „chuligan” jest bez większych wątpliwości rodzimy, ale również dlatego, że hinduskie święto „holi” nie było znane na terenie Afganistanu, którego

szczypty muzulmańskie nie są pochodzenia indo-europejskiego (a turko-chawarskiego), zatem w żadnym wypadku nie mogło być nawet okazji do wspomniania „holi gangs”.

Owa hinduska wersja pochodzenia wyrazu „hooligan” nie była poparta żadnymi realnymi dowodami i nie była nigdy poważniej traktowana przez żadnego z angielskich językoznawców i słownikarzy. Jest to typowa „ludowo-fantazyjna etymologia”.

Inną wersję notuje jeden z angielskich leksykografów, E. Partridge, w swoim słowniku gwary („Slang and unconventional English”), wywodzącą pochodzenie wyrazu „hooligan” od nazwiska, jakoby notorycznej w dzielnicy Southwark w Londynie, irlandzkiej rodziny Houlihan, znanej z awanturnictwa. Inni językoznawcy nie uznają tej wersji, opartej tylko na domysłach, ponieważ po pierwsze nie ma żadnych danych, aby rodzina o takim nazwisku w ogóle istniała (tj. brak jakichkolwiek zapisów w księgach parafialnych urodzin, zgonów, małżeństw, śladów w raportach policyjnych itp.). Po drugie, fonetyczne zmiany dźwięków „ou” w „oo” oraz „h” w „g” (w „han”) są trudne do uzasadnienia. Mimo że obie celtyckie formanty „-han” i „-gan” mają zbliżone znaczenie i mogą formować nazwiska osobowe, nie są one wymienne. Ta przyczyna może sprawiać, że amerykański słownik Webstera podaje wersję Partridge’a z odmianą. Mianowicie wywodzi wyraz „hooligan” od nazwiska rzekomego irlandzkiego awanturnika, który miał się nazywać Patrick Hooligan i miał się przenieść z Dublina do Londynu. Co nadal pozostawia zastrzeżenie o braku śladów istnienia takiego nazwiska w Londynie.

Źródłem tej wersji mogła się stać notatka reporterska w gazecie *Daily News* (z 8 sierpnia 1898 roku) o aresztowanym przez policję awanturniku, który oświadczył, że należy do grupy nazywającej się „hooligans”. Podobne grupy istniejące na terenie Anglii w różnych okresach (notowane już w XVIII stuleciu) znane są pod rozmaitymi nazwami, mającymi mniej lub więcej trwały byt, jak „macaronies” (najdawniejsza ze znanych), „larrikins”, „rockers”, „mods”, „apaches”, „teds”, „yobbos”, „punks”, „skinheads”, „hell angels”, itd.

W innej gazecie (*Daily Graphic*), w tym samym okresie, jeden z czytelników skarży się w liście do redakcji, że „w soboty i niedziele grupy młodych awanturników nazywających siebie ‘hooligans’ grasują po ulicach, wybijają mu szyby w domu, łamią i niszczą kwiaty w ogrodzie i budzą całą okolicę nocnymi hałasami”.

W ten sposób zagadnienie nazwy nasuwa teraz pytanie, skąd owe grupy ulicznych awanturników przybrały taką egzotyczną nazwę?

Mamy tu zjawisko identycznie brzmiącego terminu o bardzo zbliżonym znaczeniu w dwóch różnych językach: angielskim i rosyjskim. Wiemy, że w rosyjskim jest to termin, który najpewniej wywodzi się ze starego, autochtonicznego pnia. W angielskim zaś jest on niewątpliwie obcego pochodzenia. Domysł, że jest to pochodna od nazwiska irlandzkiego czy też od nazwy hinduskiej, jest bardziej niż wątpliwy i nie znajduje uzasadnienia zasługują-

cego na uznanie ogółu językoznawców angielskich. Nieodparcie nasuwa się wniosek, że musi to być pożyczka z języka rosyjskiego. Chodzi o to, czy istnieje jakiś czynnik, który by mógł ten, gwarowy w istocie termin rosyjski, przenieść do Anglii, a ściślej mówiąc do Londynu, w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku?

W owych czasach teatryki rewiowe (*music halls*) stanowiły w Anglii popularne miejsca rozrywkowe (w dziesięciolecie później ich miejsce zaczęły zajmować kinematografy). Każda dzielnica Londynu posiadała po kilka takich zakładów, często łączonych z wyszynkiem piwa, a dzielnica Southwark (wymawiana Sothark), sławna nie tylko z uliczek (i więzień) barwnie opisywanych przez Dickensa, ale również z tradycji teatralno-widowiskowych sięgających czasów Szekspira, znana była jako jedno ze źródeł popularnych piosenek powtarzanych w teatrzykach rewiowych innych dzielnic Londynu i poza Londynem. Otóż w wielu wersjach jednej z popularnych w owym okresie piosenek opowiadane były „wyczyny” i chwala „hooligans family”. Stąd zapewne mogła powstać wersja awanturniczej „rodziny” o nazwisku „Hooligan”. Ale wyraz „family” znaczy nie tylko rodzinę. Grupa ludzi o nieformalnej, luźnej organizacji opartej na wspólnych, wzajemnie naśladowanych obyczajach, mniej lub więcej ekscentrycznych, stroju czy sposobie zachowania itp. będzie również określana terminem „family”. Stąd też wyraz „hooligan” nie musi być nazwiskiem, a po prostu nazwą bandy łobuzów, dziś zazwyczaj określanych, poza ich własną nazwą, ogólnym terminem „vandals”. Skąd zaś taka nazwa dostała się do popularnych piosenek?

Źródło jej mogło się znaleźć wśród licznie przybywających w tym okresie do Londynu — właśnie głównie do Southwark i East Endu — imigrantów żydowskich z terenów b. wschodnich kresów Polski zagarniętych przez Rosję, a w okresie popowstańcowym poddanych coraz ostrzejszym warunkom rusyfikacji, wśród których wyróżniały się nagminne ekscesy antysemickie, mniejsze i większe lokalne „pogromy”, inicjowane półjawnie przez władzę administracji tzw. „samorządowej” i prawosławne parafie, a wykonywane przez grupy awanturniczej hulastry, powszechnie zwanej „chuliganami”. (Później ich miejsce zajęły oddziały ściślej organizowane zwane „czarną sotnią”). Liczne rodziny żydowskie skłoniło to do emigracji, a raczej ucieczki. Większość ich kierowała się do Anglii, a zamożniejsi, mogący opłacić kosztowniejszy transport, jechali do Ameryki. Ale nawet wielu z tych co zamierzali płynąć do Nowego Jorku i nieraz ostatnie grosze płacili okazynie tanim „kapitanom”, po niewczasie dowiadując się, że po wielodniowym kołysaniu na Morzu Północnym zostali wysadzeni na ląd w Southwark Park, czy na Psiej Wyspie (*Isle of Dogs*).

Przybywszy ci szukali oparcia i źródeł utrzymania przede wszystkim w środowisku miejscowych grup żydowskich, gdzie mogli porozumiewać się w języku jidisz, zanim zdążyli przyswoić sobie najważniejsze wyrażenia angielskie. W ich opowiadaniach i skargach stale powtarzały się słowa „chuligan” i „chuliganszczina”

przyswojone w języku żydowskim. Zaś miejscowe środowiska żydowskie miały, jak wiemy, liczne kontakty z jednej strony z grupami przedsiębiorców operujących po obu stronach granicy legalności i posługujących się źle opłacaną pracą ludzi ukrywających się przed władzami, a także emigrantów nie władających dostatecznie lub wcale miejscowym językiem, zatrudnianych w charakterze przygodnych lub chałupniczych robotników, albo sprzedawców domokrażców. Z drugiej zaś strony te same środowiska miały bliskie kontakty z marginesowymi („fringe”) i nie tylko marginesowymi kołami środowisk aktorsko-muzycznych, z jakich rekrutują się zarówno twórcy jak wykonawcy popularnych piosenek teatryków.

Z podobnych źródeł i dziś jeszcze rozpowszechniają się najróżniejsze, mniej lub więcej egzotycznie brzmiące terminy. Stąd mógł właśnie pochodzić i ów termin, fonetycznie zapisany „hooligan” przez wytwórców piosenek czy reporterów dziennikarskich. Istnieją przykłady podobnej adaptacji obcych terminów nawet i dziś, szczególnie w tekstach piosenek („lyrics”) najróżniejszych „pop” grup, zwłaszcza w zastosowaniu do imion. I dziś również wiele z takich nazw wywodzi się z języka rosyjskiego, wprowadzanych również przez emigrantów pochodzenia żydowskiego z terenów rosyjskich.

O ile mi wiadomo, etymologią wyrazu „hooligan” nie zajmował się poważniej żaden z językoznawców angielskich (czy amerykańskich). W języku polskim nie ulega wątpliwości, że jest to pożyłka z języka rosyjskiego, nie mająca nic wspólnego z terminem angielskim ani nazwiskiem irlandzkim. A wobec tego poprawna jego pisownia jest „chuligan”.

J. P. HORZELSKI

KSIAŻKI

NOWE, WYCZERPANE I ANTYKWARYCZNE

Księgarnia Polska

E. Neustein, Tel-Aviv, POB 29443

Israel

Kupujemy dublety biblioteczne, książki rzadkie
zbiory biblioteczne w języku polskim i rosyjskim.

Ci, co odeszli

Nina Iwańska

Nina Iwańska umarła w sierpniu 1983 roku. Kto to, Nina Iwańska? Na jakiejś fiszce reasumującej dane biograficzne, te najważniejsze, trzeba by dać w punktach: lublinianka, w roku 1941 aresztowana wraz ze starszą siostrą Krystyną, po ciężkim śledztwie na Zamku lubelskim wywieziona do Ravensbrück, gdzie obie otrzymały fatalny numer zaczynający się od 7000. Poddana — wciąż razem z siostrą — operacjom doświadczałnym, polegającym na masakrowaniu i zakażaniu nóg młodym dziewczętom „politycznym” z lubelskiego i warszawskiego transportu (stąd ważność numeru: „króliki” były z transportów, którym wypadła cyfra kolejna siedem lub jedenaście tysięcy). W roku 1945, gdy Niemcy, chcąc usunąć ślady tej zbrodni, polują po obozie na „króliki”, ucieka na niezabliźnionej nodze pod cudzym numerem, wraca prawie na piechotę do Lublina, gdzie wita ją na wstępie widok kolegów transportowanych na Zamek, już znowu polskiego więzienia. Francuzki, którymi opiekowała się w Ravensbrück, ściągają ją do Paryża. Tu studiuje w szkole dziennikarskiej. Zabiega o wypuszczenie reszty „królików” z Polski, w najgorszej, stalinowskiej epoce, na kurację w szpitalu bostońskim, gdzie i jej nareszcie „zamknięto” ropiejącą pooperacyjną ranę. Trochę pracuje w „Paix et Liberté”, trochę w Galerie Lambert. Piszę „trochę”, bo dalszy ciąg życia Niny Iwańskiej to już jedno pasmo cierpienia. Jak wszystkich „królików”. A pod sam koniec, aż po ostatnie dźwiganie się o lasce, „Noël pour la Pologne”, francuski komitet pomocy krajowi, który zainicjowała w listopadzie 1980 roku, wciągając do niego Geneviève de Gaulle-Anthonioz, bratanicę Generała, Anise Postel-Vinay, żonę jego ministra skarbu z czasów londyńskich, czyli tak zwane „dziewczęta” z Ravensbrück, które jej, Nince, mniej lub więcej zawdzięczają życie i o tym pamiętają.

Ale o wiele lepiej od tej mojej sumarycznej fiszki swoje życie sama Nina streściła, komponując w szpitalu w Nîmes, na parę

dni przed śmiercią, ten napis, który powinno już zaraz odnotować nasze paryskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Polaków, którzy się zasłużyli Ojczyźnie:

— *Ici repose, enfin libre, Nina Iwańska, déportée de la Résistance Polonaise, victime des expériences médicales nazies. Elle aimait passionnément la vie, les roses et les êtres. Malgré leurs épines*".

Czyli: Tu spoczywa Nina Iwańska, deportowana za udział w polskim ruchu oporu. Z pasją kochała życie, róże i ludzi — wbrew ich kolcom".

Zacznę od róż. We wszystkich naszych ogródkach, normandzkim Geneviève, bretońskim Anise, naszym burgundzkim, krzaki róż pierwsze tej jesieni odczuły brak Niny. Przycinała je nam leżąc — od paru lat schylenie się czy przyklęknienie to były gesty odebrane jej na zawsze. A co się dzieje w jej własnym ogródku w Corconne, istnym królestwie róż, o tym nie sposób pomyśleć bez ściśnięcia serca.

Corconne jest małą wioską na południowym wschodzie Francji. Darmo jej szukać w zielonych przewodnikach Michelin, ani w tym pod tytułem „Prowansja”, ani w tym pod tytułem „Gorges du Tarn, Seweny, Langwedocja”. Jest na styku. Tu kończy się modna Prowansja, a zaczynają dzikawe Seweny. Turystom nie warto tu zbaczać. Mały domek Niny, zaseregowany od frontu jak wszystkie domki wioski przy głównej ulicy, ma od tyłu ogródek ledwo większy od chustki do nosa, a z niego, ponad murem przepysnie obrosłym różami, widok rozległy na dolinę, na winnice, gaje brzoskwińowe i oliwne, a na horyzoncie zbocza sewenolskich gór. I słońce, po prowansalsku upalne, przy sewenolskim, rześkim powietrzu, które miało jej nie to że przywrócić zdrowie, to było niemożliwe, miało jej to zdrowie podtrzymać. Nina ufnie oddawała się jego promieniom. Powinna by dopisać w swoim epitafium: kochała słońce.

Według jej dokładnych życzeń napis wyryty został nie na żadnym pomniku czy płycie, tylko na odłamku skały stamtąd. Na kamieniu. Zażyczyła też sobie, żeby ją pochować w najprostszej trumnie zbitej z sosnowych desek.

Ze znalezieniem odłamka skały i wyryciem napisu nie było specjalnych kłopotów. Ale skąd sosnowe deski na trumnę w kraju oliwek i kasztanowców? Nina nie zdawała sobie sprawy, na co naraża przyjaciółki pragnące jej oddać ostatnią posługę według życzenia. To tak, jakby w jej stronach, na Lubelszczyźnie, ktoś zapragnął nagle teraz desek dajmy na to hebanowych.

Ale się znalazły. Cudem przyjaźni, łańcuchem ravenbrückiej solidarności, na godzinę przed pogrzebem.

Operacje doświadczalne to osobny temat i nie chciałabym się nad tym rozwodzić. W Polsce więcej zapewne o tym wiadomo, wyszło sporo opracowań. Źródłowa monografia Ravensbrück Wandy Kiedrzyńskiej, wspomnienia dr Zofii Mączki, która w obozowym rewirze pracowała jako rentgenolog i patrzyła na to, czego dopuszczali się jej koledzy, niemieccy lekarze, fachowym

i bezsilnym okiem; powychodziło też sporo wspomnień i relacji, jak na przykład to, napisane przez Krystynę Czyżówną, obecnie Wilgatówą, też z Zamku lubelskiego, też „siedem tysięcy”, także królika. Była o tych operacjach mowa w Norymberdze. Nina zeznawała przed tym powojennym trybunałem w podwójnej roli: jako świadek zbrodni i jako *corpus delicti*. Jej noga nie była jeszcze wtedy „zamknięta”.

Gdyby chociaż doświadczenia te zasługiwały na miano doświadczeń, gdyby na coś, na cokolwiek się przydały! Doktor Gebhard, któremu Hitler oddał do niekontrolowanej nikim i niczym dyspozycji cały Ravensbrück, krajał, zakazał, łamał nogi młodych i zdrowych dziewcząt, Polek „politycznych”, nie dla postępu wiedzy medycznej, nie miał do tego żadnych kwalifikacji, lecz dla uratowania własnej głowy, którą naraził źle lecząc jakiegos przyjaciele Führera. By nie pójść na front. W Norymberdze tą głową przypłacił. Cóż z tego?

Nasze króliki nie szły na operacje jak baranki. Broniły się. Do ostatniej chwili, przywiązywane do operacyjnego stołu, zębami i pazurami. O tym może opowiedzieć Dziuba Sokólska, żyjąca w Londynie, która, nim ją zachloroformowano, pokiereszowała esesmanki. Czy wiadomo o tym, że w obozie Ravensbrück był bunt? Gdy na egzekucję zabrano parę królików jeszcze o kulach — a rozpuszczono pogłoski, że kogo operują, ten nie będzie rozstrzelany — dozorczyń z listą skazanych w rękę musiała uciekać w czarnej swojej pelerynie — mało brakowało, a zostałaby zlinczowana na lagrowej ulicy. Wtedy to blok królików został zamknięty, bez jedzenia, bez picia, strzeżony dzień i noc przez *Lagerpolizei*. Mażena, Czeszka, której także należało się monografie, blokowa królików, parlamentowała i wygrała. Zależało doktorowi Gebhardowi na swoim materiale doświadczalnym. My zaś, reszta obozu, podrzucałyśmy im jedzenie, jak do oblężonego miasta, by przetrwały. Pod koniec wojny zresztą, gdy królikom groziło sprzątnięcie, dziewczęta z Armii Czerwonej, kobiety-żołnierze wzięte do niewoli pod Stalingradem i wbrew wszelkim konwencjom przebrane w lagrowe pasiaki, zorganizowały ruchawkę, poprzecinały druty elektryczne, by króliki mogły rozpięchnąć się ze swego baraku i zniknąć w tłumie „normalnych” więźniarek.

Ale od 1942 do 1945 roku trzeba było im przeżyć trzy wieki i, niektórym, po parę operacji, fuszerskich i bezsensownych. Pomiędzy jedną a drugą wracały na „swój” blok, mając zakaz wychodzenia do pracy, poza mury, poza druty, do łopaty czy do budowania autostrady. Nina nie traciła czasu. Sporządzała, leżąc na swej pryczy, dokumentację, spisy imienne rozstrzelanych i operowanych, wykradane z Rewiru zdjęcia rentgenologiczne zmasakrowanych kości. Jak kto mógł, przemycał to za Bramę, a gdy nie było sposobu, żeby to podać dalej, na przykład jeńcom francuskim pracującym w okolicy, zakopywało się to w lesie, na po wojnie. Żeby się świat dowiedział, gdybyśmy nie przeżyli.

Poza dokumentacją Nina otwierała także na swojej pryczy ro-

dziej nielegalnego biura przepustkowego. Nie mnie jednej uratowała życie, wypisując własnoręcznie najautentyczniejszą *Bettkarte*, to znaczy zwolnienie z pracy przy rąbaniu lasu w zimę. Nie musiałam, chora, stać godzinami na apelu a potem brnąć po śniegu, ponieważ brakowało mi paru kresiek gorączki do uzyskania rewirowego zwolnienia. Zresztą z gorączką czy bez, bezpiecznie było nie pokazywać się w Rewirze.

O Ninie Iwańskiej w obozie, jej energii, pogodzie, sprycie, niezłomności, mogłabym bez końca. My, Polki ravenbrückie, co mówię, my, Polacy, jej właśnie zawdzięczamy dobre przyjęcie we Francji, ona poprawiła naszą reputację, niestety przez zachowanie się wobec Francuzek przez inne rodaczki popsutą.

Po wojnie spotkałyśmy się w Paryżu. Poza wiecznie „otwierającą się” nogą, nikt by nie poznał po niej, co przeżyła i skąd wraca. Z entuzjazmem podjęła studia w Szkole Dziennikarskiej, w warunkach, o których dzisiaj można by opowiadać obecnym studentom jak o trudnej do uwierzenia bajce. Mieszkaliśmy na nieogrzewanych poddaszach, przed egzaminami w obcym jeszcze dla nas języku wkuwałyśmy po nocach, mocząc dla wytrzeźwienia nogi w zimnej wodzie i paląc papierosy marki „Wyszukane”, to jest skręty z własnych niedopałków, rzucane w kąt, gdy nam się trafiła paczka Czerwonego Krzyża. Ninie odmówiono stypendium. Polski działacz, czcigodny i zasłużony, nie chciał wziąć pod uwagę, że nie skompletowała na czas swego podania, ponieważ akurat stawała przed Trybunałem w Norymberdze. To nie było dla niego wystarczające usprawiedliwienie. Nie szkodzi. I tak zdała swoje egzaminy.

Ale tuż po latach studenckiej bohemy zaczęły się dla Niny lata szpitalne. Nie ma w Paryżu szpitala — a wtedy warunki były w nich średniowieczne — w którym byśmy jej nie odwiedzały po którejś z rzędu na coś operacji. Po kuracji bostońskiej noga jej wprawdzie „zamknęła się”, ale zakażenie, zatrucie przeżarło zbyt głęboko jej organizm. Być może, bo na domiar wszystkiego złożyło się tak, że Nina była alergiczna na zastrzyknięte jej w Ravensbrück bakterie. Podobno tak się zdarza.

Tak więc o wiele szybciej niż by to działyby mijające dla wszystkich lata, z dziewczyny, która starała się ukrywać fakt, że utyka, a i utykając lubiła potańczyć, straciła możliwość jakiegokolwiek pracy. Przez pewien czas słońce Corcony pomagało. Wierzyła, że pomaga. Przebywała tam część roku, przyjmując ravenbrückianki i nie ravenbrückianki z Polski, Francji i Nawarry, wygrzewała kości, przycinała róże, „organizowała” po winnicach suche szczepy na opał, by nam przypiekać befsztyki w żarze kominka. Opiekowała się nami, potem naszymi dziećmi „problemowymi”, zamiast żebyśmy my nią się opiekowały. A gdy było gorzej — źle — wyjeżdżała. Prosto przed siebie. Wszystko ją ciekawiło, wszystko pragnęła zobaczyć. Już o lasce, bardziej niż inwalidka, przejechała sama cały półbut włoski, żeby „zaliczyć” Pompeje. Nie mogła się nadziwić nam, zdrowym, normalnie i bez bólu chodzącym, że możemy a nie chcemy, nie chce

nam się tego czy owego doświadczyć czy zakosztować. To ona nam, a nie my jej, kupowała bilety na Nurejewa — balet ją fascynował, radość poruszania się w posłusznym, nie cierpiącym ciele — i nie było dla niej tak stromych schodków w Palais des Sports, żeby stchórzyła czy skapitulowała.

Ale powoli, nieubłagane, a potem coraz prędzej, odpadały dla niej wycieczki, spacer, teatry. Nawet lektury. Najdłużej pozostały róże.

I tak nadszedł rok 1980. Wydawało się, że naszej Ninie pozostało już tylko cierpienie, leżenie w łóżku i wizyty przyjaciół. Byli liczni. Cały francuski Ravensbrück miał kult Niny Iwańskiej, zaś polski w niej oparcie.

Z tego letargu Ninę, istnego Piotrowina, wskrzesił i kazał jej powstać o lasce z uśmiechem, który pokrywał ból przy każdym kroku, zew potrzebujących w Polsce. Wynikło to z doświadczeń obozowych. Nie ze wspomnień — niechętnie do tamtych czasów wracała. Ale z doświadczeń właśnie. Gdy głód, gdy brak, jaka jest najostrej zakreślona różnica pomiędzy ludźmi? Ostają się dwie kategorie: ci, którym pomagają ludzie z zewnątrz, rodzina czy przyjaciele. Czyli ci, którzy dostają paczki. I ci, którzy nikt nie mają poza obozem czy za granicą i żadnych paczek nie dostają. Co przesądza o przetrwaniu.

Tak powstał „Noël pour la Pologne”, pierwsza tego rodzaju we Francji inicjatywa poza zawodowo charytatywnymi organizacjami, gromadzenie i przekazywanie do Polski żywności, lekarstw i odzieży dla tych, którzy potrzebują, a nikogo nie mają, kto by o nich osobiście, imiennie zadbał.

Była już późna jesień, 1980 rok. Boże Narodzenie za pasem. Pierwszy transport dotarł jednak na święta, choć niełatwa i nieprosta rzecz, tutaj i wszędzie, zorganizować coś na większą skalę, poruszyć opinię publiczną, tak zwane media. Pomoc Polsce jeszcze nie weszła w modę. Mam przed sobą odpowiedź szarej eminencji radia Europe nr 1, Pierre Bellemare’a, datowaną z dnia 22 listopada 1980 roku. Cytuję:

„...Niestety, mimo że pomysł Gwiazdki dla Polski wydaje mi się ciekawy i szczodry (w oryginale *généreux*), muszę Panią rozczarować. Termin jest za krótki, aby coś zorganizować na większą skalę. Wydaje mi się, że nie zdają sobie Panie sprawy z ogromu starań, kontaktów, przygotowań wszelkiego rodzaju, jakie musiałyby zostać puszczane w ruch. Nie licząc ilości osób, które trzeba by przekonać, aby oddały na to swój czas bezinteresownie. Co więcej, w obliczu problemów i trudności jakim obecnie muszą sprostać Francuzi, tak wewnątrz jak i na zewnątrz kraju, czy są Panie pewne, że akcja ta zostałaby uwieczniona powodzeniem? Osobiście w to wątpię, zaś porażka byłaby czymś wysoce dla wszystkich nieprzyjemnym...”

Koniec cytaty. Tenże sam Pierre Bellemare, ta sama Europe nr 1, zorganizowała na modłę wielkiej mobilizacji reklamowej zbiórki dla Polski na to samo Boże Narodzenie. Bo inaczej uło-

żyła się koniunktura. Ale komitet „Gwiazdka dla Polski” już był, już zadziałał. Nie wynajmował za cenę złota samolotów — ravenbrüczanki nie mogłyby ścierpieć takiego marnowania zebranych funduszy, by środek transportu kosztował więcej niż żywność, którą dowozi. Udało się „zorganizować” po obozowemu darmowe statki.

Nina Iwańska umarła w sierpniu 1983 roku, a jeszcze poprzedniej zimy pilnowała ładowania ciężarówek, sama dźwigała, gdy brakło chętnych do pomocy. A potem już zaczął się jej koniec. Śmierć czekała na nią w szpitalu w Nîmes. Mało kto mógł na jej pogrzeb dojechać, mało kto mógł się o nim na czas dowiedzieć. Umierała latami, a umarła nagle.

Czternastego listopada w kaplicy Sióstr Nieustającej Adoracji, z inicjatywy francuskich ravenbrüczanek, ksiądz Plater, który w Paryżu koordynuje wysiłki do kraju, odprawił Mszę świętą na intencję Niny Iwańskiej. Było nas pełno. Sztandar francuski przewiązany był krepą. Siostry śpiewały po łacinie, pewno tak samo jak w klasztorze na Lubelszczyźnie, w którym Nina zaledwie zdążyła skończyć parę pierwszych klas gimnazjalnych przed wojną. Ksiądz Plater bardzo pięknie mówił o Nini od ołtarza. Napomknął o ojcu Kolbe.

Ale my, które znałyśmy ją od dawna, nie tylko jako męczennicę o lasce, pokrywającą fizyczne cierpienie uśmiechem, w jednym nie możemy się z nim zgodzić. Mówił o pokorze — *humilité* — jako o głównej cnocie Niny. Nie. Nie należała do gatunku pokornych. Była z gatunku walczących. Tak się złożyło, że przez większą część jej życia głównym jej przeciwnikiem było własne ciało. Choroba, choroby. Ale walczyła nie tylko o życie. Walczyła o radość życia. Umiiała cieszyć się, delektowała się byle kąsem, byle różą, byle promieniem słońca. Gdy nie mogła już swoim własnym, żyła naszym życiem i z nami, za nas nim się cieszyła.

Tak więc Ninę Iwańską porównałabym nie do Ojca Kolbe, tylko raczej — żartobliwie, ale ona lubiła się pośmiać choćby z samej siebie — do owej białej kózki pana Seguin z opowiadania Daudeta. Ta biała kózka walczyła z wilkiem. Całą noc.

A rano została przez wilka pożarta.

Czyli zwolniona? Jak wyraźnie stoi wykute na odłamku skały, na cmentarzyku w Corconie: tutaj spoczywa Nina Iwańska. *Enfin libre*. Nareszcie wolna.

Zofia ROMANOWICZOWA

Z pustyni i z puszczy

Autobiografii część druga*

Zanim zostałem humanistą i zacząłem pisać wiersze oraz inne paszkwile oczerniające Przodujący Ustrój, uprawiałem w życiu przeróżne sporty, jak na przykład pływanie, lekką atletykę, boks, judo i alpinizm. W tym ostatnim byłem nawet przez kilka lat w czołówce krajowej, ale musiałem się ograniczyć do gór polskich, ponieważ paszport obywatela polskiego jest własnością Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (co jest zresztą na nim napisane), a ulubioną rozrywką Ministerstwa Spraw Wewnętrznych było zawsze odmawianie paszportu takim jak ja.

Wszystkie te sporty bardzo mi się przydały w dyscyplinie uprawianej równolegle oraz później w biegach i zapasach z milicją, które się zaczęły, jak tylko nowe wróciło.

Nowe wróciło za czasów wuja Gierka, chociaż nie od razu. Wuj Gierek, pierwszy sekretarz partii komunistycznej, miał być kolejnym zbawicielem narodu od wszystkich nieszczęść, jakie spotykały go ze strony partii od 1945 roku. Wuj Gierek prezentował się nieźle. Było go dużo na ekranie telewizora, włosy miał przyszyżone na jeża i z komunistyczną troską w głosie wymawiał słowo „Rodacy!” na początku każdego przemówienia. Znał również język francuski, ponieważ kiedyś pracował jako górnik w Belgii. Z tego powodu niektórzy ludzie w Polsce uznali go za intelektualistę.

Wuj Gierek pożyczył od brzydkich Amerykanów i paru innych nacji kilkanaście miliardów dolarów, ponieważ w okularach wyglądał jeszcze lepiej niż normalnie i wszyscy mu wierzyli. Z tej sumy mniej więcej połowę przeznaczył na wille, mieszkania, samochody i inne drobiazgi dla siebie i różnych członków komitetu centralnego Przodującej Partii, a połowę na zakup przestarzałej licencji „Fiata” oraz na wybudowanie nikomu — prócz Breźniewa — niepotrzebnej huty „Katowice” i paru innych równie zbęd-

* Część pierwsza autobiografii ukazała się w *Kulturze* nr 1/2, 1979.

nych, zatruwających ziemię, wodę i powietrze zakładów przemysłowych.

Niestety, zanim wszyscy w Polsce zdążyli kupić małe „Fiaty”, trzeba było zacząć oddawać pożyczki i po „wielkim skoku”, który nie był ani skokiem, ani wielkim — o co kiedyś pokłóciłem się z opozycyjnym ekonomistą Waldemarem Kuczyńskim — byliśmy znów bliżej Trzeciego niż Drugiego Świata. Wiem, wiem, wszyscy mi zaczęli mówić, że nie mam pojęcia, jak wygląda Trzeci Świat. Znam ja te wasze bajdurzenia, ekonomiści polscy.

W 1976 roku wuj Gierek z wujem Jaroszewiczem musieli odwołać podwyżkę cen żywności w związku z demonstracjami w Radomiu i w Ursusie. Nie wpłynęło to specjalnie na ich samopoczucie. Czuli się nieźle, ponieważ już przedtem stworzyli Zmechanizowane Odwoły Milicji Obywatelskiej kształcone w obijaniu obywateli pałkami i w zabijaniu, zależnie od potrzeby.

Potem jednak wuj Gierek miał na głowie Komitet Obrony Robotników, prawa człowieka, wolne związki zawodowe i w ogóle same nieprzyjemności, do których — mam nadzieję — troszkę się przyczyniłem. W tym samym czasie, mimo że byłem politycznym wichrzycielem, elementem i chuliganem, zostałem przyjęty do polskiego PEN Clubu, który — w przeciwieństwie do innych związków twórczych — nie lubił rozpieszczać władzy.

W sierpniu 1980 roku robotnikom w różnych miastach Polski, a szczególnie w Gdańsku, znudził się cały ten totalitarny burdel, i okazało się, że kilkanaście milionów ludzi myśli mniej więcej to samo o realnym socjalizmie, komunistach, zjednoczeniu przemysłu patriotycznego „Grunwald”, o Jańcie, towarzyszach radzieckich i paru innych sprawach. Powstała „Solidarność”, a wuja Gierka wymiotło. Nastąpił po nim wuj Kania, który w porównaniu z wszystkimi innymi aparatczykami był pocziwym pyknięciem, i dlatego nie mógł być długo pierwszym sekretarzem wiodącej (do zguby) siły w społeczeństwie czyli partii.

W czasach „Solidarności” bardzo wiele rzeczy w moim kraju się zmieniło. Ludzie dużo czytali, bardzo dużo pisali, zakładali nowe związki, zmieniali stare zarządy różnych organizacji na nowe, wyrzucali ze stanowisk skorumpowanych dyrektorów, wojewodów, a nawet sekretarzy partii w mniejszych miastach.

Nowy zarząd Związku Literatów Polskich był bardzo niegrzeczny czyli godny szacunku, od początku współpracował z „Solidarnością” i przyjął mnie do związku na podstawie uchwały Walnego Zjazdu, mimo że zdążyłem w ostatnich latach wydać dwie książki w podziemnych wydawnictwach oraz założyć nielegalny kwartalnik literacki *Puls*. W ten sposób zostałem konformistycznym posiadaczem wyśmiewanej kiedyś przeze mnie legitymacji, która w tych czasach stawała się powodem do dumy, zanim w najnowszych nie została żółknącym dokumentem historycznym z autografem Jana Józefa Szczepańskiego. Legitymacje nowopowstałego Związku Literatów Jaruzelskich podpisuje dziś kapral podchorąży rezerwy Halina Auderska.

W czasach „Solidarności” reżyser Andrzej Wajda nakręcił film

„Człowiek z żelaza”, który kończył się balladą o Janku Wiśniewskim, zastrzelonym w 1970 roku przez milicję w Gdyni.

Było dla mnie dość oczywiste, że na dłuższą metę niemożliwa jest sytuacja, w której współżyją: totalitarny system i piosenka będąca jego namiętnym oskarżeniem.

Stało się to jeszcze bardziej widoczne po dojściu do wszechwładzy generała Jaruzelskiego i jego ekipy. Na nic się nie przydawały pokojowe wysiłki Wałęsy, Bujaka, Frasyniuka, Kuronia, Michnika i paru milionów innych ekstremistów. Władza nie mogąc zmienić narodu musiała wypowiedzieć mu wojnę.

Wojnę i część okupacji spędziłem w egzotycznych lasach obozu internowanych w Jaworzu oraz na lazurowym wybrzeżu bałtyckim obozu internowanych w Darłównu, gdzie w chwilach wolnych od administracyjnych represji i politycznych szykan grywałem w piłkę nożną i pocieszałem się piosenką „Hej młoty, do roboty...”, której refren brzmi: „A przed nami większe cele, a przed nami nowy świat...”.

Rzeczywiście, po roku znalazłem się w nieporównywalnie większej celi Europy Zachodniej, w Nowym Świecie, gdzie dużo ludzi i organizacji komunistycznych i pacyfistycznych dużo czasu poświęca rozważaniom i działaniom mającym na celu odebranie sobie jak najwięcej wolności. Jeszcze nie wiedzą, jak to zrobić do końca. Ja wiem i jak się zdenerwuję, to im powiem.

Lepiej być czerwonym niż martwym — mówią „zieloni”, co — pomijając wniosek, że „zieloni” łatwo zmieniają kolory — dla mnie nie jest wcale takie oczywiste. Powiedziałbym nawet, że jest wręcz odwrotnie.

W Nowym Świecie spotkałem wielu intelektualistów, którzy nie lubią Stanów Zjednoczonych, prezydenta Reagana, rakiet Pershing i wiedzą dużo lepiej ode mnie, co dzieje się w moim kraju, albo przynajmniej uważają, że w Nikaragui dzieje się dużo gorzej dzięki brzydkim Amerykanom. Nic dziwnego. Są intelektualiści, którzy opanowali trudną sztukę mylenia się przez całe życie, bo mają takie zezowate szczęście, jak Jean-Paul Sartre w chińskim mundurku, albo taką szajbę, na przykład lewicową, jak paru niezłych pisarzy niemieckich, którym wojna w moim kraju замуrowała usta.

Na wojnie polsko-jaruzelskiej kończy się moje poczucie humoru i nóż sam się otwiera w humanistycznej kieszeni. Co sądzę o tych czasach, które trwają do dziś, a także o żołnierzach wolności tej wojny — generale Jaruzelskim, kaprale Rakowskim, plutonowym Urbanie i innych — Czytelnicy i Słuchacze dowiedzą się z moich felietonów na dywersyjnych łamach paryskiej *Kultury*, z moich paszkwili na wrogich falach radia Wolna Europa, z moich książek lansowanych przez CIA, panią Thatcher i Jacques Chiraca oraz z moich wierszy lansowanych przez niemieckich rewanżystów, angielskich kolonialistów, francuskich trockistów, rosyjskich białogwardystów i amerykańskich wyzyskaczy.

Paryż, marzec 1984

Jacek BIEREZIN

Książki

Twórczość Andrzeja Walickiego

Napisana po angielsku książka Andrzeja Walickiego „Philosophy and Romantic Nationalism: the Case of Poland” (Clarendon Press, Oxford 1982) stanowi ważne wydarzenie w polskiej humanistyce: czytelnik zagraniczny, nie znający języka polskiego, zyskał pierwszą tego typu prezentację fundamentalnego okresu naszej kultury, zaś czytelnik bardziej wprowadzony, zainteresowany dziejami polskiego romantyzmu, staje wobec syntetycznego ujęcia owej epoki. Książka jest rezultatem wieloletnich badań naukowca o rozległym dorobku, o uderzającej konsekwencji poszukiwań. Chociaż napisana została z myślą o publiczności obcej i doskonale służyć może jako wprowadzający podręcznik, głębsze znaczenie zyskuje, gdy spojrzymy na nią jako na głos w dyskusji o historii idei w Polsce (i nie tylko), gdy spojrzymy na nią przez pryzmat dotychczasowego dorobku Andrzeja Walickiego. Jego dzieło tworzy bowiem całość zarazem zwartą i dynamiczną, poszukuje odpowiedzi na interesujące autora pytania, ale jednocześnie samo stawia pytania. Autor jest światowym autorytetem w dziedzinie historii rosyjskiej i polskiej myśli XIX wieku. Czy w odniesieniu do obu obszarów stosuje podobną metodę, czy rezultaty są równie efektowne? To brutalne postawienie sprawy: różny jest i sam materiał badań, i ówczesne uwarunkowania, i obecne. Warto się jednak przyjrzeć dokonaniom w obu dziedzinach.

Andrzej Walicki urodził się w roku 1930. Jego studia uniwersyteckie przypadły na okres szczególnie niesprzyjający w Polsce studiom nad myślą rosyjską: tradycyjnym uprzedzeniem wobec tej tematyki towarzyszyły po wojnie oficjalne zakazy i nakazy dodatkowo potęgujące resentymenty. Zakazy — pewne obszary

skazane na milczenie, więc martwe; nakazy — pewne nazwiska (Bieliński, Niekrasow, Czernyszewski, nurt „postępowy”) natrętnie narzucane w oficjalnej wersji, więc martwe podwójnie. Wybór studiów rusycystycznych był w tej sytuacji wyborem śmiałym. Zwłaszcza że Andrzeja Walickiego interesowała historia idei, nie literatura (co byłoby polem łatwiejszym dla kogoś pragnącego zachować umysłową suwerenność).

Wybór tematyki rosyjskiej, trudny w realizacji, był jednak trafny dla intelektualisty, który traktuje humanistykę jako źródło wiedzy zarazem żywej i ważnej. Problem jednostki uwikłanej w historię był w dziejach rosyjskich problemem palącym. „Przekłète pytania”, stawiane tradycji rodzimej i europejskiej przez dziewiętnastowiecznych myślicieli rosyjskich, usiłujących się wybić na duchową niepodległość, rozbrzmiałyby echem przejmującym w wieku dwudziestym, gdyby ktoś zdołał wypowiedzieć je głośno, zrozumiale i prawdziwie. Zwłaszcza gdyby można je wypowiedzieć tam, gdzie duchowa suwerenność jednostki uległa najbardziej metodycznemu ograniczeniu, w krajach kontrolowanych przez ideologię diamentu. Przeszłe poszukiwania, nadzieje, walki, klęski i zwycięstwa byłyby w dusznej teraźniejszości haustem swobodnego powietrza, otwarciem swobodniejszych perspektyw dla przyszłości. Ale systemy totalitarne mają wmontowane mechanizmy ochronne przeciw groźbie wybierania wolności w historii. Przeszłość poddana jest odgórnej kontroli, modelowana zgodnie z dyspozycjami ideologii; podlega dwojakiej neutralizacji: część przeszłości paraliżowana jest milczeniem, inna część — oficjalną interpretacją w języku nowomowy.

Andrzej Walicki w pracy nad rosyjską myślą dziewiętnastowieczną ominął te niebezpieczeństwa, wystrzegł się też pokrewnych: eskapizmu erudycyjnego, kokieteryjnej aluzyjności. Zaczął od wydawania klasyków, takich, którzy mieścili się w ortodoksji, ale pozwalali na zachowanie dystansu (Bieliński, Hercen). Pierwsza książka, zbiór studiów z pogranicza filozofii i literatury, wyznaczała tytułem i treścią zakres oraz rodzaj problematyki: „Osobowość a historia” (Warszawa 1959), czyli stosunek jednostki do zewnętrznych uwarunkowań, ograniczenia zewnętrzne i wewnętrzne postulaty. Jego badania znalazły pełny wyraz w następnym dziele „W kręgu konserwatywnej utopii. Struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa” (Warszawa 1964).

„W kręgu konserwatywnej utopii” to nie tylko analiza teorii słowianofilskich, to właściwie historia rosyjskiej myśli XIX wieku. Walicki znalazł klucz do problemu, pytania, które stanowią o oryginalności i aktualności ówczesnych zmagania ideowych. Na czym polega swoistość rosyjskiej drogi rozwoju społecznego i po-

litycznego? Jaki jest ciężar tradycji, jaki stosunek do Europy, jaki kierunek zmian ustrojowych? Gdyby analizował jedynie rozwój rosyjskiej filozofii w klasycznym rozumieniu tego terminu, przedstawiłby mniej głębokich uczniów Hegla, Schellinga, Feuerbacha. Gdyby interesował się jedynie tematyką polityczną czy ekonomiczną, uzyskalibyśmy zapis dawno przebrzmiałych dysput wokół Saint-Simona, Proudhona, Smitha, Ricarda. Praca Walickiego jest dokonaniem z dziedziny historii idei, interesują go filozoficzne konsekwencje społecznych teorii ujętych w ich historycznym kontekście. Stosuje narzędzia terminologiczne zapożyczone także od zachodnich myślicieli: od Marksa, od Maxa Webera, od Toenniesa, od Mannheima. Pokazuje ich użyteczność do analizy myśli rosyjskiej: pozwalają uwypuklić jej oryginalność w swojakim sensie — jej aspekty dotąd nie dość podkreślane również przez rosyjskich badaczy, a stanowiące o swoistości i aktualności tej myśli.

Nowatorstwo i skuteczność podejścia Walickiego widać może najwyraźniej w rozważaniach o paradoksie Czaadajewa. To punkt centralny książki. Zestawienie Czaadajewa z zachodnimi myślicielami konserwatywnymi okazuje się rewelacyjne. Czaadajew nie daje się zamknąć w tradycyjne schematy: rzuca interesujące światło zarówno na te schematy, jak i na meandry „rosyjskiej drogi ku nowoczesności”. Walicki z precyzją i dystansem naukowca ukazał zasadniczy problemat stojący przed rosyjską myślą, problemat, który w genialnym skrócie (co za mieszanina pamfletu i autoanalizy!) zarysował Dostojewski w „Moim paradoksie”. „W kręgu konserwatywnej utopii” obszerne dzieło erudycyjne, czyta się jak dobrą powieść, jak powieść polityczną o wczorajszej Rosji i dzisiejszej Polsce. Walicki nie ubiera współczesnych konfliktów w historyczne kostiumy, bo wówczas grozi ślepotą i wobec przeszłości, i wobec teraźniejszości. Pyta o *ówczesne* poglądy i teorie, zadaje jednak takie pytania, które dzisiaj wydają się szczególnie znaczące. Ten zabieg nazwałbym autentycznym ożywianiem przeszłości, poszukiwaniem tego, co w przeszłości zacieka, wciąga, niepokoi i fascynuje. Tylko tak ożywiona przeszłość stanowi wyzwalający wymiar współczesnej świadomości.

Można więc powiedzieć, że o sukcesie historyka idei (każdego historyka) decyduje współlistnienie w jego dziele dwóch postaw: musi być dobrym *rzemieślnikiem*, starannie dobierać fakty, oczyszczać je z fałszywych naleciałości, musi je pilnie i zręcznie zestawiać, musi też być twórczym *artystą*, odnaleźć ten syntetyzujący punkt widzenia, który nadaje układanej przez niego mozaice siłę fascynacji — musi odnaleźć „historyczny sex appeal” wydarzeń, ludzi, idei. W ten sposób rozszerza krąg żywej pamięci

społecznej. Zabieg to arcyważny zwłaszcza tam, gdzie przeszłość poddawana jest odgórną kontroli. W Polsce popaździernikowej ta rewindykacja przeszłości dokonywała się w wielu kierunkach, choć zrazu powoli i nieśmiało. W dziedzinie historii idei obowiązywały wyjątkowe tabu, ale i kwestia kontroli była tutaj trudniejsza, wymagała od ideologicznych cenzorów i zapału, i inteligencji — tych w owym okresie zaczynało nie dostawać. Wdzięcznym polem do rozważań nie tylko nad umysłowym klimatem tamtych lat, ale i nad ograniczeniami i możliwościami historyka idei, byłaby konfrontacja dwóch szczególnie udanych prób ożywienia martwej przeszłości intelektualnej: „Konserwatywnej utopii” Andrzeja Walickiego oraz „Świadomości religijnej i więzi kościelnej” Leszka Kołakowskiego. Jakie zastosowano strategie i taktyki — po pierwsze, wobec materiału historycznego, po drugie, wobec współczesnych problemów Polski, po trzecie, wobec duchowej sytuacji autora?

„W kręgu konserwatywnej utopii” to krytyczna analiza idei zawartych w obszernym dorobku rosyjskiej historiozofii i refleksji społecznej XIX wieku. Te teksty, dzisiaj mało znane, bo w Związku Sowieckim często niecenzuralne, zaś na Zachodzie oddzielone od potencjalnych czytelników barierą języka i kultury, zachowują nadal aktualność pod warunkiem dotarcia do ich żywych treści skrytych wśród martwych stronic i nudnych wywodów. Zabieg ożywienia przeszłości powiódł się Andrzejowi Walickiemu w odniesieniu do rosyjskiej myśli podwójnie. Skomentował tę myśl — w „Konserwatywnej utopii”, w napisanej po angielsku książce o narodnikach („The Controversy over Capitalism. Studies in the Social Philosophy of the Russian Populists”, The Clarendon Press, Oxford 1969), w syntetycznej pracy „Rosyjska filozofia i myśl społeczna od oświecenia do marksizmu” (Warszawa 1973). A także ułatwił czytelnikowi polskiemu bezpośredni dostęp do tekstów — szczególnie udanym dokonaniem w tej dziedzinie jest wydana w 1961 roku w Warszawie antologia „Filozofia i myśl społeczna rosyjska 1825-1861”.

Antologia Walickiego jest najlepszą znaną mi prezentacją rosyjskiej myśli tej epoki. Jego prace analityczne wnoszą do światowej rusycystyki nowe spojrzenie; powoli — głównie dzięki przekładom na angielski — zajmują zasłużoną pozycję dzieł klasycznych. Świadczy o tym uznanie znakomitych specjalistów (Isaiah Berlin, Martin Malia, Alain Besançon). Także na polskim gruncie studia Walickiego nad myślą rosyjską zyskały sobie autorytet, choć musiały przełamać zrozumiałą psychologicznie barierę nieufności. Ich recepcja byłaby zjawiskiem ciekawym dla historyka prądów intelektualnych w Polsce lat sześćdziesiątych. Choć w owym okresie panował trwający do dziś i mający wielce po-

zetywne konsekwencje „snobizm intelektualny” (wypadało kupować książki wartościowe, nawet najbardziej hermetyczne, choćby ich się miało nigdy nie przeczytać), „W kręgu konserwatywnej utopii”, dzieło dotyczące tematyki dla nas dosłownie palącej, zmagania się myśli rosyjskiej z europejskim wyzwaniem, z problemem demokracji, postępu, wolności, jednostki i zbiorowości, dzieło wybijające się nie tylko na polskim terenie, wydane w nakładzie tysiąca egzemplarzy — jeszcze w kilka lat później było do dostania w przecenie za pięć czy dziesięć złotych.

Uznanie jednak przyszło. Walicki zajął w światowej ruscystyce ważne miejsce. Specjaliści z tej dziedziny są wszędzie poszukiwani. Mógłby więc autor „W kręgu konserwatywnej utopii” kontynuować piękną naukową karierę poświęcając się dalszym studiom nad myślą rosyjską połowy XIX wieku. Wybrał jednak drogę trudniejszą. Jak wczesny okres swojej twórczości poświęcił ożywczej reinterpretacji rosyjskiej myśli XIX wieku, tak od połowy lat sześćdziesiątych zajmuje się przede wszystkim reinterpretacją polskiej myśli zeszłego stulecia. A nie ulega wątpliwości, że polskie dziedzictwo intelektualne XIX wieku zasługuje na nowe, ożywiające spojrzenie. Zasługuje z kilku względów: po pierwsze, jest to dziedzictwo zadziwiająco bogate, po drugie, jest ono prawie zapomniane, a dostęp do niego sprawia dziś szczególne trudności, po trzecie, obserwujemy obecnie zdumiewające zainteresowanie przeszłością. Punkty pierwszy i trzeci nie potrzebują wyjaśnień: romantyzm ciąży nad polską kulturą z przemożną siłą; podstawowe spory polityczne i społeczne toczą się dzisiaj w historycznych kostiumach, a rewindykacja prawdy historycznej stała się w okresie Solidarności hasłem milionów.

Dlaczego jednak dostęp do polskiej myśli XIX wieku jest tak trudny? Nie tylko i nie przede wszystkim dostęp fizyczny do tekstów; przeniknięcie ich intelektualnej zawartości jest również zadaniem skomplikowanym. Rozszyfrowanie przyczyn „dystansu historycznego” ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia aktualności i oryginalności dziewiętnastowiecznego dziedzictwa. W sytuacji kraju podbitego uległa wyolbrzymieniu fragmentaryczność i spazmatyczność życia duchowego: epoki bez ciągłości, osoby bez tła (bez kontaktu z innymi), książki bez nazwisk, bez prawa pobytu na rodzimej ziemi i w rodzimych umysłach. Nie-normalność sytuacji politycznej powodowała brak współbrzmienia z europejskimi prądami intelektualnymi: ciągłe pokusy partykularyzacji i uniwersalizacji, które utrudniały nawiązywanie porozumienia między pokoleniami, a sprzyjały archaizacji czy też periodyzacji języka — ówczesne utwory wymagają także dla Polaków zabiegów translatorskich. Te utrudnienia powodują, że konieczne jest nowe syntetyzujące spojrzenie, klucz tłumaczący,

systematyzujący i hierarchizujący. Te utrudnienia stanowią zarem o aktualności zeszłowiecznej myśli: jej niewczesny charakter (wybieganie w przeszłość i w przyszłość) stawiał ją w niezwyklej sytuacji i zmuszał do dokonywania niezwyklej wyborów. Polskie „przekłète pytania” pokrewne były rosyjskim, lecz się od nich różniły: jak zachowywać się wobec długotrwałej dominacji przez siłę obcą a przemożną, jakie są granice ugody, jakie źródła duchowego oporu, còż oznacza niepodległość jednostki i zbiorowości?

Szukali odpowiedzi na te pytania poeci i filozofowie, działacze społeczni i naukowcy, księża i rewolucjoniści. Uwikłani byli w wydarzenia epoki i jej konwencje stylistyczne. Budzili namietności i z namietnością byli też odrzucani. Na spojrzenie zarazem spokojne i rozumiejące czasu było mało. Choć i to wątpliwe wyjaśnienie. Także w okresie niepodległości prac z tej dziedziny historii idei powstało mało i miały fragmentaryczny charakter. Po wojnie oficjalna ideologia dodatkowo utrudniała dostęp do przeszłości. Taktyka na różnych etapach bywała różna, sprowadzała się wszakże do prób zawładnięcia pewnymi obszarami, neutralizacji pozostałych. Proporcja jednak ulegała zmianie. W połowie lat sześćdziesiątych tereny „zneutralizowane” zaczęły ulegać rozszerzeniu. Proces nabrał na sile po upadku Gomułki: zaczęły się pojawiać prace analityczne uczciwe i nie dotyczące jedynie problematyki marginalnej.

W tym kontekście należy umieścić twórczość Andrzeja Walickiego na tematy polskiej myśli XIX wieku. Znowu posuwał się dwoma torami: zajmował się pracą edytorską i analityczną. Wydał, poprzedzając wstępami: Karola Libelta „Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej”, Augusta Cieszkowskiego „Prolegomena do historiozofii”, Bronisława Trentowskiego „Chowanie czyli system pedagogiki narodowej”, „Stosunek filozofii do cybernetyki”, „Podstawy filozofii uniwersalnej”. Pierwszą jego książką analizującą polską myśl XIX wieku była „Filozofia a mesjanizm. Studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego” (Warszawa 1970). Jej tematyką jest konfrontacja mesjanizmu Mickiewicza (zwłaszcza wykładów paryskich) z poglądami trzech głównych przedstawicieli „filozofii narodowej”: Cieszkowskiego, Trentowskiego, Libelta. Studia Walickiego imponują erudycją, kierują się ku konkretnym problemom, są jakby przygotowaniem precyzyjnych narzędzi, których znaczenie w pełni widoczne byłoby przy próbie syntezy. „Filozofię a mesjanizm” można uznać w dziedzinie badań nad polską myślą za odpowiednik tego, czym w dorobku Walickiego była „Osobowość a historia” w odniesieniu do tematyki rosyjskiej: rozpoznaniem terenu.

Czy jego „Philosophy and Romantic Nationalism” stanowi odpowiednik „W kręgu konserwatywnej utopii”? Takie było zamierzenie autora *explicitie* wyrażone w przedmowie. Jego angielska książka składa się z czterech części. Dotyczy okresu między powstaniem listopadowym a rokiem 1848. Pierwsza część wszakże wybiega w przeszłość, szkicuje tło problematyki. Jaka była rola demokracji szlacheckiej, jakie przyświecały jej ideały? Czym była niezawisłość narodu szlacheckiego? Jak ten naród był rozumiany? Część druga książki zajmuje się narodzinami „filozofii narodowej” i przedstawia jej cechy szczególne: krytyka „despotyzmu Rozumu” (niekoniernie rozumu jako takiego), różne próby pogodzenia idealizmu z realizmem, filozofia historii skierowana ku przyszłości, poszukiwanie więzi między filozofią a religią. Walicki przedstawia sylwetki pięciu najwybitniejszych przedstawicieli filozoficznego fermentu w tym okresie: Cieszkowskiego, Trentowskiego, Libelta, Kamińskiego i Dembowskiego. Pokrewną im tematykę podejmował wcześniej Hoene-Wroński, lecz jego dzieła pozostawały nieznane. Polska filozofia narodowa rozwijała się pod wyraźnym wpływem myśli niemieckiej, znamionowały ją wszakże cechy swoiste: na polskim terenie obserwować można próby realizacji wielokrotnie wówczas powracającego marzenia o francusko-niemieckim aliansie intelektualnym, o stworzeniu syntezy niemieckiej filozofii z francuską myślą społeczną.

Dwie pierwsze części „Philosophy and Romantic Nationalism” stanowią jakby przygotowanie trzeciej, moim zdaniem najciekawszej. Dotyczy ona związków między mesjanizmem narodowym i religijnym. Walicki widzi w mesjanizmie Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego ważny etap duchowych fermentów Europy. Karl Mannheim powiedział, że Niemcy uczyniły z ideologią romantycznego konserwatyzmu to, co Francja uczyniła z ideami oświecenia — rozwinęła ich najdalsze logiczne konsekwencje. Można sparafrazować te słowa — podsumowuje swoje badania Walicki — i powiedzieć, że polski mesjanizm stanowił rozwinięcie najdalszych logicznych konsekwencji mesjanistyczno-milenarystycznych prądów w europejskiej myśli romantycznej. W tym kontekście wyjątkowo interesujące miejsce przypada Cyprianowi Norwidowi: był krytyczny i wobec uwielbienia zasady narodowej, i wobec mesjanistycznych uniesień. Jego dzieło stanowi obronę myśli swobodnej i obronę tradycji. Ostrzegał przed niebezpieczeństwem pokus milenarystycznych. Twórczość Norwida pozwala lepiej zrozumieć polskie „przekłète pytania”. W świetle ukazanych przez niego dylematów polska myśl XIX wieku staje się nam bliższa, bardziej czytelna. W tym sensie (przy wszelkich różnicach) można jego miejsce porównać do miejsca Czaadajewa w myśli rosyjskiej. Powtarzam: pamiętając o wielu różnicach.

Interesująco rozwija Walicki swoją interpretację Norwida w rozprawie „Cyprian Norwid: trzy wątki myśli” zamieszczonej w jego książce „Między filozofią, religią i polityką” (Warszawa 1983). W tej samej książce zasługuje na uwagę rozdział o Adamie Gurowskim: ta postać wyznacza linię graniczną polskiej myśli politycznej, każe się zastanowić nad jej specyfiką. Zawarty tamże szkic o „Stanisławie Brzozowskim i filozofii polskiego romantyzmu” również podejmuje problem dzisiejszego znaczenia romantycznego dziedzictwa. Postawa Brzozowskiego wobec historii idei fascynuje Walickiego: autor „Legendy Młodej Polski” pozwalał sobie na swobodne paralele, trudno mieszczące się w kanonach metodologicznej poprawności, ale często rzucające nowe światło na przeszłość. Brzozowskiemu poświęcił Walicki osobną monografię „Stanisław Brzozowski — dzieje myśli” (Warszawa 1977) a także znaczną część tomu „Polska, Rosja, marksizm. Studia z dziejów marksizmu i jego recepcji” (Warszawa 1983). Brzozowski pojawia się również w ostatniej, czwartej części „Philosophy and Romantic Nationalism”, bardziej jednak jako przedmiot badań niż jako wzór postawy wobec przeszłości.

Prace Walickiego poświęcone polskiej myśli uderzają precyzją erudycji. Z większym zainteresowaniem jednak czytałem jego studia na tematy rosyjskie. Gdzie leży przyczyna? W czytającym (czyli we mnie)? Nie można tego wykluczyć. Wiele książek na temat polskiej myśli XIX wieku potrafiło ten temat obrzydzić, tym bardziej jednak byłbym spragniony nowego ujęcia, a sama dziedzina wydaje mi się fundamentalna. A może przedmiot badań jest mniej interesujący? Może polska myśl bardziej się zestarzała, czy też nigdy nie osiągnęła tej szerokości spojrzenia co myśl rosyjska? Nie ulega wątpliwości, że lektura „Chowanny” czy „Samowładztwa rozumu”, czy „Filozofii ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa” nie jest zajęciem pasjonującym. Ale teksty Kirejewskiego, Bielińskiego, Czernyszewskiego też nie odbierają snu. A nawet Hercen, jedno z najznakomitszych piór nie tylko w Rosji i nie tylko w XIX wieku, jako autor „Dyletantyzmu w nauce” czy „Listów o badaniu przyrody” jest trudno strawnym. Może więc dystans historyczny i polityczny jest w przypadku polskiej tradycji XIX wieku większy, może czytelność przesłania dodatkowo zamazana przez utrudnienia cenzury? Nie bardziej chyba niż w odniesieniu do tematyki rosyjskiej. Pamiętam też o szkicach Pawła Hertza zebranych w tomach „Ład i nieład” oraz „Domena polska”: pozornie mało interesujący polscy pisarze XIX wieku ukazani zostali w ożywym świetle, mówią do mnie o problemach mi bliskich. Andrzej Walicki w pracach na temat polskiej myśli XIX wieku przypomniał wiele jej wątków. Potrafił wyjść poza tradycyjne podziały dyscypli-

narne. Jako autor „W kręgu konserwatywnej utopii” udowodnił, że można połączyć precyzję i intuicję, zalety rzemieślnika i artysty. Chciałbym, aby jego przyszłe dzieło poświęcone polskiej myśli XIX wieku było właśnie taką śmiałą syntezą dotychczasowych badań, rzucającą na przeszłość odkrywczе światło.

Wojciech KARPINSKI

Pierwsza historia "Solidarności"

Książka Jerzego Holzera jest pracą ważną i obiektywną, jedną z pierwszych prób uogólnienia doświadczenia Solidarności a jego społecznym i duchowym wymiarze. Analizę działań Solidarności poprzedza rozdział dotyczący polityki ZSSR wobec krajów satelickich. Zdaniem Holzera jedną z metod tej polityki jest odgórnie manipulowana liberalizacja — przykładem jej mają być Węgry Kádara. Sądzę, że ustawiczne przeplatanie się okresów sterowanej liberalizacji z interwencjami wojskowymi dowodzi, że są to dwa elementy tej samej metody kontroli nad państwami wasalnymi. Autor twierdzi także, że kierownictwo sowieckie musi, jeśli chce zachować swój potencjał gospodarczo-wojskowy, wybierać między odprężeniem, umożliwiającym zakup zachodniej technologii, a liberalizacją polityczną wewnątrz swych granic, umożliwiającą rozwój własnej innowacyjności. Sądzę, że takie przedstawienie sytuacji nie oddaje jej wiernie. Można by zeń bowiem wysnuć wniosek, że odprężenie umożliwia ZSSR współpracę z Zachodem i pozwala mu utrzymać wewnątrz niewolnicze stosunki społeczne, gdy tymczasem praktyka pokazuje, że współpraca gospodarcza Wschód-Zachód i bez odprężenia toczy się całkiem dobrze. Założenie, że ZSSR mógłby zliberalizować swój system jest o tyle ryzykowne, iż nie byłoby to już wówczas ZSSR, ale kraj o innym, nie totalitarnym systemie. Nie oczekujmy więc, że jakkolwiek władca na Kremlu zainicjuje zmiany, które zlikwidowałyby system, na którym opiera się jego władza. To mogą uczynić tylko ofiary tego systemu albo interwencja z zewnątrz.

Książka Holzera jest bardziej kroniką aniżeli monografią Solidarności. Jak podkreśla autor, trudno jest pisać o czasach jeszcze gorących. Niedostępne są liczne źródła, które pozwoliłyby na głębszą analizę. Autor skupia się więc na przebiegu zdarzeń i analizie doraźnej taktyki stron. Brak koncepcji, wyjaśniającej szesnaście słynnych miesięcy jest zrozumiałe, ale kronikarski zapis faktów bez selekcji wskazującej, które z nich były istotne i zaważyły na przebiegu zdarzeń powoduje, że czytelnik nie do-

wiaduje się, dlaczego wydarzenia przebiegały właśnie tak a nie inaczej. Dowie się za to wiele o tym, co i jak było. Dla licznych czytelników, zwłaszcza emigrantów, ta wyczerpująca informacja o losach Solidarności jest niezbędna.

Autor trafnie wskazuje na pewne mechanizmy ponadindywidualne, wpływające na politykę Solidarności. Uważanie radykalizmu za miarę niezależności i patriotyzmu prowadziło często do licytacji żądań wobec władz. Z kolei hasło walki z kryzysem radykalizm hamowało. Presja na manifestowanie odwagi osłabiała ostrożność. Przypisanie kierownictwu Solidarności dylematu między samoograniczeniem rewolucji a walką nie wydaje mi się trafne. Zwolennicy obu tych tendencji różnili się, moim zdaniem, proponowanymi metodami, a nie celami walki.

Strona rządowa nie jest w książce obszernie przedstawiona, widać jednak, że z punktu widzenia własnych interesów działała ona racjonalnie: rząd cofał się, gdy nie mógł się dalej przeciwstawiać społeczeństwu, liczył się z jego naporem i brał pod uwagę jego jednolitość. Tak np. jednoznaczne i powszechne potępienie prowokacji bydgoskiej powstrzymało konfrontacyjne zapędy władz i plany zmian personalnych w aparacie. Tej jednolitości zabrakło społeczeństwu w listopadzie 1981: cytowane przez Holzera badania socjologiczne ośrodka badawczego regionu Mazowsze ujawniły wówczas, że społeczeństwo nie jest w swej postawie przeciw władzy jednolite. Ważną rolę w dezorientowaniu społeczeństwa i sianiu nieufności do Solidarności odegrała propaganda rządowa. Tylekroć ośmieszana i lekceważona, propaganda ta nie jest jak widać bezskuteczna. Jedność społeczeństwa została rozbita przed 13 grudnia 1981. Przyczyniło się do tego zmęczenie strajkami, trudności w zaopatrzeniu, selektywne represje i ataki propagandowe na związek. Polski przykład potwierdza znaną tezę socjologów zachodnich, że wpływ związków zawodowych na społeczeństwo słabnie w miarę postępującego kryzysu ekonomicznego.

Książka Holzera pokazuje, jak narastał radykalizm obu stron: władze czuły się bez przerwy zagrożone i zbierały siły do uderzenia, a społeczeństwo domagało się — w miarę jak realizacja drobnych postulatów była blokowana przez władze — zmian coraz radykalniejszych. Jesienią 1981 nastroje pewnej części społeczeństwa zdają się wymykać spod wpływu nie tylko władz, ale także kierownictwa Solidarności. Myślę, że władza moment ten zauważyła i uznała za szczególnie groźny. Pragmatyzm jej skończył się, gdy poczuła się zagrożona przez niezadowolone społeczne o nieznanym natężeniu i nie dające sobą sterować przez żadną ze stron.

U podstaw ogłoszonego na zjeździe w Gdańsku programu (i działania) Solidarności legło przekonanie, że pętla zadłużenia i kryzys ekonomiczny zmuszają społeczeństwo do wyrzeczeń, które władza musi zrekompensować ustępstwami politycznymi. Temu optymistycznemu przekonaniu hołdowało m.in. środowisko

DiP-u. Rozwój wydarzeń pokazał, że w socjalizmie możliwa jest tylko jedna droga: wyrzeczenia przy zwiększonym terrorze.

Z socjotechnicznego punktu widzenia ruchy reformatorskie w Polsce mogą mieć dwa atuty: poparcie społeczne i kompetentne oraz konkretne koncepcje zmian. Atutem pierwszym Solidarność dysponowała przez cały czas, chociaż go przeceniła jesienią 1981. Znaczenia drugiego czynnika natomiast właściwie nie doceniała. Projekty Solidarności były często zbiorami haseł lub czystą krytyką programów rządowych. Jest przykre ale prawdziwe, że np. żadna z trzech przedstawionych na zjeździe w Gdańsku wersji reform ekonomicznych nie miała charakteru szczegółowego. Żadna nie była planem operacyjnym dającym się przełożyć na język działań. Jest to tym bardziej zdumiewające, że Solidarność miała swych członków we wszystkich uczelniach ekonomicznych Polski i dysponowała wykwalifikowanymi kadrami liczniejszymi niż rząd. W 16-miesięcznej grze politycznej nie doceniono roli prawdy jako środka nacisku na władzę. Ogłaszanie alternatywnych do rządowych propozycji, to metoda walki politycznej dobra i skuteczna; nie była jednak i po dziś dzień nie jest dostatecznie szeroko stosowana. Metoda ta wymaga doradców wyspecjalizowanych w wielu dziedzinach ale pozbawionych ambicji politycznych.

Atutami rządu były oprócz ZSSR, LWP, UB także aparat administracji i propagandy. Przez całe szesnaście miesięcy ewolucji społeczeństwa i państwa ofensywa Solidarności nie tknęła tych filarów komunistycznego panowania. Skutki tego zaniedbania poznaliśmy 13 grudnia 1981. Przyszłe ruchy społeczne powinny wyciągnąć z tego wnioski.

Kończąc te rozważania na marginesie książki Holzera chcę polecić dwie inne pozycje o tych samych trudnych i bliskich nam czasach, pracę Bohdana Cywińskiego „Doświadczenie polskie” oraz książkę Dariusza Fikusa „Foksal 81”. Obie te prace uzupełniają i wzbogacają wiedzę o Solidarności, którą obdarował nas Jerzy Holzer.

(Nazwisko znane Redakcji)

Specyfika katolicyzmu Europy środkowo-wschodniej

Niedawno powstały Papieski Instytut Studiów Kościelnych w Rzymie wydał ciekawy pierwszy tom szerzej zakrojonej pracy Bohdana Cywińskiego „Ogniem próbowane; z dziejów najnow-

szych Kościoła katolickiego w Europie środkowo-wschodniej”. Ten wstępny tom, będący wnikliwą analizą historyczną, ukazał się w 1982 roku pod precyzyjnym tytułem „Korzenie tożsamości”*. Oryginalna praca autora „Rodowodów niepokornych” wykazuje doskonałą znajomość skomplikowanej — bo ogromnie zróżnicowanej — historii narodów, żyjących z górą tysiąc lat pomiędzy Niemcami i Rosją. W szczególności interesuje go problem stosunków w trójkącie: Kościół, władza i społeczeństwo.

W przydługim i nieco pretensjonalnym wstępie podkreśla autor, iż książka jego jest raczej „esejem historyka-publicysty, zarysem problematyki, szkicem, który późniejsze, lepiej udokumentowane i głębiej sięgające prace specjalistów będą kiedyś musiały zastąpić”. Oto przykład ciężkiego, bo upstrzonego obcym słownictwem stylu:

Funkeje socjotwórcze i kulturotwórcze religii, które przywykliśmy zauważać w odniesieniu do konkretnych systemów religijnych, czy do poszczególnych epok w dziejach Kościoła, jawią się w tej perspektywie jako konieczna konsekwencja samej natury ludzkiego przeżycia Sacrum (str. 22).

Cywiński skromnie ocenia wartość swej pionierskiej pracy jako „wizji prowizorycznej i niepełnej”, będącej jedynie „koniecznym etapem refleksji” i to noszącej „znamiona specyficznej polskiej perspektywy”.

Praca Bohdana Cywińskiego zajmuje się głównie dziejami i rolą Kościoła katolickiego w tym skomplikowanym etnicznie regionie. Jako taka mogłaby w dobrym angielskim tłumaczeniu spełnić *mutatis mutandis* analogiczną rolę do wydanej ostatnio ważnej książki żydowskiego historyka Ezry Mendelsohna pt. *The Jews of East Central Europe: Between the World Wars*. Wzorem zaś badawczej sumienności służyć może w podobnym podejściu regionalnym solidna monografia lwowskiego historyka Ludwika Hassa pt. „Wolnomularstwo w Europie środkowo-wschodniej w XVIII i XIX wieku”, wydana w 1982 roku przez Ossolineum.

Wstępny tom Bohdana Cywińskiego składa się z dziesięciu dobrze przetrawionych rozdziałów oraz interesującej, choć, jak sam to przyznaje, niekompletnej bibliografii przedmiotu. Brak w niej np. nie tylko najważniejszych prac Oskara Haleckiego (w szczególności doskonałej historii prób unijnych pt. *From Florence to Brest*), ale i czołowego czeskiego bizantologa księdza Franciszka Dvornika oraz słowackiego jezuitę Ojca Lacko, specjalisty od misji świętych Cyryla i Metodego. Mimo to poszczególne rozdziały poświęcone dziejom Kościoła na różnych ziemiach odznaczają się dużą erudycją i treściową przejrzystością. Dotyczy to nie tylko historii związanej z dolą i niedolą Polaków

* Bohdan Cywiński, *Ogniem próbowane; z dziejów najnowszych Kościoła katolickiego w Europie środkowo-wschodniej*. Tom I: *Korzenie tożsamości*. Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym 1982, str. 335.

Kościół, lecz także odmiennej sytuacji katolicyzmu np. w krajach koronnych świętego Stefana. Książka ta mogłaby stać się swego rodzaju podręcznikiem dla seminariów duchownych i to nie tylko w Polsce lub w Rzymie.

Autor słusznie podkreśla, że z wyjątkiem silnie zurbanizowanych Czech właściwych struktura gospodarcza krajów naszego rejonu odznaczała się do niedawna zdecydowaną przewagą rolnictwa, co z kolei uwarunkowało chłopski w charakterze etos religijnej świadomości. Było to szczególnie prawdziwe w przypadku kościołów na Litwie, Słowacji no i Cerkwi grecko-katolickiej w Małopolsce Wschodniej. W przypadku Węgier natomiast Kościół stał się dzięki wielkim zapisom ziemskim uprzywilejowaną, konserwatywną potęgą, aż po antyfaszystowski Prymat zapoznanego Kardynała Serediego, poprzednika głośnego Kardynała Mindszenty'ego. Pozbawiony irytującego naszych pobratymców polskiego kompleksu wyższości, Cywiński z dużym obiektywizmem przedstawia trudne dzieje mniejszych grup narodowych w całym rejonie, idąc m.in. po linii wytycznych Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (PPN), które wskazywało, że bezpośrednimi sąsiadami Polaków nie są przecież Rosjanie lecz Litwini, Białorusini i Ukraińcy. Inne natomiast grupy etniczne, żyjące przez paręset lat w obrębie imperium katolickiej dynastii Habsburgów, bywały nieraz przedmiotem ucisku narodowego nie tylko ze strony niemieckiej biurokracji, ale i sprzymierzonej z monarchią hierarchii kościelnej. Z drugiej strony dzięki „potędze wiejskich ambon” Kościół walnie się przyczynił do uratowania rodzimego języka i rozwoju poczucia narodowego Litwinów, Ukraińców, Słowaków oraz Słoweńców, podczas gdy rodzima arystokracja wynarodowiała się często na rzecz sprawującej władzę państwowej centrali.

Uwypuklając odrębności w rozwoju dziejowym poszczególnych grup i rejonów (np. w przypadku Siedmiogrodu, Małopolski Wschodniej, Rusi Podkarpackiej czy Słowenii), autor poszukuje wspólnego mianownika dla dziejów kościelnych całej wschodnio-środkowej Europy. Znajduje go przede wszystkim w przesładowaniach instytucji religijnych przez różnych okupantów. Spójnią najważniejszą jest oczywiście lojalność wszystkich katolików wobec rzymskiego papieństwa. Stąd też narodowy przegląd dziejów Kościoła w naszym rejonie zamyka autor próbą syntetycznego ujęcia zmiennej polityki Watykanu w przeciągu ostatnich stu lat. Analizuje więc z aprobatą posunięcia dobre w tej części Europy zorientowanego papieża Rattiego (Piusa XI), który próbował przeciwstawić się energicznie zarówno zachodniemu faszyzmowi jak i wschodniemu komunizmowi. Omawia więc Cywiński obie encykliki, „*Mit brennender Sorge*” i „*Divini Redemptoris*”, potępiające totalitarne systemy Hitlera i Stalina. Oto prorocza przestroga Piusa XI z 1937 roku:

Komunizm jest zły w samej istocie swojej i w żadnej dziedzinie nie może z nim współpracować ten, kto pragnie chrześcijańską ocalić

cywilizację. Ci zaś, którzy, przez komunizm oszukani, przyczynią się do jego zwycięstwa w swojej ojczyźnie, staną się pierwszymi ofiarami swego błędu.

Krytyczniej ocenia Cywiński kompromisową politykę następnego papieża Piusa XII w stosunku do zbrodni niemieckich w Polsce i Słowenii. Uporczywe milczenie Watykanu, tłumaczone troską o los katolików niemieckich, wywołało przecież — jak pisze Cywiński — „niewypowiedzianą gorycz w społeczeństwie i Kościele polskim i zgorzniecie w opinii światowej”. Z drugiej jednak strony tenże sam papież Pacelli (a zwłaszcza jego podsekretarz Stanu Monsignor Tardini) zajmował negatywne stanowisko wobec teherańskich ustaleń trzech wielkich mocarstw z końca 1943 roku, podkreślając, że — „Prawdziwy pokój nie jest rezultatem (...) obliczenia proporcji sił, ale w swym ostatecznym i najgłębszym znaczeniu jest działaniem moralnym i prawnym. (...)”

W orędziu wigilijnym z 1943 roku Pius XII apelował: „Nie chcecie zmuszać żadnego członka rodziny narodów, małego nawet i słabego, do wyrzekania się podstawowych praw i potrzeb życiowych, których utratę sami uznalibyście za niemożliwą, gdyby spotkać miała wasz naród”. Słusznie więc konkluduje Cywiński, że Stolica Apostolska „okazała się jedynym autorytetem międzynarodowym, który do końca nie pogodził się z teherańsko-jałtańskim rozwiązaniem sprawy Europy środkowo-wschodniej i który — poczynawszy od 1941 roku — samotnie bronił sprawy narodów i Kościołów tego regionu przed nadchodzącym niebezpieczeństwem komunizmu”.

Konfrontacja sowieckiego komunizmu z Kościołem uniwersalnym po drugiej wojnie światowej stała się istotnie „zderzeniem totalnym”. Jak we wszystkich historycznych precedensach, spójnią łączącą wszystkie chrześcijańskie narody naszego rejonu jest słabo jak dotąd przez autora rozpoznany wspólny wróg. Skoro dotychczasowym źródłem słabości było — jak trafnie twierdzi Cywiński — „nagromadzenie wzajemnie wrogich (...) emocji nacjonalistycznych” przez skażenie patriotyzmów — „czynnik egocentryzmu i egoizmu narodowego”, uniemożliwiający „rzeczywiste otwarcie się ku sąsiadom”, to czas chyba najwyższy podjąć w obliczu śmiertelnego zagrożenia logiczną inicjatywę „ideowej integracji” całego regionu — najlepiej w federacyjnych ramach — zwłaszcza, że głową Kościoła powszechnego stał się z wyroku Opatrzności „słowiański papież”. Jego obie wizyty w rodzinnym Kraju odbiły się głębokim echem w ościennych krajach aż po Estonię i Jugosławię.

Od autora „Korzeni tożsamości” oczekiwać będziemy, że zapowiedziane dwa następne tomy cyklu staną się konstruktywną koncepcją zwycięskiej misji integracyjnej Kościoła dla całego zniewolonego obszaru środkowo-wschodniej Europy. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby analogiczne plany rodziły się nie tylko w polskim środowisku intelektualnym.

Jerzy J. LERSKI

Nowe książki

Adam Ulam, profesor uniwersytetu w Harvardzie, wydał w 1973 roku historię sowieckiej polityki zagranicznej od 1917 roku, zatytułowaną „Ekspansja i współistnienie”. Dziesięć lat później napisał dalszy ciąg: „Niebezpieczne związki. Związek Sowiecki w polityce światowej 1970-1982”¹. Analizując dziesięciolecie naznaczone znacznymi sukcesami ekspansji sowieckiej, prof. Ulam stawia podstawowe pytanie: na czym polega istota sowieckiej polityki? dlaczego kieruje nią żądza niepowstrzymanej ekspansji? I na nie odpowiada: imperatywy polityki wewnętrznej nakazują Kremlowi rozszerzanie sowieckiej strefy na cały świat.

Edward Luttwak, były doradca amerykańskiego ministerstwa obrony w swej pracy „Wielka strategia Związku Sowieckiego”² stara się znaleźć odpowiedź na podobne jak prof. Ulam pytanie, dotyczące sowieckiej polityki zagranicznej. Formułuje je tak: dlaczego Związek Sowiecki skoncentrował swoją gospodarkę wyłącznie na budowie gigantycznej maszyny wojennej, choć jest już największą potęgą wojskową na świecie? E. Luttwak znajduje na to dwie odpowiedzi: po pierwsze sowieckie kierownictwo nie widzi wyjścia z gospodarczego ślepego zaułka i pesymistycznie patrzy na szanse rozwiązania tego problemu także w przyszłości, po drugie zaś optymistycznie patrzy na możliwości swoich sił zbrojnych. Zespolenie pesymizmu gospodarczego z optymizmem wojskowym decyduje — zdaniem amerykańskiego uczonego — o „generalnej strategii Związku Sowieckiego”. E. Luttwak rozpatruje scenariusz niezbędnych — jego zdaniem nieuchronnych — akcji wojsk sowieckich w nadchodzącym dziesięcioleciu. Najbardziej prawdopodobna (i z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych najkorzystniejsza) wydaje mu się wojna sowiecko-chińska.

Zupełnie inne — moim zdaniem płodniejsze — jest podejście do sowieckiej polityki zagranicznej francuskiego historyka, prof. Annie Kriegel. Analizuje ona system sowiecki jako zjawisko jedyne w swoim rodzaju wychodząc z trzech przesłanek: 1) istnieje

1. Adam B. Ulam, *Dangerous Relations. The Soviet Union in World Politics, 1970-1983*. New York - Oxford 1983.

2. Edward N. Luttwak, *The Grand Strategy of the Soviet Union*. New York 1983.

je światowy system komunistyczny, 2) partia komunistyczna stanowi jądro tego systemu i 3) ekspansjonizm jest celem tego systemu. Prof. Kriegel stwierdza: system jest jeszcze młody, jego mechanizmy są jeszcze nie dotarte, targają nim ciągle kryzysy wewnętrzne. Ale system już działa: „Nie dostrzegać go znaczy skazać się na klęskę”.

A. K.

Nadesłane nowości wydawnicze

KORBOŃSKI (Stefan). *Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945*. Str. 277 i 5 nlb. (Wyd. „Promyk”, Philadelphia Pa., USA, 1984).

Ani Autor ani wydawca nie uważali za stosowne zaznaczyć, że pierwsze wydanie tej książki ukazało się w Bibliotece „Kultury” w roku 1975. Jest to tym zabawniejsze, że chcąc zaoszczędzić sobie pracy, no i błędów drukarskich, zastosowali po prostu foto-offset z naszego wydania (Red.).

SOKOŁOW (Sasza). *Szkola dla głupków*. Przeł. z rosyjskiego A. Bogusławski. Str. 197 i 11 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1984).

MICHAŁOWSKI (Witold Stanisław). *Tajemnica Ossendowskiego*. Str. 136 i 16 nlb. (Montreal-Toronto 1983).

Pielgrzym pokoju i nadziei. Numer specjalny *Naszej rodziny*, poświęcony Janowi Pawłowi II. Str. 269 i 3 nlb. (Wyd. Nasza rodzina, Paryż 1984).

ŚW. TOMASZ Z AKWINU. *Suma teologiczna* tom 33. *Zmartwychwstanie ciał* (Suppl. 69-86). Przeł. i komentarzami opatrzył o. Pius BEŁCH O.P. Str. 325 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1983, cena £ 6.90).

PLATER-ZYBERK (Kazimierz). *W obronie Polaków w ZSRR*. Str. 20. (Wyd. SPK, Toronto-Londyn 1983).

PLATER-ZYBERK (Kazimierz). *Wyjtki z pamiętnika ks. W. Bukowińskiego „Wspomnienia z Kachstanu”*. Str. 9 i 1 nlb. (Wyd. SPK, Toronto-Londyn 1983).

BARAŃSKI (Jan). *Lata młodości i walki*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn, cena £ 3.45).

KEMPFI (Andrzej). *Berlińskie tropy*. Str. 13. (Wielka Brytania, 1984).

CHCIUK (Andrzej). *Trzysta miesięcy (dalszy ciąg „Emigranckiej opowieści”)*. Str. 320. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1983).

MACKIEWICZ (Józef), TOPORSKA (Barbara). *Droga Pani...* Wybór artykułów i esejów. Str. 394 i 6 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1984).

NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Na skrzydłach nadziei*. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1984).

JASTRUN (Tomasz). *Zapiski z błędnego koła*. Str. 74 i 2 nlb. (Wyd. Pogląd, wydawnictwo Towarzystwa „Solidarność”, Berlin Zachodni 1984).

ŁUKASZEWICZ-PREIHS (Katarzyna). *Spotkanie z czasem*. Wiersze. Str. 68 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).

PYTASZOWIE (Ewa i Marek). *Oficyna Poetów 26-57. Bibliografia zawartości*. Str. 106 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).

- PRZYGODA (Zdzisław). *W służbie Polonii kanadyjskiej (1969-1983)*. Str. 165 i 3 nlb. (Wyd. Century Publishing Co., Toronto 1983).
- ŁASZEWSKI (Bolesław T.). *Z wojennych szeregów do życia cywilnego. Historia powstania i pierwszych pięciu lat działalności Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, 1945-1950*. Str. 85 i 3 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, placówka 21-201, Bicentennial Publ. Co., Nowy Jork 1984, cena \$ 3,50).
- KIERKLO (Mieczysław). *Rymowane ścieżki. Wybór wierszy. Poezja — satyra — fraszki*. Str. 188. (Wyd. nakładem Autora, Newington Ct., USA, 1983)
- Słownik teologii biblijnej*. Dzieło zbiorowe, red. nac. Xavier Leon-Dufour. Tłum. i oprac. bp Kazimierz Romaniuk. Str. 1168. (Wyd. Pallotinum, Poznań - Warszawa 1982, cena zł 900).
- Kodeks prawa kanonicznego*. Str. 697 i 5 nlb. (Wyd. Pallotinum, 1984).
- ŁAPPLE (Alfred). *Od Księgi Rodzaju do Ewangelii. Wprowadzenie do lektury Pisma Świętego*. Przeł. J. Zychowicz. Str. 486 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 280).
- KRÓL (Marcin). *Ład utajony*. Str. 169 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 120).
- SKOCZYŃSKI (Jan). *Pesymizm filozoficzny Mariana Zdziechowskiego*. Str. 113 i 3 nlb. (Wyd. PAN, oddział w Krakowie, Komisja Nauk Filozoficznych, 1983, cena zł 90).
- Almanach Polonii 1984*. Str. 376 i 24. (Wyd. Interpress, Warszawa 1984).
- PAWLUCZUK (Andrzej W.). *Rozbiory. Eseje o literaturze*. Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1983, cena zł 300).
- BĄCZKOWSKI (Włodzimierz). *Prometeizm na tle epoki. Wybrane fragmenty z historii ruchu (Nadbitka z rocznika Niepodległość, tom XVII, 1984, str. 27)*.
- Hors censure: quatorze poètes polonais*. W: *Alidades, revue semestrielle pour la poésie et la littérature internationales*, nr 3, Paryż. Str. 21-52. Wybór, opracowanie i przekład Lucienne REY.
- GOMBROWICZ (Rita). *Gombrowicz en Argentine 1939-1963*. Str. 295 i 9 nlb. Liczne fotografie. (Wyd. Denoël, Paryż 1984).
- MAREK (Edmond). *Jean Sobieski, roi de Pologne et libérateur de Vienne*. Str. 36. (Wyd. Université de Lille, Lille 1983).
- European Liberty. Four Essays on the Occasion of the 25th Anniversary of the Erasmus Prize Foundation*. Raymond Aron, Isaiah Berlin, Leszek Kolakowski, Marguerite Yourcenar by Pierre Manent, Roger Hausheer, Wojciech Karpiński, Walter Kaiser. Str. 138 i 6 nlb. (Wyd. Martinus Nijhoff Publ., Haga-Boston-Lancaster 1983).
- ASH (Timothy Garton). *The Polish Revolution. Solidarity 1980-1982*. Str. 386 i 2 nlb. (Wyd. Jonathan Cape, Londyn 1983).
- MACE (James E.). *Communism and the Dilemmas of National Liberation. National Communism in Soviet Ukraine 1918-1933*. Str. 334 i 6 nlb. (Wyd. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge Mass., USA, 1983, cena \$ 21,50).
- KAPLAN (Karel). *Political Persecution in Czechoslovakia 1948-1972*. Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. INDEX, Kolonia 1983, w cyklu Research Project „Crises in Soviet-Type Systems”, studium nr 3).
- MIŁOSZ (Czesław). *The Separate Notebooks*. Przeł. R. Hass i R. Pinsky przy współpracy Autora i R. Gorczyńskiej. Str. 212 i 2 nlb. (Wyd. Ecco Press Ltd., Nowy Jork 1984).
- DAVIES (Norman). *White Eagle, Red Star. The Polish-Soviet War 1919-1920*. Przedmowa A. J. P. Taylor. Str. 308 i 8 nlb. (Wyd. Orbis Books, Londyn 1983, cena £ 6.00).

- REAGAN (Ronald), KIRKPATRICK (Jean J.) BRZEZIŃSKI (Zbigniew), KAMPELMAN (Max M.), KOCH (Edward I.), KEAN (Thomas H.), KARPOWICZ (Tymoteusz) i in. *A Tribute to Lech Walesa*. Wypowiedzi z okazji przyznania L. Wałęsie nagrody Nobla. Str. 24. (Wyd. Ethnic and Public Policy Center, Waszyngton, grudzień 1983).
- Poland under Martial Law. A Report on Human Rights by the Polish Helsinki Watch Committee*. Str. 325 i 7 nlb. (Wyd. U.S. Helsinki Watch Committee, 1983).
- STEFANOWSKI (Roman, opr.). *Poland under Martial Law. A Selection of Documents December 1981 - December 1982*. Str. 317 i 1 nlb. (Wyd. Radio Free Europe - Radio Liberty, Monachium 1984).
- PODGÓRECKI (Adam). *The Confessions of Si Tien*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).
- DUSHNYCK (Walter). *50 Years Ago: The Famine Holocaust in Ukraine. Terror and Human Misery as Instruments of Soviet Russian Imperialism*. Str. 56. (Wyd. World Congress of Free Ukrainians, Nowy Jork - Toronto 1983, cena \$ 2).
- KENNEDY GRIMSTED (Patricia). *What Is and What Was the Lithuanian Metrica? The Contents, History, and Organization of the Chancery Archives of the Grand Duchy of Lithuania*. (Nadbitka z *Harvard Ukrainian Studies*, vol. VI, nr 3, wrzesień 1982, Cambridge, USA, str. 269-338).
- PADOCH (Jarosław). *The Indestructible Society. On the 110th Anniversary of the Shevchenko Scientific Society*. Str. 24. (Wyd. w Nowym Jorku, 1983).
- Die Menschen- und Bürgerrechte in der Volksrepublik Polen während des Kriegszustandes (13. Dezember 1981 - 31. Dezember 1982)*. Przedmowa L. Kołakowskiego. Str. 200 i 10 nlb. (Wyd. Hilfskomitee Solidarność, Moguncja RFN, 1984).
- TAKAYUKI (Ito). *Nomenklatura in Polen. Die Kontroverse um ein Hauptinstrument politischer Kontrolle der Gesellschaft*. Str. 140. (Wyd. Bundesinstitut für ostwissenschaftliche und internationale Studien, Kolonia, grudzień 1983).
- RICHARD (Jan). *Und immer muss es Kaviar sein... Das süsse Leben der Funktionäre im Ostblock*. Str. 256 i 2 nlb. (Wyd. Wirtschaftsverlag Langen-Müller/Herbig, Monachium 1983).
- LUCZAK (Jeannine). *Schweigegeld als Landeswährung. Aphorismen*. Str. 44 i 6 nlb. (Wyd. Walter-Vlg., Olten, Schwajcaria, 1984).
- THORUP (Hanna). *Det polske studentopror i mars 1968 — dets forudsætninger og forløb*. Str. 116 i 9. (Wyd. Historisk Institut Universitetu w Arhus, Dania, 1983).
- LEWIS (K. S.). *Pisma balamuta*. Str. 131 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS, Paryż 1984).
- PADOCH (Jarosław). *Archeolog Iwan Borkowski: dosлідnyk Praskoho Koroliwskoho Zamku*. (Nadbitka z *Harvard Ukrainian Studies* vol. III/IV, część 2, 1979-1980, Cambridge, USA, str. 627-637).
- Historiska och litteraturhistoriska studier* nr 59. Str. 397 i 3 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors 1984).
- DRUSKIN (Lew). *Spasjonnaja kniga. Wospominanija leningradskowo poeta*. Str. 409 i 3 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Londyn 1984).
- NIEKRASOW (Wiktor). *Seperlipette ili jesli by da kaby da wo rtu rosli griby*. Str. 112. (Wyd. Overseas Publications Interchange, Londyn 1983).
- WOŁOSZYN (Maksymilian). *Stichotworienija*. Tom II. Str. 589 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS, Paryż 1984).
- KRIWOSZEINA (N. A.). *Czetyrie triety naszej zizni*. Str. 280 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS w cyklu „Wsiarossijskaja Memuarnaja Biblioteka”, seria „Nasze niedawnie”, Paryż 1984).

Polemiki

Jeszcze jedno oszczerstwo Sandauera

Wpadła mi ostatnio w ręce książeczka Artura Sandauera pt. *O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego* (Czytelnik 1982). Omawiając powojenny antysemityzm w Polsce, Sandauer opisuje pogrom kielecki: „4 sierpnia 1946 młotów kielecki zatkł 42 osoby pod pretekstem dokonania jakoby na chrześcijańskim dziecku mordu rytualnego: dziecko miało się odnaleźć nazajutrz” (str. 63).

Na stronie 64 czytamy:

„... kilka lat temu jeden z ideologów obozu narodowo-pragmatycznego wywodził w mojej obecności, iż Żydów kieleckich kazali wymordować Żydzi z łódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, czyli że — jak powiada Gogol — 'unteroficerskaja wdowa sama siebie wysiekała'. W złagodzonej formie — bez aluzji do łódzkich Żydów — podaje tę samą wersję (podkreślenie moje) Aleksander Wat”. U dołu strony, w przypisie, czytamy: Aleksander Wat, *Mój Wiek*, Londyn 1977, str. 148.

Cytuję podane przez Sandauera źródło: *Mój wiek*, str. 148. Ojciec mój, mówiąc o Związku Patriotów Polskich, powstałym w Rosji, w marcu 1943 roku, wspomina przedwojenną, ortodoksyjną komunistkę, która między innymi zakładała i przewodziła temu Związkowi w Ili (Kazachstan), gdzie byliśmy w tym czasie na zesłaniu. W dwa lata później nastąpiła repatriacja do Polski.

„Wat: — ...Nastąpiła repatriacja, a ona była w bliskim kontakcie ze starym komunistą, który przeszedł przez wszystkie czystki i nie mu się nie stało, bo był w NKWD kimś ważnym. Robociarz — Spychaj, czekista. Jeden z założycieli Związku Patriotów Polskich, który w Rosji był bardzo wiele lat. Jego brat był przywódcą AL-u na Kielecczyźnie, też Spychaj. Właśnie w 1947 roku on rządził Kielcami i wtedy urządzono w Kielcach pogrom. Jego nawet mieli uwięzić, ale podobno go nie uwięzili, tylko przenieśli na inne miejsce, na inną posesję.

Miłosz: — Co sądzisz o tym pogromie?

Wat: — Według tego co słyszałem z wielu stron, był urządzony

— trudno powiedzieć urządzony, raczej sprowokowany — przez kielecki Urząd Bezpieczeństwa (policjantów nie było zupełnie tego dnia), a na jego czele stał Spychaj. Bo trzeba pamiętać, że Spychaj miał tego brata czekistę, który do Polski nie wrócił. Potem umarł na gruźlicę. I — oczywiście to są wszystko domysły, ale instrukcja musiała być sowiecka. To znaczy, że młody Spychaj działał na rozkaz (podkreślenie moje).

Miłosz: — Tak, to ta sama wersja, którą słyszałem. Chodziło o rozegranie na terenie międzynarodowym polskiego antysemityzmu.

Wat: — Tak, o to chodziło. I Spychaj miał mieć proces, ale przenieśli go. A gdzieś w 1956 czy 1955 roku, kiedy zaczęto pierwszych Żydów wypuszczać do Izraela, Spychaj był w Bezpiece właśnie na czele tej sekcji, która Żydom dawała paszporty. Jako znawca tych spraw”. (*Mój wiek*, str. 148-149).

Artur Sandauer, przypominam, powołując się na powyższy fragment, głosi, że Aleksander Wat „w złagodzonej formie — bez aluzji do łódzkich Żydów — podaje tę samą wersję” (podkr. moje) co ideolodzy „obozu narodowo-pragmatycznego”).

Biorąc pod uwagę stosunkowo łatwy dostęp w Polsce do *Mojego wieku*, a więc możliwość zdemaskowania, nasuwa się pytanie, co Sandauera skłoniło do aż tak prymitywnego oszustwa?

Wrodzona podłość, skwituje czytelnik. I słusznie. Oczywiście jest przecież, iż Sandauer szkalując autora *Mojego wieku*, odważył się skwapliwie tę samą robotę, która — od 40-tu już lat — przyprawia Polskę o mdłości. Zdemaskowany, może dziś o sobie powiedzieć, że jak owa, cytowana przez niego gogolowska „unteroficerskaja wdowa”, sam się wychłostał.

Andrzej WAT

P.S. Uwaga dla wydawców: patrzeć Sandauerowi na ręce; sprawdzać skrupulatnie cytowane przez niego źródła.

A.W.

POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE POLISH BOOKS & ARTS, INC.

97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009
Tel.: (212) 254-8457

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

KONKURS

Redakcja „Pulsu” ogłasza Konkurs na
plakat z okazji 40-lecia PRL

Tak, czterdzieści lat jak z knuta strzelił. Czterdzieści lat od „chełmsko-lubelskiego” komitetowania, od „manifestu PKWN” (naprawdę zresztą opracowanego w Moskwie), od którego komuniści postanowili datować swoje rządy nad Polską. Zapewne okrążyła ta rocznica dostarczy Polakom niejednego spektaklu obchodzeniowego na miarę i smak obecnej „małej stalinizacji”. Pragnąc wnieść swój skromny wkład do szerokiego nurtu patriotyczno-obywatelskich inicjatyw, postanowiliśmy ogłosić konkurs na plakat upamiętniający czterdziestą rocznicę obecnej władzy w PRL.

WARUNKI KONKURSU

Konkurs jest otwarty dla każdego niezależnie od kraju zamieszkania. Prace mogą być przedstawione w dowolnej formie (w przypadku uczestników z kraju — przezrocza lub fotografie). Prosimy o nadsyłanie opatrzonych godłem prac wraz z nazwiskiem autor lub ewentualnym hasłem identyfikacyjnym w osobnej kopercie (hasło identyfikacyjne umożliwi autorowi odbiór nagrody przy zachowaniu anonimowości).

Termin nadsyłania prac upływa 30 września 1984 roku.

Prace prosimy przysyłać na ręce sekretarza redakcji:

**The Secretary, PULS Publications,
BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom**

Dzięki inicjatywie anonimowego ofiarodawcy prace zostaną nagrodzone (pierwsza nagroda £ 500, druga — £ 250, trzecia — £ 100). Praca, która uzyska pierwszą nagrodę, będzie wydrukowana i rozpowszechniona. Wybór najlepszych prac zostanie opublikowany w zimowym numerze „Pulsu”.

List z Londynu

Od Bożego Narodzenia minęło już kilka miesięcy, ale tutaj nadal dyskutuje się problem orędzia królowej wygłoszonego w czasie świąt do ludów Wspólnoty Brytyjskiej. Całą dyskusję rozpoczął członek Izby Gmin Enoch Powell, jeden z najbardziej kontrowersyjnych brytyjskich polityków, atakując treść orędzia królowej i sposób jego podania w telewizji. Zdaniem jego orędzie zawierało więcej akcentów dotyczących krajów Wspólnoty i kolorowych imigrantów w Wielkiej Brytanii niż samych Brytyjczyków, którzy przecież stanowią kręgosłup monarchii. Wprawdzie Powell zastrzegł się, że nie krytykuje królowej, tylko rząd, który powinien był przemówienie to przygotować, ale rzecznik królowej stwierdził, że orędzie było tworem i wyrazem sentymentów jej samej, a pani Thatcher to potwierdziła.

Na ogół uznano, że Powell powinien być być bardziej powściągliwy, ale że ma sporo racji. Przy tej okazji raz jeszcze okazało się, jak wiele niebezpieczeństw kryje w sobie każda próba wypowiedzi skierowanej do wszystkich krajów Commonwealthu.

Jest to twór bardzo skomplikowany, który zastąpił Imperium i powstawał przez wiele lat, począwszy od roku 1947, gdy Indie otrzymały niepodległość. Dziś Wspólnota obejmuje 49 krajów, w tym 18 monarchii z Elżbietą II jako królową, 5 dalszych królestw z lokalnymi koronowanymi głowami i 26 republik, których głową jest królowa brytyjska. Kraje te reprezentują różne rasy, różne kultury i różne systemy polityczne. Sprawa jest prosta, gdy królowa odwiedza np. Kanadę czy Kenię, bo wszędzie oficjalnie przemówienia królowej przygotowuje miejscowy premier. Podobnie jest w Anglii: każda mowa tronowa w Izbie Lordów pisana jest przez brytyjskiego premiera. Kto jednak ma napisać świąteczne orędzie skierowane do najdalszych zakątków kuli ziemskiej? Brytyjski premier? Dlaczego? Nie jest on żadną władzą dla krajów Wspólnoty. Istnieje ogólny Sekretariat, ale z zadaniami wyłącznie administracyjnymi. W nieregularnych odstępach czasu zbierają się Konferencje Wspólnoty, popularnie zwane spotkaniami premierów, są one jednak tylko okazją do wymiany poglądów i zacieśnienia współpracy między uczestnikami. Jedyną widomą więzią Commonwealthu jest osoba królowej, więc może ona chyba jeden jedyny raz w roku wyrazić własne poglądy i sentymeny. A sentymeny te kierują się raczej

w stronę biednych i upośledzonych, w stronę dalekich krajów i odmiennych kultur. Ujawniając je, królowa może się jednak narazić pewnej części brytyjskiej opinii publicznej, która spodziewa się, że słowa monarchini powinny być skierowane przede wszystkim do Brytyjczyków. Podniesiono także problem dnia, w którym królowa przemawia. Skoro jest to pierwszy dzień Bożego Narodzenia, orędzie musi zawierać akcenty chrześcijańskie, a tych w ostatnim orędziu zabrakło. Przypuszczalnie dlatego, że ogromna większość mieszkańców Wspólnoty wyznaje inne religie.

W roku 1932 król Jerzy V mógł dzięki radiu po raz pierwszy przemówić do ludów Imperium. Przemówienie to, napisane przez Rudyarda Kiplinga, zawierało same ogólniki: „Przemawiam z mego domu i z mego serca do was wszystkich — do mężczyzn i kobiet odciętych przez śniegi, znajdujących się na pustyni lub na morzu...”.

Wydaje się, że tak będą musiały brzmieć królewskie przemówienia w przyszłości.

Trzy lata temu prof. Jerzy Pietrkiewicz ustąpił z katedry polonistyki w *School of Slavonic and East European Studies* (Uniwersytet Londyński) na znak protestu przeciwko obniżaniu poziomu tych studiów. Wyrażało się to w położeniu większego nacisku na ilość przedmiotów i zbyt zawężoną specjalizację, przy jednoczesnym osłabieniu zainteresowania samym językiem polskim i całością naszej literatury. Po ustąpieniu profesora nie ma już na terenie całej Wielkiej Brytanii ani jednej katedry polonistyki. Obecnie w wyżej wymienionej szkole istnieje tylko lektorat naszego języka, na którego czele stoi dr Stanisław Eile z Krakowa. Oxford i Belfast ofiarowują wykłady polskiego tym, którzy studiują język rosyjski i filologię słowiańską; w Cambridge można studiować i zdawać z języka polskiego, ale tylko w połączeniu z innym przedmiotem, podobnie jest w Szkocji. Jedynie w Glasgow sprawy wyglądały lepiej, bo wykładał tam dr Leszek Kukulski, ale gdy pojechał na urlop do kraju i tam odebrano mu paszport, a później niespodziewanie zmarł, studia języka polskiego zostały zagrożone. Istnieje tam lektorat tymczasowy, prowadzony przez Adelę Wierszubską-Baddy, ale są widoki na poprawę, bo zamieszkały w Glasgow Polak, Jan Stepek, ofiarował £ 50.000 na ten cel. Uniwersytet ma ogłosić konkurs na stanowisko wykładowcy, a gdy znajdzie się odpowiedni kandydat, może nawet powstać samodzielna katedra naszego języka.

Jako przykład studiów polonistyki trzeba wziąć rok obecny i Uniwersytet Londyński (wspomnianą już szkołę), bo tam są one najintensywniejsze. Kurs trwa 3 lub 4 lata i kończy się egzaminem, który przynosi tytuł *Bachelor of Arts* (magister). Pierwszy rok to intensywna nauka języka, która musi być zakończona udanym egzaminem, aby można było studiować dalej. Rok drugi to dalsze studia nad językiem, dwa kursy: pierwszy z literatury,

londyńskiego transportu zostało częściowo zahamowane.

Wszystkie te pomysły znecierpliwły konserwatystów tym bardziej, że Rada Wielkiego Londynu jest opanowana przez socjalistów, a Livingstone należy do ich najsłabszego lewego skrzydła. Rząd postanowił Radę zlikwidować.

Rada ta powstała stosunkowo niedawno, bo zaczęła działać dopiero w kwietniu 1965 roku. Zasięg jej obejmuje 1580 km², na których mieszka ponad 8 milionów ludzi. Radni — jest ich 92 — wybierani na 4 lata, dysponują rocznym budżetem przekraczającym miliard funtów; do ich kompetencji należy wspomniany już transport publiczny a także szkoły, planowanie wielkiego miasta, kanalizacja, parki, straż pożarna, ambulanse i różnego rodzaju rozrywki. Kompetencje Rady nie kolidują z Zarządem City (*Corporation of the City of London*) z Lordem Merem na czele.

Początkowo Rada wydawała się potrzebna, i tak rzeczywiście było, ale prace jej ześliznęły się na walkę partyjną i konfrontację przeciwnych sobie światopoglądów. Jej likwidacja wymaga uchwały parlamentu: odpowiedni wniosek już się tam znajduje i niedługo kompetencje Rady zostaną przejęte przez lokalne władze kilkudziesięciu dzielnic Londynu.

Oczywiście Livingstone broni się, zbiera podpisy, drukuje olbrzymie ogłoszenia, występuje w telewizji. Jest przy tym bardzo opanowany, na wszystko ma odpowiedź i robi dobre wrażenie. Sprawę jednak prawie na pewno przegra i wtedy będzie kandydować do Izby Gmin z listy *Labour Party*.

Rząd konserwatystów wygrywa powoli walkę ze związkami zawodowymi, ale w jednym wypadku wydawało się, że musi przegrać. W Cheltenham, niedaleko Londynu, w dużym kompleksie budynków, znajduje się centrala radiowego nasłuchu (*Government Communications Headquarters — GCHQ*), jedna z kilku instytucji o charakterze poufnym, bo od niej zależy bezpieczeństwo kraju. Pracuje tam 7 tysięcy osób o rozmaitych kwalifikacjach: radiowcy, szyfranci, specjaliści od łamania szyfrów, lingwiści, tłumacze, znawcy najbardziej lokalnych narzeczy (oczywiście głównie z obszaru sowieckiego imperium) itd. Znaczna ich część należy do związków zawodowych, miały już tam miejsce strajki i w styczniu br. rząd wystąpił z zaskakującą inicjatywą. Biura związków zawodowych mają być na terenie centrali zamknięte a jej pracownicy, którzy należą do związków muszą z nich wystąpić. Kto wystąpi, ten otrzyma £ 1000, kto odmówi, zostanie albo usunięty, albo przeniesiony na inne miejsce pracy.

Podniósł się straszliwy hałas. Jak to? W Wielkiej Brytanii, w kraju najstarszej demokracji płaci się ludziom za rezygnację z ich obywatelskich praw? Pozbawia się ich opieki związków, które przecież bronią ich przed wyzyskiem? Gorączkowano się, dyskutowano, związki kilkakrotnie słały delegacje do premiera,

drugi z historii, i przygotowywanie się do wyboru dostępnego tematu. Wybierać można: a) język i literaturę (romantyczny dramat i literatura od roku 1945), b) historię i politykę (komunizm i nacjonalizm we Wschodniej Europie od roku 1944, historia Polski do roku 1572 i Polska Republika Ludowa), c) ekonomię (polityczna ekonomia marksizmu i rozwój polskiej ekonomii od roku 1945), d) geografię i planowanie (geografia Wschodniej Europy i miejskie oraz regionalne planowanie w Polsce). Można jeszcze dodatkowo studiować język polski w połączeniu z rosyjskim oraz jako przedmiot pomocniczy.

Na rok 1984 Uniwersytet Londyński zarejestrował 25 studentów, którzy wybrali nasz język i naszą tematykę. Cyfra ta nie obejmuje kilku osób sięgających po wyższy stopień naukowy. Studiują przeważnie Polacy lub studenci polskiego pochodzenia, ale od czasu do czasu *Foreign Office* przysyła swoich kandydatów. W ostatnich latach było także kilku studentów z Niemiec, w tym roku jest jeden Norweg.

Rzetelna ocena powyższych danych wymagałaby poważnej analizy, jednak i bez niej można wyciągnąć kilka wniosków. Brak katedry polonistyki stanowi regres, a tematyka kursów przeważnie dotyczy Polski dzisiejszej. Widoczny jest także brak kursu obejmującego całą polską literaturę i całą historię.

Odbývają się także wykłady z filologii polskiej na Polskim Uniwersytecie w Obczyźnie (PUNO) w Londynie, ale to odrębny temat. W tym roku słuchają ich tylko Polacy.



„Seksja równych szans” Rady Wielkiego Londynu zarządziła, że określenie „czarna kawa” musi być usunięte z codziennego słownictwa i zastąpione innym: „kawa bez mleka”, bo słowo „czarny” ma wydźwięk rasowy i polityczny. Pozwolono jednak używać słowa „biały”.

Personel licznych stołówek i jadłodajni, trzymając się ducha tego zarządzenia, począł wszędzie tęcić słowo „czarny”, i słyszy się teraz: płaszcz, parasol, telefon, stół — „bez mleka”!

Cały ten nonsens narodził się w głowie przewodniczącego Rady, Kena Livingstone’a, który w pogoni za popularnością zapędził się na manowce. Poza wygrywaniem popularnej obecnie sprawy koloru skóry, wyróżnił się on wieloma innymi pomysłami. Wypłacił poważną sumę klubowi homoseksualistów, odmówił tradycyjnego subydium harcerzom, bo zwalczają wszelkie wynaturzenia, wydał tysiące funtów na „łódź podwodną” ułożoną z opon samochodowych, zaprosił do Londynu irlandzkich terrorystów, a gdy odmówiono im wiz, pojechał do nich do Belfastu. Zabrał się także do reformowania publicznego londyńskiego transportu, który jest olbrzymim przedsiębiorstwem o największej na świecie sieci metra i autobusów. Jego pomysły doprowadziły do takiego zwiększenia deficytu, że dyrekcja przedsiębiorstwa skierowała sprawę do sądu. Livingstone przegrał i dalsze rujnowanie

proponowano rozwiązania polubowne, ale rząd nie ustępował ani na krok i powtarzał: w sprawach bezpieczeństwa nie może być kompromisów i podwójnej lojalności. Sekretariat Związków zarządził jednodniowy strajk protestacyjny. Miał on miejsce, stanęło szereg pociągów, na Fleet Street (siedziba wielkich pism) nie przyszło do pracy 400 techników, pozostało w domu wielu pracowników państwowych, ale wkrótce ucichł hałas i rząd sprawę wygrał. Tylko kilkudziesięciu pracowników centrali nasłuchu nie wystąpiło ze związków, dla świętego spokoju pozostawiono ich na miejscu i problem przestał istnieć.

Rząd rozegrał całą sprawę bardzo niezdarnie, sam stworzył z siebie cel łatwych ataków, ale jego racje zostały uznane przez ogół społeczeństwa. Demokracja zbyt długo istnieje w Wielkiej Brytanii, by ludzie nie rozumieli, że w obliczu najważniejszych spraw państwowych wolności obywatelskie muszą mieć swoje granice.

Józef GARLIŃSKI

ARCHIPELAG

miesięcznik kulturalno-polityczny wydawany
w Berlinie Zachodnim

Eseistyka, proza, poezja, dramat, publicystyka polityczna, historia najnowsza, krytyka literacka, grafika, fotografia artystyczna.
Warunki prenumeraty: RFN — 65 DM, kraje europejskie — 67 DM, kraje pozaeuropejskie (pocztą lotniczą) — 90 DM.

Należność prosimy przekazywać na konto:
Postscheckkonto 458 667-107, Jerzy Stachurski — Sonderkonto
„Archipelag”, Berlin West BLZ 100 100 10.

Adres redakcji:

„Archipelag” c/o Andrzej Więckowski,
Wilhelmsruher Damm 139, D — 1000 Berlin 26.
Tel.: (030) 415 16 23

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-3-84

W PRL będzie wydana długogrająca płyta znanego duetu fortepianowego „Marek i Wacek”. Longplay będzie tłoczony w Związku Sowieckim, a okładka wykonana w Czechosłowacji. ■ Prasa niezależna podaje, że RSW otrzymuje często ponad 3/4 zwrotów nakładów szeregu pism. Do najmniej poczytnych należą: *Twórczość robotników*, *Odrodzenie*, *Przegląd tygodniowy*, *Kierunki*, *Barwy* oraz *Veto*. Aby się pozbyć gazetowych buble, kioskarze zmuszają klientów do kupowania ich wraz z inną prasą. Niewiele to pomaga, gdyż np. zwroty tygodnika PRON *Odrodzenie* wyniosły w ub. roku w skali krajowej aż 92 %.

4-3-84

Tygodnik PAX-u *Kierunki* zamieścił w numerze 10 na str. 7 następujące wyjaśnienie: „Drukowane na naszych łamach w styczniu i lutym fragmenty wspomnień ambasadora włoskiego Eugenio Reale pt. „Raporty” pochodzą z książki wydanej w 1968 roku w Paryżu. Tłumaczenia z włoskiego dokonał Paweł Zdziechowski”. Jest to spóźniona reakcja na nasz protest (*Kultura* nr 3/438, marzec br.) przeciwko korsarskiemu wykorzystywaniu książki, wydanej przez Instytut Literacki w roku 1968. Nie starczyło redakcji *Kierunków* odwagi na podanie w tym wyjaśnieniu, kto tę książkę wydał w Paryżu.

5-3-84

Na początku marca br. miała się rozpocząć w jednym z kościołów poznańskich głódówka „zamienna”, podejmowana przez kolejne zespoły w ciągu 7 dni. Intencją głódówki była sprawa praw więźniów politycznych, a specjalnie zdjęcie ciężaru głódówki z J. Pałubickiego, który jest w katastrofalnym stanie zdrowia, i jakby przejęcie jej przez głodujące zespoły. W pierwszym zespole mieli być: poeta Ryszard Krynicki, Lech Dymarski oraz prof. Leszek Nowak. Głódówka nie doszła jednak do skutku, gdyż wobec ostrej presji kurii poznańskiej wszystkie kościoły a nawet zakony w Poznaniu i okolicach odmówiły pozwolenia na przeprowadzenie głódówki, mimo że liczni księża tę inicjatywę popierali. Nie jest to pierwsze tego rodzaju posunięcie poznańskiej kurii, która m.in. utrudnia akcję pomocy dla aresztowanych i skazanych oraz dla ich rodzin. ■ Zmarł w Katowicach w wieku 57 lat Stanisław Broszkiewicz, literat i dziennikarz.

14-3-84

Zmarł w Lublinie w wieku 91 lat Jerzy Kuncewicz, publicysta i działacz ludowy.

16-3-84

Zmarł w Krakowie prof. Tadeusz Dobrowolski, wybitny historyk i organizator muzeów w Polsce.

23-3-84

W „Czytelniku” ukazała się książka Bogdana Madeja „Maść na szczury”. „Czytelnik” nie zaznaczył, że pierwsze wydanie tej książki ukazało się w Bibliotece „Kultury” w roku 1977. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 78 lat Józef Winiewicz. Dziennikarz i polityk, który przeszedł rekordową ilość zmian poglądów: od redagowania przed wojną konserwatywnego *Dziennika Poznańskiego* i współpracy z *Buntem Młodych* i *Polityką* J. Giedroycia i ścisłej współpracy z rządem londyńskim aż do stanowiska ambasadora PRL

w Waszyngtonie i wiceministra Spraw Zagranicznych. Cechą charakterystyczną i raczej rzadką była jego całkowita lojalność wobec każdorazowego chlebodawcy.

28-3-84

Sesja plenarna Konferencji Episkopatu Polskiego wybrała na wiceprzewodniczącą Konferencji na nową 5-letnią kadencję kardynała Franciszka Macharskiego. Na mocy statutu Konferencji jej przewodniczącym jest Prymas Polski. Na członków Rady Głównej z wyboru zostali powołani: Ignacy Tokarczuk — biskup przemyski, Alfons Nossol — biskup opolski, Stanisław Szymecki — biskup kielecki, Edward Materski — biskup sandomiersko-radomski. W skład Rady Głównej wchodzi z urzędu kardynałowie i arcybiskupi. Z arcybiskupów: Henryk Gulbinowicz — arcybiskup metropolita wrocławski, Jerzy Stroba — arcybiskup metropolita poznański, Bronisław Dąbrowski — arcybiskup sekretarz Konferencji Episkopatu. Na zastępcę sekretarza wybrany został bp Jerzy Dąbrowski, na sekretarza pomocniczego — ks. Alojzy Orszulik. Na przewodniczących Rady Naukowej Episkopatu i Komisji wybrani zostali: biskup Alfons Nossol w Radzie Naukowej Episkopatu, Kardynał Franciszek Macharski w Komisji do Spraw Nauki Katolickiej, biskup Władysław Miziołek w Komisji do Spraw Duszpasterstwa Ogólnego, biskup Tadeusz Rybak w Komisji do Spraw Liturgii i Duszpasterstwa Liturgicznego, arcybiskup Jerzy Stroba w Komisji do Spraw Katechizacji, biskup Bolesław Pylak pełniący obowiązki w Komisji Maryjnej, biskup Paweł Socha w Komisji do Spraw Duchowieństwa. Przewodniczącym Komisji do Spraw Duszpasterstwa Rodzin został biskup Marian Przykucki. Przewodniczącym Komisji do Spraw Duszpasterstwa Akademickiego został arcybiskup Henryk Gulbinowicz. Komisji do Spraw Seminariorów Duchownych — biskup Lech Kaczmarek. Komisji Charytatywnej — biskup Czesław Domin. Kardynał Franciszek Macharski przewodniczy Komisji do Spraw Apostolstwa Świeckich. Biskup Stanisław Szymecki — Komisji do Spraw Powołań Duchowych. Kardynał Józef Glemp, Prymas Polski, przewodniczy Komisji do Spraw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Arcybiskup Bronisław Dąbrowski — przewodniczy Komisji do Spraw Zakonnych. Biskup Ignacy Jeż — Komisji do Spraw Środków Społecznego Przekazu. Biskup Jan Mazur — Komisji do Spraw Trzeźwości. Biskup Herbert Bednorz — Komisji do Spraw Wydawnictw Katolickich. Biskup Jan Obląk — Przewodniczący Komisji do Spraw Sztuki Kościelnej. Biskup Stanisław Szymecki — Komisji Justicia et Pax. Biskup Edmund Piszcz — Komisji do Spraw Misji. Biskup Alfons Nossol — Komisji do Spraw Ekumenizmu. Biskup Julian Wojtkowski — Przewodniczący Komisji do Spraw Budowy Kościołów. Biskup Zygmunt Kamiński — Komisji do Spraw Duszpasterstwa Turystycznego. Biskup Kazimierz Majdański — Komisji do Spraw Dialogu z Niewierzącymi. Arcybiskup Henryk Gulbinowicz — Komisji do Spraw Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Biskup Jan Gurda — Komisji do Spraw Duszpasterstwa Rolników, oraz biskup Tadeusz Goćkowski — Przewodniczący Zespołu do Spraw Kodeksu Prawa Kościelnego.

1-4-84

W marcu br. odbyło się zebranie kierowników placówek PAN. Poinformowano ich, że PAN ma deficyt w planie finansowym na bież. rok, który nie zostanie pokryty przez państwo. Zmusza to PAN do obciążenia funduszy placówek, mimo ogromnego wzrostu kosztów związanych z utrzymaniem instytutów i laboratoriów. Ograniczenia te spowodują zwolnienie około 15 % personelu naukowego. Polityka PRL zmierza chyba do likwidacji tego pionu nauki polskiej (zatrudniającego 15.000 osób, w tym 7.000 pracowników naukowych), który stanowi poważny potencjał badawczy, często na poziomie międzynarodowym.

10-4-84

Do Warszawy przyjechał Jose Eduardo dos Santos, prezydent Angoli, celem nawiązania współpracy gospodarczej z Polską. W Warszawie mówi się jednak, że wizyta ta dotyczy ewentualnego użycia wojskowych „doradców” polskich, którzy mieliby częściowo złuzować czy uzupełnić kadry „doradców” kubańskich. Jeśli te przypuszczenia są słuszne, czy ograniczyć się do jedynie do Angoli?

12-4-84

Spałek liczby bibliotek. W kraju istniało 53.668 bibliotek. Od roku 1972 do 1983 zlikwidowano 18.577 w tym 12.300 bibliotek szkolnych. Liczba czytelników nie maleje jednak. 17 milionów stale odwiedza czytelnie i biblioteki w poszukiwaniu książek, m.in. przewidzianych programem szkolnym, których nie ma w sprzedaży. Liczby te nie wymagają komentarza. ■ Komitet Kultury Niezależnej przyznał — już po raz drugi — honorowe nagrody kulturalne „Solidarności”. Laureatami za rok 1983 zostali: Zespół Niezależnego Pisma Literackiego *Arka* z Krakowa; Janusz Bogucki z Warszawy — za przygotowanie sympozjum sztuki pod tytułem „Znak krzyża”, w kościele pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego w Warszawie; Andrzej Brzozowski z Warszawy za film dokumentalny „Hotel Bristol” — Wytwórnia Filmów Dokumentalnych Warszawa; Przemysław Gintrowski z Warszawy za recital piosenkowski pod tytułem „Pamiętki”, Zbigniew Herbert z Warszawy za zbiór wierszy „Z obłęzonego miasta”, wydany w Oficynie Literackiej Kraków; Łukasz Korolkiewicz z Warszawy za twórczość malarską; Bogdan Kraśniewski z Torunia za twórczość malarską; Zespół Niezależnego Wydawnictwa „Krag” z Warszawy; Jan Józef Lipski z Warszawy za książkę *KOR*, wydaną przez *Aneks* — Londyn; Witold Lutosławski z Warszawy za ostatnie dzieło: „Trzecia Symfonia”; Adam Michnik z Warszawy za twórczość literacko-publicystyczną powstałą w areszcie śledczym na Mokotowie; twórcy spektaklu — „Niezapomniany rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi” — Teatr Popularny Warszawa; Marek Sapetto z Warszawy za twórczość malarską, oraz Wiktor Worosylski za książkę „Kto zabił Puskina”, Stefania Wojtowicz, Warszawa, za całokształt twórczości muzycznej i Leszek Sobocki, Warszawa, za twórczość malarską i graficzną.

15-4-84

Laureaci konkursu Episkopatu Polski na dzieło literackie. W dziale prozy: I-sza nagroda (100 tys. zł) — Bohdan Królikowski z Lublina za pracę „Opowieść jasnogórska”; II-ga nagroda (70 tys. zł) — Janina Szwaczka z Kielc za pracę „...iż one rany cud jeszcze nie spełniony znaczą”; III-cia nagroda (50 tys. zł) — Jacek Moskwa z Warszawy za pracę „Pamiętnicy”; trzy wyróżnienia (po 20 tys. zł) — Alina Afanasjew z Sopotu, Kazimierz Braun z Wrocławia i Herta Antończycz ze Świętochłowic. — W dziale poezji: pięć wyróżnień (po 15 tys. zł) — Katarzyna Boruń z Warszawy, Joanna Kulmowa ze Strumian, Henryk Romanik z Wilkowa, Kazimierz J. Węgrzyn z Istebnej i Tadeusz Żukowski z Poznania. — W dziale dramatu: wyróżnienie (20 tys. zł) — Zbigniew Strzałkowski z Lublina. Na konkurs wpłynęło łącznie 174 prac.

ZACHÓD — EMIGRACJA

19-3-84

Rada Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce wybrała na nową kadencję zarząd w składzie: Stanisław Jordanowski — prezes, Tadeusz Pawłowicz — wiceprezes, prof. Ludwik Teclaff — wiceprezes, Wiesław Domaniewski — skarbnik, Janina Kulikowska — sekretarz.

21-3-84

Dla uczczenia 10-lecia śmierci inż. Damiana Wandycza, p. Irena Wandyczowa przekazała Instytutowi J. Piłsudskiego w Ameryce \$ US 1.000,00, z czego \$ 200,00 na rzecz Instytutu, a \$ 800,00 na nagrodę im. inż. Damiana Wandycza za najlepszą książkę polską żyjącego autora z dziedziny najnowszej historii Polski, wydaną w latach 1981-1984. Przyznanie nagrody będzie miało miejsce jesienią bież. roku.

1-4-84

Süddeutscher Rundfunk nadał słuchowisko Marka Nowakowskiego pt. „Ich rede zu laut, sagen Sie...” (Za głośno mówię, twierdzi pan...) w przekładzie Klausa Staemmlera.

5-4-84

Aresztowanie Marka Nowakowskiego spowodowało cały szereg protestów na Zachodzie, a mianowicie: Komunikat francuskiego PEN-Clubu:

„Francuski PEN-Club protestuje przeciwko aresztowaniu pisarza polskiego Marka Nowakowskiego, laureata Nagrody Wolności 1983. Pragnąc zmanifestować swą solidarność z pisarzami polskimi, jeszcze bardziej zagrożonymi od czasu rozwiązania Związku Literatów Polskich i zarządu polskiej sekcji PEN-Clubu, francuska sekcja Międzynarodowego PEN-Clubu postanowiła jednogłośnie dokooptować do swego składu Czesława Miłosza, laureata nagrody Nobla, którego zbiór wierszy właśnie się ukazał w wyd. Luneau Ascot pt. „Poèmes 1934-1982” oraz Marka Nowakowskiego. Kooptacja ta jest drugą po dokooptowaniu członków zarządu polskiej sekcji PEN-Clubu.

René Tavernier,
przewodniczący francuskiej sekcji PEN-Clubu

Około dwudziestu pisarzy i intelektualistów francuskich lub zamieszkających we Francji zwróciło się do władz polskich z apelem o „jak najszybsze uwolnienie” Marka Nowakowskiego, którego „Raport o stanie wojennym” ukazał się we Francji pod tytułem „Chroniques clandestines d'un pays en guerre”. Autorzy apelu „są oburzeni” aresztowaniem Nowakowskiego i „ubolewają nad podobnymi krokami, które mogą jedynie zaszkodzić starym i jakże owocnym związkom między kulturą polską a francuską”. Apel podpisali: André i Marie-Pierre BAY, Breyten BREYTENBACH, Jean-Claude BRISVILLE, Pierre DAIX, Pierre EMMANUEL, Alain FINKIELKRAUT, Michel FOUCAULT, Pierre GASCAR, Jean GUILOINEAU, Eugène IONESCO, Constantin JELEŃSKI, Raymond LAS VERGNAS, Guy LE CLECH, Artur i Lisa LONDON, Claude MAURIAU, Marek RUDNICKI, Marcel SCHNEIDER, Dimitri STOLYPINE, Michel TOURNIER, René TAVERNIER, Valentine VERDIER, Jean ROSENTHAL, dyrektor wydawnictwa Stock, które opublikowało „Raport o stanie wojennym”, oraz wszyscy jego współpracownicy.

Aresztowanie Marka Nowakowskiego jeszcze bardziej powiększy międzynarodową izolację Polskiej Republiki Ludowej. Ponieważ polska inteligencja ma zakneblowane usta, domagamy się także w jej imieniu uwolnienia Marka Nowakowskiego.

Heinrich BÖLL, Georgij WŁADIMOW, Władimir WOJNOWICZ, Günter GRASS, Max FRISCH, Jürgen FUCHS, Sarah KIRSCH, Lew KOPELEW, Siegfried LENZ, Hans Werner RICHTER, Hans-Joachim SCHÄDLICH, Johanno STRASSER.

(Sygnatariusze apelu dostali z poczty zawiadomienie: „Adresat odmówił przyjęcia telegramu”).

„Wyrażamy głębokie zaniepokojenie aresztowaniem polskiego pisarza Marka Nowakowskiego, którego książka 'Raport o stanie wojennym' ('The Canary and other Tails of Martial Law') ukazała się ubiegłego roku w wydawnictwie Harvill Press.

Marek Nowakowski oskarżony jest o współpracę z 'osobami reprezentującymi zachodnie organizacje, których działalność jest szkodliwa dla interesów państwa polskiego'. To absurdalne oskarżenie przypomina stalinowskie praktyki, podczas gdy generał Jaruzelski stara się stworzyć wrażenie 'normalizacji' w Polsce.

Apelujemy do władz polskich o zwolnienie Marka Nowakowskiego i zapobiegnięcie w ten sposób dalszemu pogorszeniu stosunku Zachodu do reżymu Jaruzelskiego”.

Dan JACOBSON, Iris MURDOCH, V. S. PRITCHETT, Stephen SPENDER, Tom STOPPARD.

■ Jednocześnie Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie złożył oświadczenie protestacyjne, podpisane przez dr. Józefa Garlińskiego i ks. Jerzego Mirewicz, T.J. ■ Zwraca uwagę, że do tej pory nie ukazał się protest członków Związku Literatów Polskich oraz Polskiego PEN-Clubu, przebywających na Zachodzie od chwili ogłoszenia stanu wojennego. Tym bardziej że pisarze krajowi masowo zaprotestowali:

Warszawa, dwudziesty marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty. Do Prezydium Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

— w miejscu —.

My — niżej podpisani pisarze polscy, członkowie polskiej sekcji PEN-Clubu i byli członkowie rozwiązanego Związku Literatów Polskich, wyrażamy najgłębsze zaniepokojenie z powodu aresztowania naszego kolegi, autora wielu wybitnych książek, nieposzlakowanego człowieka — Marka Nowakowskiego.

Widzimy w tym jeszcze jeden symptom gwałtownego narastania niebezpiecznych tendencji w życiu społecznym i kulturalnym. Apelujemy o wyzwanie się wielokrotnie już potępionych brutalnych metod przywodzących na pamięć najgorsze czasy i o niezwłoczne zwolnienie aresztowanego pisarza. — Wojciech Adamiecki, Janusz Anderman, Stanisław Balbus, Edward Balcerzan, Krystyna Berlińska, Zbigniew Bienkowski, Marek Bienkowski, Andrzej Biernacki, Jacek Bocheński, Marianna Bocian, Marian Brandys, Stefan Bratkowski, Andrzej Braun, Mieczysław Buczkówna, Tomasz Burek, Przemysław Bystrzycki, Teresa Chłapowska, Tadeusz Chrzanowski, Barbara Czałczyńska, Stanisław Czyż, Teresa Dąbek-Wirgowa, Maria Dernałowicz, Andrzej Drawicz, Ernest Dyczek, Kazimierz Dziewanowski, Andrzej Falkiewicz, Jerzy Ficowski, Marta Fik, Kornel Filipowicz, Andrzej Goreń, Gustaw Gottesman, Marian Grześczak, Joanna Guze, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert, Lothar Herbst, Andrzej Jarecki, Tomasz Jastrun, Antonin Jelicz, Maria Kalota-Szymańska, Andrzej Kijowski, Wanda Kindler, Helena Komorowska, Tadeusz Konwicki, Jerzy Korczak, Anka Kowalska, Urszula Kozioł, Jerzy Krasicki, Ryszard Krynicki, Zbigniew Kubikowski, Bogusława Latawiec, Irena Lewandowska, Ewa Lipska, Teresa Lubkiewicz, Zdzisław Łapiński, Tomasz Łubieński, Jacek Łukasiewicz, Małgorzata Łukasiewicz, Janusz Maciejewski, Andrzej Mandalian, Jarosław Markiewicz, Rafał Marszałek, Ryszard Matuszewski, Piotr Matywiecki, Alicja Mazurkiewicz, Krzysztof Mętrak, Artur Międzyrziecki, Krystyna Miłobędzka, Andrzej Miłosz, Kamila Mondral, Małgorzata Musierowicz, Irena Naganowska, Egon Naganowski, Ewa Najpjer, Kazimierz Orłoś, Zyta Oryszyn, Andrzej Osęka, Magdalena Petryńska, Seweryn Pollak, Jan Prokop, Leszek Prorok, Aleksander Rogalski, Natalia Rolleczek, Barbara Sadowska, Wiesława Szejterowa, Eugenia Siemaszkiewicz, Andrzej Sieroszewski, Halina Skrobiszewska, Marek Skwarnicki, Iwona Smolka, Anna Staniewska, Sergiusz Sterna-Wa-

chowiak, Grażyna Strumiłło-Miłosz, Julian Strykowski, Jacek Stwora, Jerzy Surdykowski, Leszek Szaruga, Jan Józef Szczepański, Andrzej Szmidt, Ewa Szumańska, Adrianna Szymańska, Irena Szymańska, Wiesław Paweł Szymański, Wisława Szymborska, Zbigniew W. Śmigieński, Krystyna Tarnowska, Marian Terlecki, Kazimierz Traciewicz, Anna Trzeciakowska, Jerzy Turowicz, Eugeniusz Wachowiak, Piotr Wierzbicki, Włodzimierz Wnuk, Wiktor Woroszyński, Marta Wyka, Jerzy Zagórski, Andrzej Zeyland, Juliusz Zuławski, Tadeusz Zakiewicz, Tadeusz Żychniewicz.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Partia Demokratyczna mianowała Polaka, Geralda Kleczko, senatora stanowego z Wisconsin członkiem Izby Reprezentantów z IV Okręgu Milwaukee. Zajmie on miejsce zmarłego kongresmana Klemensa Zabłockiego. Ponieważ w tym okręgu znaczna część wyborców to Amerykanie polskiego pochodzenia, Kleczko ma zapewniony wybór. ■ Polsko-Amerykańskie Stowarzyszenie Nauczycieli wraz ze Związkiem Nauczycieli Polskich w Chicago zorganizowało pod koniec lutego sympozjum poświęcone problemowi oświaty w Stanach Zjednoczonych. ■ W Nowym Jorku odbyło się doroczne zebranie Komitetu Opieki nad Ociemniałymi. Przewodniczącym wybrano Stanisława Świdzkiego, prezesem Halinę Rodzińską, a prezesem wykonawczym Karin Falencą. Komitet opiekuje się zakładem w Laskach i szeregiem innych zakładów dla ociemniałych w Polsce. Postanowiono pomóc w budowie zakładu dla ociemniałych w Warszawie przy ulicy Bonifraterskiej. ■ Na scenie Metropolitan Opera w Nowym Jorku w operze „Rinalda” Haendla debiutowała z wielkim powodzeniem Ewa Podleś, mezzosopran, solistka Teatru Wielkiego w Warszawie. ■ Republikanin ze stanu Wisconsin senator Robert Karsten przedstawił w Senacie wniosek nr 226 o przeprowadzenie debaty nad propozycją wypowiedzenia układu zawartego w Jałcie. Podobny wniosek złożył w Izbie Reprezentantów Tom Corcoran, republikanin z Illinois. Wnioski znajdują się w komisjach. Terminu dyskusji nie wyznaczono. ■ Grupa PROTEST, składająca się z mieszkających w Waszyngtonie byłych internowanych członków „Solidarności”, zorganizowała akcję zbierania podpisów pod listem do prezydenta Reagana, domagającym się uwolnienia więźniów politycznych w Polsce. Wśród 3.500 osób podpisy złożyli: były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Zbigniew Brzeziński, laureaci nagrody Nobla Saul Bellow, Milton Friedman, były sędzia Sądu Najwyższego Artur Goldberg i wielu innych wybitnych Amerykanów. ■ Dzięki dotacji National Endowment for the Humanities Polski Instytut Naukowy w Ameryce wydał oczekiwany od dawna katalog swych zbiorów. Katalog przygotowany pod redakcją profesora archiwistyki George Simora z Graduate School, City University of New York. ■ Public Theater w Nowym Jorku wystawił sztukę Janusza Głowackiego „Kopciuch” (Cinders). W głównej roli wystąpił znany aktor filmowy Christopher Walken. Prasa amerykańska opublikowała doskonałe recenzje z tej sztuki. ■ Polskie Towarzystwo Lekarskie i Związek Lekarzy Polskich w Chicago organizują w czerwcu w Warszawie trzeci międzynarodowy zjazd lekarzy polskich. ■ W katastrofie w kopalni węgla w Pensylwanii zginęły trzy osoby, wśród nich dwóch Polaków: Walter Depto i Stefan Parzątko. W czasie katastrofy znajdowali się oni na głębokości 445 stóp. ■ Do Nowego Jorku przybył z krótką wizytą Tadeusz Walczak, przewodniczący POSK-u w Londynie. W czasie konferencji w Nowym Dzienniku zapoznał się z projektem budowy Polskiego Centrum Społecznego na miejscu Domu Weterana w Nowym Jorku. ■ W Nowym Jorku zmarł profesor George Bereday - Zygmunt Fijałkowski, profesor pedagogiki i socjologii, dyrektor komitetu programowego Fundacji

Forda, przed wojną oficer 2-go Pułku Ułanów, uczestnik wojny w 1939 roku, major i dowódca polskich batalionów spadochroniarzy, którzy walczyli pod Arnhem. Zmarły był naukowcem o światowej sławie. ■ Źródła krajowe donoszą, że zamieszkały w Stanach Zjednoczonych tenisista polski Wojciech Fibak, zawieszony w Polskim Związku Tenisowym za odmowę wzięcia udziału w meczu z drużyną belgijską w ramach rozgrywek o Puchar Davisa, ma być przywrócony do członkostwa PZT, co oznaczałoby, że będzie grał w przyszłości w barwach polskich. ■ Władysław Michalak, jeden z przedwojennych przewodniczących Chrześcijańskich Związków Zawodowych w Polsce zmarł w lutym w szpitalu Jersey Shore Medical Center. Ostatnio mieszkał w jednej z willi Polskiej Bratniej Pomocy w Ocean Grove w New Jersey.

KRONIKA FRANCUSKA

15 marca br. odbył się w gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu wieczór poezji Józefa Łobodowskiego poświęconych Ukrainie, zorganizowany przez Towarzystwo Polsko-Ukraińskie. Słowo wstępne na temat politycznej sylwetki Łobodowskiego wygłosił Władysław Żeleński, a Jan Winczakiewicz przedstawił jego poetycką twórczość, zaś wersję ukraińską jego wystąpienia wygłosiła Olha Witochyńska. Główną część wieczoru wypełniły deklamacje wierszy i fragmentów poematów w języku polskim i ukraińskim (z wydania przez Instytut Literacki tomu pt. „Pieśń o Ukrainie”). Przy okazji kilka słów o organizatorach wieczoru. Towarzystwo Polsko-Ukraińskie zostało założone przez zespół Polaków i Ukraińców w roku 1976. Towarzystwo postawiło sobie za cel przyczynić się do zbliżenia obu narodów — poprzez spotkania i dyskusje poświęcone ich historii, wzajemnym stosunkom, sytuacji obecnej i aspiracjom na przyszłość. W ciągu siedmiu lat działalności odbyło się kilkanaście odczytów w języku polskim i ukraińskim poświęconych wspomnianym tematom. Towarzystwo skupia kilkudziesięciu członków, jego dotychczasowymi prezesami byli kolejno: zmarły już prof. Aleksander Kulczycki, prof. Jerzy Langrod, inż. Wasyl Mychalczuk a obecnie funkcję tę pełni Władysław Żeleński. ■ Poważny kryzys przeżywa Wspólnota Polsko-Francuska, organizacja założona przez nieżyjącego już działacza polonijnego Jerzego Jankowskiego. Jej pierwotnym zamiarem było dążenie do pełnego uczestnictwa Polaków — obywateli francuskich — w życiu społecznym i politycznym Francji. Jednak od chwili gdy Adamczewski został prezesem Wspólnoty, w jej pracach dominuje linia dystansu i ostrożności wobec działalności *stricto* politycznej. Sytuacja ta już od kilku miesięcy wywołuje burzliwe polemiki wśród członków Wspólnoty. ■ Delegat rządu RP na Francję, Ksawery Rey, odznaczył Henri Mazeaud Komandorią z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta. H. Mazeaud jest od kilkudziesięciu lat oddanym i zasłużonym orędownikiem przyjaźni między narodami francuskim i polskim. ■ Wystawę malarstwa Zdzisława Sosnowskiego pt. „Bramkarz” zaprezentowała paryska galeria „Georges Lavrov”. ■ Nakładem wydawnictwa „Mazarine” ukazała się książka amerykańskiej dziennikarki Claire Sterling pt. „Czas morderców”. Jej tematem jest zamach na papieża Jana Pawła II. ■ Manifestacja w obronie polskich więźniów politycznych (29 marca) zgromadziła przed Ambasadą PRL w Paryżu ponad 1.000 osób. Przemawiał m.in. reprezentant Komitetu Koordynacyjnego „Solidarności” we Francji — Piotr Chruszczyński. ■ Trzech graczy polskiej drużyny w hokeju opuściło mistrzostwa świata juniorów w Caen (Normandia). Wszyscy poprosili o azyl polityczny. ■ Z okazji Wielkiego Postu trzy wieczory rekolekcyjne prowadził w Centre du Dialogue ks. Mieczysław Małiński z Krakowa. ■ Z inicjatywy Towarzystwa Historyczno-Literackiego w gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu miało miejsce spotkanie z przed-

stawicielami londyńskiego Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK): Z. Jagodzińskim, A. Ostoja-Ostaszewskim, T. Walczakiem (przewodniczący POSK-u) i R. Zakrzewskim. ■ Na zaproszenie grupy przyjaźni polsko-francuskiej w Zgromadzeniu Narodowym przebywała we Francji przez tydzień delegacja Sejmu PRL. Siedmioosobowej delegacji przewodził minister d/s wyznań — Adam Łopatka, a w jej składzie był m.in. Ryszard Wojna. Przeciwno podejmowaniu — w obecnej sytuacji — przez francuskich parlamentarzystów przedstawicieli polskiego reżymu zaprotestowała konfederacja związkowa *Force Ouvrière*. Podobne stanowisko zajęły centrale związkowe CFDT i CFTC. Dziennik *Le Monde* zamieścił komunikat paryskiego komitetu „Solidarności z Solidarnością” pod wymownym tytułem: „Krótka pamięć”, a Komitet Koordynacyjny Solidarności we Francji wystosował w tej sprawie list do przewodniczącego grupy posłów socjalistycznych we francuskim parlamencie — Pierre Joxe’a. Mimo protestów władze PRL mają powody do zadowolenia, krok pierwszy został uczyniony. Fakt zaproszenia do Francji peerelowskiej delegacji a także podróż do Polski Pierre Joxe’a w lutym br. wskazują, że rząd francuski zmienia swoje stanowisko wobec władz PRL. Jeszcze w czasie pobytu delegacji Sejmu PRL we Francji *Trybuna Ludu* podała informację, iż Pierre Joxe i Adam Łopatka „doszli do porozumienia w sprawie położenia kresu dezinformacji dotyczącej Polski, praktykowanej przez francuskie środki masowego przekazu”. P. Joxe zdementował oficjalnie tę wiadomość. Należy dodać, że w tym samym czasie brutalnie usunięto z Polski korespondenta AFP, Michel Castexa, co zresztą nie wywołało żadnej reakcji ze strony władz francuskich. ■ Były działacz Solidarności Regionu Łódzkiego — Zbigniew Kowalewski — decyzyjną władz francuskich został zobowiązany do opuszczenia Francji w terminie do 28 kwietnia 1984 roku. Oficjalną przyczyną tej decyzji jest fakt, że Kowalewski nie jest w stanie przedstawić dokumentów o swoich źródłach utrzymania. W czołowych gazetkach francuskich pojawiła się jednak wersja, według której rzeczywistym powodem decyzji władz ma być działalność Kowalewskiego, czyniąca zeń osobę we Francji niepożądaną. Francuskie środki masowego przekazu poświęcają dużo miejsca „sprawie Kowalewskiego”. Dziennik *Le Monde* z 11 kwietnia opublikował listę kilkudziesięciu intelektualistów, działaczy związkowych i politycznych (w większości ultra-lewicowych), którzy protestują przeciwko decyzji władz francuskich. Jak na razie strona oficjalna milczy. Kowalewski uczestniczył po 13 grudnia 1981 roku w pracach Komitetu Koordynacyjnego „Solidarności” we Francji, po czym w listopadzie 1982 roku — decyzją TTK NSZZ „Solidarność” — został pozbawiony prawa do reprezentowania „Solidarności” za granicą. Kowalewski założył wtedy nowy komitet (o nazwie identycznej z tą, jakiej używa oficjalna reprezentacja Solidarności za granicą) i prowadził działalność głównie w środowiskach francuskich lewaków. ■ Uczestnicy międzynarodowego sympozjum na temat teoretycznych aspektów informatyki (Paryż, 11-13 kwietnia) wystosowali list protestacyjny do polskiego Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, prof. Bogdana Miśkiewicza, w związku z aresztowaniem pod koniec lutego br. we Wrocławiu informatyka — Pawła Falińskiego.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Sprawozdanie Funduszu Wieczystego Millenium za okres od 1.X.1982 do 31.X.1983 roku wykazuje wzrost kapitału w roku sprawozdawczym o \$ 101.586,00, z czego \$ 55.061 z zapisu spadkowego śp. K. Zaborowskiego. Kapitał na dzień 31.X.1983 roku osiągnął sumę \$ 1.200.235. Kapitał

zwiększał się głównie dzięki wpływom z bingo, które gwałtownie spadają. W roku sprawozdawczym dochód z tego źródła wyniósł już tylko \$39.365. ■ Rozdzielono w okresie sprawozdawczym \$110.039, w tym na szkolnictwo \$22.800, na stypendia dla KUL-u \$4.500, indywidualne stypendia dla studentów w Kanadzie — \$13.800, Instytut Badawczy — \$8.400, Biuro Inf. Toronto KPK — \$5.000, Instytut Naukowy Montreal — \$5.000, Zw. Nauczycielstwa — \$2.000, programy TV-Manitoba — \$2.000. Na różne cele i organizacje wydano ogółem \$13.800. ■ 10 marca br. odbyło się zebranie Kuratorów. Wybrano ponownie na następną trzyletnią kadencję pp. Teodora Barankiewicza i Irenę Fedorowicz, których mandaty wygasają. Barankiewicz był i pozostał prezesem, a pani Fedorowiczowa skarbnikiem. Wiceprezesami są: Stanisław Brodzki, Bohdan Ejch i ks. Michał Smith, sekretarzem — Mieczysław Szczeciński, dyrektorami: ks. Józef Capiga, Karol Błaszczak i ks. Henryk Pieprzycki. ■ Stowarzyszenie Przyjaciół KUL-u, którego przewodniczącym w obecnej kadencji jest inż. Władysław Zawadzinski z Ottawy, zebrało, jak wynika ze sprawozdania, w 1983 roku ogółem \$23.673,72. W tej sumie mieści się zapis testamentowy śp. Wandy Koczarskiej w wysokości \$10.000. Przeważają dotacje w wysokości 50 i 100 dolarów, ale nie brak i znacznie wyższych: od 200 do 5.000. ■ Podczas jednogodzinnego postoju na lotnisku montrealskim Mirabel samolotu Czechosłowackich Linii Lotniczych lecącego na Kubę, pozostało w Montrealu 11 polskich pasażerów. Jedną z nich, Jadwigę Górską, prawnik, zgłosiła się z 8-letnią córką do władz imigracyjnych na lotnisku z prośbą o przyznanie prawa pobytu jako uchodźcy. Po uzyskaniu czasowego prawa udała się autobusem do Toronto, gdzie wniosek jej zostanie rozpatrzony 4 czerwca br. J. Górską mieszkająca w Lublinie. Podczas pierwszego przesłuchania oświadczyła, iż warunki w Polsce są bardzo ciężkie i dosłownie w ciągu kilku minut zdecydowała się w Montrealu na pozostanie za granicą.

B. H.

Orbis Books (London) Ltd.

KSIĘGARNIA POLSKA

66 Kenway Road, London SW5 ORD

Tel.: 01-370 2210

Wielki wybór książek polskich — wydawnictwa emigracyjne i krajowe — oraz książek w języku angielskim dotyczących spraw polskich. Nowości zawsze na składzie.

Prowadzimy dział *antykwaryczny* książek polskich — wydawnictwa przedwojenne oraz wydawnictwa emigracyjne. Katalogów nie wysyłamy ze względu na szybki obrót i ciągłe zmiany w zestawie posiadanych na składzie tytułów. Prosimy o nadsyłanie dezyderatów.

Wydajemy kwartalnik informacyjny *NOWE KSIĄŻKI* (roczna prenumerata — £ 2.00; \$ 5.00). Wykonujemy zamówienia pocztowe.

Również pod naszym zarządem KIOSK KSIĘGARSKI w Ognisku Polskim, 55 PRINCES GATE, LONDON SW7 2PN.

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI:

- Dlaczego Czernienko, gdy przemawia, ma przed sobą aż 3 mikrofony?
- Bo przez dwa podają mu tlen.
- Jaka jest różnica pomiędzy Breżniewem i Andropowem?
- Tylko w stopniu rozkładu.
- Na co umarł Andropow?
- Na ogólne życzenie.
- Co reprezentują kilometrowe ogonki przed sklepami?
- Socjalistyczne podejście do handlu.
- Jaki film polski reklamuje plakat na którym w tle znajduje się szubienica i czarne okulary?
- „Gdzie jest generał?”

Pierwsze przemówienie Czernienki po wybraniu go na I-go sekretarza było tak fatalne, że zaniepokojeni towarzysze z Komitetu Centralnego wezwali do niego lekarza. Lekarz zbadał pacjenta starannie i oświadczył: „Skleroza w ostatnim stadium”. Towarzysze po naradzie przyszli do Czernienki i mówią:

- Towarzyszu I-szy Sekretarzu doktor powiedział, że cierpicie na sklerozę, bardzo posuniętą sklerozę, trzeba się nad tym zastanowić.
- Ja mam sklerozę!? — krzyknął Czernienko. — Zwariowaliście, czy co, to Andropow ma sklerozę, już dwa razy zapominał przyjść na uroczystości...

Sowiecki samolot z bombami atomowymi przelatując nad Europą uległ awarii. Sytuacja była tragiczna, należało natychmiast zrzucić bomby, ale na jaki kraj? Łączą się z Moskwą i pytają co robić.

— Zrzucić na Polskę — odpowiada Moskwa. — Chcieli mieć drugą Japonię, to będą ją mieli...

Polska zakupiła w Japonii dwie licencje na samochody, a mianowicie na małe półciężarówki firmy Zomo-Suki i na osobowe firmy OHIDA.

W Warszawie mówi się że ustawę antyalkoholową opracowało podobno dwóch generałów: Oliwa i Żyto...

Do pociągu jadącego do Krakowa wchodzą dwaj mężczyźni i siadają w przedziale, gdzie znajduje się już jakiś podróżny. Patrzą na niego i poznają — to Urban!

— Cóż to za mała — mówi jeden.

— O kim panowie mówią? — pyta Urban.

— O Jezu, woła drugi, popatrz tylko... Mówi!!!

Grupa Polaków nie mogąc już dłużej znieść gen. Jaruzelskiego postanowiła go zlikwidować. Ale jak? Po długich naradach sprowadzili z zagranicy specjalistę. Specjalista przyjechał, wysłuchał i powiedział: „To głupstwo, załatwi się szybko, ale to będzie drogo kosztowało”. Wymienił wysoką cenę w dolarach. Polacy posmutnieli ale zdecydowali się zapłacić. Specjalista zabrał się do dzieła. Minął jednak tydzień, potem drugi, a generał jak żył tak żyje. Wzywają więc specjalistę i pytają co się dzieje.

— Nic z tego — odpowiedział specjalista. — W waszym kraju nie można uczciwie zarobić. Z dziesięć razy już go miałem na muszce i zawsze w tym decydującym momencie ktoś z tyłu klepał mnie w ramię krzycząc na ucho: „A nie zapomnij o Urbanie!...”.

Do Sejmu wszedł projekt ustawy o zmianie „głowy państwa” z przewodniczącego Rady Państwa na prezydenta. Wysoka, reprezentatywna komisja zastanawia się zawczasu kogo wybrać na to stanowisko. Najpierw ustalają kryteria. „To musi być oficer” — powiedział Jaruzelski — „wojsko się sprawdziło, wprowadziło porządek, itd.”... „Musi mieć doświadczenie administracyjne” — powiedział ktoś inny — „bo prezydent ma mieć rozszerzone kompetencje”. „To powinien być ktoś, kto przeszedł internowanie” — odezwał się trzeci — „trzeba jednak wziąć pod uwagę nastroje społeczeństwa”. „Prezydentem musi być osoba *bezpartyjna*” — dodał przedstawiciel prymasa — „nawet w czasach stalinowskich Bierut wystąpił z partii, żeby zostać głową państwa”.

Te cztery kryteria zaprogramowano do komputera. Naciśnięto odpowiedni guziczek i wypadła odpowiedź: JAROSZEWICZ.

PIĘĆ PRZYKAZAŃ SOCJALISTYCZNYCH:

- 1) Nie myśl.
- 2) Jeżeli myślisz, to nie mów.
- 3) Jeżeli myślisz i mówisz, to nie pisz.
- 4) Jeżeli myślisz, mówisz i piszysz, to nie podpisuj.
- 5) Jeżeli myślisz, mówisz, piszysz i podpisujesz — to się nie dziw.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Monachium, 30 marca 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!;

W artykule Jean-François Revel pt. „Niemcy: marzenie i rzeczywistość” w numerze marcowym *Kultury* za rok bieżący znajdują się dwa błędy, względnie nieścisłości. Tłumaczenie polskie w *Kulturze* jest poprawne, natomiast błąd względnie nieścisłość znajduje się w tekście francuskim w *Le Point*.

Błąd polega na tym, iż postanowienie: „Trzy mocarstwa, Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania rezerwują sobie prawa i odpowiedzialności będące poprzednio w ich posiadaniu” mieści się nie w Konstytucji, lecz w tzw. *Generalvertrag* względnie *Deutschlandvertrag* z 1952 roku, czyli konwencji międzynarodowej, zawartej przez wymienione mocarstwa z Republiką Federalną Niemiec. Nieścisłość polega na tym, iż zastrzeżone przez te mocarstwa prawa dotyczą nie „statutu” kraju, co jest pojęciem dość ogólnikowym i nie sprecyzowanym, lecz jedynie zjednoczenia Niemiec i traktatu pokojowego. Przez to ostatnie rozumieć należy ostateczne uregulowanie granic z Polską w razie zjednoczenia Niemiec.

Łączę wyrazy szacunku

Ludwik FRENDEL

Londyn, 23 marca 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

W swoim liście (*Kultura* nr 12, 1983) p. H. Świdorska prosi o publiczne wyjaśnienie dwu spraw związanych z ofiarą na POSK i Bibliotekę Polską w Londynie.

1. Nadwyżka pieniędzy wpłaconych przez społeczeństwo polskie na półki biblioteczne w latach 1976/1977. Pani H. Świdorska cytuje w *Wiadomości POSK-u* nr 28, str. 17, że nadwyżka ta wyniosła £ 6.707; nie wspomnia natomiast, że ten sam artykuł zwraca uwagę, że ... „w powyższe koszty nie zostały wliczone koszty prac technicznych i przygotowawczych do instalacji półek, ani koszty związane z ich dostawą i instalacją”. Nadwyżkę przelano na Fundusz Biblioteczny, który jest używany wyłącznie na bieżące wydatki Biblioteki Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych w Londynie. Wchodzą w to nie tylko koszty zakupu i oprawy książek, ale i uposażenie personelu, koszty przesyłek i transportu książek i czasopism oraz inne wydatki administracyjne. Natomiast wszelkie koszty związane z utrzymaniem lokalu Biblioteki są pokrywane z osobnej kasy POSK-u (ponad £ 40.000 rocznie).

2. Dom na Acton, Londyn, przekazany przez śp. Panią H. Krzyżanowską w testamencie z dnia 6 marca 1969 roku. Dom ten został przekazany

POSK-owi bez żadnych warunków ani wskazówek co do przeznaczenia. Niżej podpisany nigdy nie rozmawiał ze śp. panią Krzyżanowską i w teczce związanej z tą sprawą żadnej notatki o rozmowach nie ma. Przejmując własność domu w 1972 roku POSK przejął również pewne zobowiązania m.in. dług w wysokości £ 2.298 w „Building Society” i prawo lokatorki do dzierżawy. Biorąc pod uwagę te obciążenia, wartość spadku została oceniona przez adwokatów w czerwcu 1972 roku na £ 5.000. Dom został sprzedany 14 października 1976 roku za sumę £ 13.000. Po zapłaceniu wszystkich kosztów i zobowiązań POSK-u związanych z przejęciem domu, zostało £ 6.085,32, co jest wykazane w rachunkach POSK-u i która to suma wpłynęła na konto POSK-u w Midland Bank No. 1 a/c w celu obniżenia zadłużenia.

Niesłuszną jest chyba uwaga p. H. Świderskiej że „Biblioteka nie dostała nawet na otarcie łez”, skoro pod koniec roku 1976 POSK przekazał na użytek Biblioteki Polskiej w Londynie nowy w pełni wyposażony lokal reprezentujący inwestycję wartości ponad £ 250.000 (zobacz artykuł R. Zakrzewskiego w *Kulturze* nr 11/439, 1983, str. 111).

Na tym kończę publiczną polemikę z Panią H. Świderską na łamach *Kultury*.

Łączę wyrazy poważania

Bolesław GOZDEK

Skarbnik POSK-u 1971-1974 (grudzień)

Przewodniczący POSK-u 1974-1976 (październik)



Warszawa, 13 kwietnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

W 1980, a potem kilkakrotnie w roku 1981, ukazała się w Polsce nakładem niezależnego Wydawnictwa „Głos” nieduża moja książka pt. *Dzieje sprawy Katynia*. Znaczenie rozszerzone i ulepszone wydanie miało się ukazać w Warszawie w grudniu 1981. Doskonali skład sporządzili drukarze krajowi. Nakład został skonfiskowany, ale ocalała na szczęście jedna kompletna odbitka, wytoczona jednostronnie na papierze ilustracyjnym. Odbitka ta dotarła w końcu do rąk zespołu pracującego pod nazwą „Głos Publishing”, jako podstawa do druku metodą „offset”. Trudno pojąć, z jakiego powodu zespół „Głos Publishing” uznał za właściwe zmniejszenie formatu książki, metodą pocięcia składu na paski i ich sklejenia. Byłoby to bez znaczenia, gdyby przy tej okazji nie zgubiono około półtorej strony maszynopisu tekstu oryginalnego, i to w miejscu szczególnie ważnym (zobacz str. 31 wydania New York 1983), dotyczącym okoliczności ujawnienia sprawy wiosną 1943 roku. Stwierdzam, że publikacja *Dzieje sprawy Katynia*, wydana przez „Głos” w Nowym Yorku jesienią 1983, jest okaleczona i niekompletna. Sprzeciwiam się rozpowszechnianiu książki w tej postaci i odmawiam jej autoryzacji. Jeżeli „Głos Publishing” chce nadal korzystać z praw do tego dzieła, winno sporządzić nową, kompletną wersję książki i rozprowadzać tylko tę nową, oryginalną postać dzieła. Reaguję z dużym opóźnieniem, ale autorowi żyjącemu i pracującemu w warunkach krajowych trudno jest zareagować prędzej. Zdumieniem napawa mnie wszelako fakt, że wydawcy, którym z pełnym zaufaniem złożono w ręce tekst ważnej książki, pozwolili sobie na techniczne operacje ze składem dzieła, narażające książkę na zdekompaktowanie — i to w warunkach USA, gdzie oszczędzanie papieru i ewentualne zmniejszenie książki o 4 strony doprawdy nie odgrywa żadnej roli.

Leopold JERZEWSKI

Chicago, 27 marca 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!

W *Kulturze* za marzec br. w artykule pt. „Niemcy: marzenia i rzeczywistość” (autor Jean-François Revel) w rozdziale 4-tym, strona 60-ta czytamy... Tak jest zgodnie z artykułem II Konstytucji: „Trzy mocarstwa, Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania rezerwują sobie prawa i odpowiedzialności będące poprzednio w ich posiadaniu”, czyli prawa do wszystkiego co dotyczy Berlina i całości Niemiec w perspektywie ostatecznego statusu kraju i traktatu pokojowego, który go zatwierdzi.

Wpierw uwaga. W Federalnej Republice Niemiec formalnie nie używa się słowa Konstytucja (*Verfassung*), tylko Ustawa Zasadnicza (*Grundgesetz*). Według artykułu 146 tej Ustawy słowo Konstytucja jest zastrzeżone dla przyszłych zjednoczonych Niemiec. Otóż artykuł II Ustawy Zasadniczej brzmi: „(Prawa obywatelskie) (1) Każdy ma prawo do swobodnego rozwijania swej osobowości tak długo, dopóki to nie narusza praw innych osób, nie wykracza przeciwko porządkowi społecznemu, albo prawom obywatelowym. (2) Każdy ma prawo do życia i cielesnej nietykalności. Wolność osoby jest nienaruszalna. Te prawa mogą być ograniczone jedynie przepisami prawnymi”. Jak widzimy, treść ta jest zupełnie odmienna od podanej w omawianym na wstępie artykule *Kultury*.

Przyczyną tego jest chyba powołanie się na niewłaściwy dokument. Pozwolę więc sobie przytoczyć artykuł II Umowy odnośnie stosunków między Federalną Republiką Niemiec a trzema mocarstwami — Stanami Zjednoczonymi, Francją i Wielką Brytanią — podpisanej 26.5.1955 w Bonn (tzw. *Deutschlandvertrag* — Umowa Niemiecka). Pewnych zmian dokonano w Paryżu 23.10.1954 (zwana więc także Umową Paryską). Weszła ona w życie 5.5.1955. Ta Umowa dotyczy uzyskania przez Federalną Republikę Niemiec państwowej suwerenności z pewnymi ograniczeniami.

Artykuł II tej właśnie umowy brzmi: „(Zastrzeżenie praw) Ze względu na to, że sytuacja międzynarodowa dotychczas uniemożliwiła zjednoczenie Niemiec i podpisanie traktatu pokojowego, trzy mocarstwa zatrzymują swoje dotychczasowe prawa i zobowiązania w stosunku do Berlina i całych Niemiec łącznie ze zjednoczeniem Niemiec i unormowaniem zagadnień pokojowych. Prawa i odpowiedzialność trzech mocarstw, związane ze stacjonowaniem sił zbrojnych w Niemczech i ochroną ich bezpieczeństwa opierają się na artykułach 4 i 5 tej umowy”.

Inne jeszcze sformułowania, jak np. z powołaniem się na wstęp (*Präambel*) do Ustawy Zasadniczej, nie są zupełnie ścisłe, ale to nie jest tak istotne.

Z wyrazami szacunku

Stefan MARCINKOWSKI

Edmonton, Kanada, 27 lutego 1984.

Szanowna Redakcjo,

Artykuł Pawła Morgi „Notatki o bojkocie” (*Kultura* nr 1/436-2/437, 1984 r.) ukazał bardzo wyraźnie główny dylemat współczesnej polskiej kultury, streszczający się w dwóch słowach: kolaboracja lub milczenie. Zaprezentował on też wyjątkowo trafnie psychologiczne motywacje tych biegunowych stanowisk, motywacje, które — w przypadku wyboru milczenia — podważają utarte opinie o artystycznych środowiskach, ich przyziemnym materializmie, ideowej obojętności itd. Nie dziwnego, że tak nieoczekiwana

reakcja była powodem zaskoczenia, a następnie beznadziejnej wściekłości reżymowych biurokratów, obserwujących kompletną klęskę ich ulubionej metody kija i marchewki.

Na tle solidarnej postawy większości aktorów, plastyków czy pisarzy tym jaskrawiej odcina się zachowanie niektórych (na szczęście nielicznych) wielkości krajowego życia artystycznego. Paweł Morga wspominał o przypadku Sandauera; nie może on być jednak niespodzianką dla kogoś, kto przez ostatnich kilkanaście lat obserwował postępujący umysłowy i etyczny paraliż tego niegdyś obiecującego krytyka. Sandauer sam sobie wznosił kapliczkę i samotnie celebrował w niej kult własnej niezależności, nieomylności oraz wyrafinowanego intelektualizmu; jakiej były one próby, wiemy chociażby z doskonałej analizy Stanisława Barańczaka w poprzednich numerach *Kultury*. Rażące braki tego zadufanego umysłu nie stanowiły nigdy nawet tajemnicy poliszynela, toteż jego ostateczna degrengolada na łamach *Żołnierza Wolności* musi być traktowana jako logiczny efekt wcześniejszej ewolucji i — jako taka — nie jest właściwym przykładem środowiskowego odstępstwa.

Warto natomiast zwrócić uwagę na inny przypadek, bardziej drastyczny i zasmakujący. Myślę o Tadeuszu Kantorze, twórcy — w przeciwieństwie do Sandauera — ujawniającym cechy prawdziwej wybitności. Kantor od dawna stał się żywym mitem, podobnie jak wskrzeszony i utrzymywany przez niego teatr „Cricot-2”. W świadomości kulturalnego Polaka był on synonimem autentycznej niezależności twórczej, która w imię własnej wizji nie szła na kompromis z żadną oficjalnie lansowaną „linią programową”. Wiarogodność tego obrazu potęgowało przymusowe milczenie artysty w okresie stalinowskim oraz zagraniczne sukcesy jego teatru przy niemal całkowitym braku przedstawień w Kraju. Krótko mówiąc, Kantor był symbolem — pomijam, na ile świadomie przez siebie wyreżyserowanym — wiecznej awangardy, bezustannych artystycznych poszukiwań, zupełnie ignorującym kawiarniane mody i, co najważniejsze, doraźne polityczne koniunktury.

Dziś ten wizerunek „artysty niezłomnego” musi powodować do lamusa narodowych złudzeń. W sierpniu 1982 roku Tadeusz Kantor przyjął Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, ową „marchewkę”, którą równocześnie odrzucił — trafnie domyślając się ukrytych intencji władz — tyłu innych zasłużonych, wliczając dowódcę powstańczego getta, Marka Edelmanna. A oto własny komentarz Kantora: „Pozwól sobie powiedzieć jedno takie zdanie. Moja twórczość złączona jest z pojęciem awangardy. Jeśli dobrze znam historię awangardy, to wydaje mi się, że żaden awangardzista takiego odznaczenia nie otrzymał. Dunikowski był wielkim akademikiem. Ja chcę uniknąć tego słowa, chcę, by moja twórczość była zawsze żywa. Jeżeli zdarzył się ten jedyny w historii sztuk wypadek, że awangardzista został tak wysokim krzyżem nagrodzony, to w tym miejscu chciałbym pogratulować tym, którzy tę decyzję podjęli” (*Przekrój*, 12 września 1982, rubryka „Tydzień w kulturze”, str. 8). Bijąca z tych słów zarozumiałość tłumaczy wszystko, jeśli nawet nie usprawiedliwia ich raczej dziwacznej logiki, zonglowania pojęciami i dowolnego ustawiania faktów. Nie jest ważne, kto docenia zasługi Kantora — ważne jest, że zasługi te zostały wreszcie dostrzeżone. I rzeczywiście: pod koniec ubiegłego roku zespół „Cricot-2” odbył pierwsze oficjalne polskie *tournee*, któremu patronował ni mniej, ni więcej tylko Teatr Rzeczypospolitej, jeszcze jedna pokraczna hybryda „nowego ładu kulturalnego”. Fakt ten, *nota bene*, został starannie pominięty w wywiadzie Kantora dla *Polityki*, był więc traktowany (przez kogo?) jako wyraźnie wstydlawy.

Tadeusz Kantor nie jeździ wprawdzie na poligony i nie wychwala poziomu pracy kulturalnej w jednostkach LWP, co nie byłoby jeszcze najgorsze, zważywszy nagi komizm takich gestów. Tadeusz Kantor zgadza się na-

tomiast na odgrywanie roli pupila najbardziej bezwzględnej w dziejach PRL reżymu, ponieważ — zacytujmy celne zdanie P. Morgi — „władze nie już nie mówią złego na awangardę”. Co jednak powie na to prawdziwa polska, aktualnie bezrobotna, awangarda?

Z poważaniem

Janusz WEINLOS

Szanowny Panie Redaktorze,

W rubryce „Nadesłane nowości wydawnicze” (*Kultura* 12/434, str. 141) anonuje Pan między innymi francuskie wydanie „Meira Ezofowicza” Elizey Orzeszkowej w przekładzie Władysława Mickiewicza.

Mimo koniecznych ograniczeń miejsca w tej rubryce, warto było chyba zaznaczyć, że chodzi tu o nową wersję tej książki (trzecią z kolei), dokonaną przez niżej podpisaną oraz pisarza francuskiego Henri Raczymowa, w oparciu o pierwszy przekład powieści z roku 1887. Drugi przekład tej powieści, przez Kozakiewicza, pochodzi z początku XX wieku. Niestety ani przekład Mickiewicza, ani Kozakiewicza (zasłużonego *nota bene* tłumacza, między innymi dzieł Sienkiewicza, na francuski) nie nadawały się do nowoczesnego wydania nie tylko ze względu na przestarzałość języka, ale także z powodu poważnych niedomogów warsztatowych. Jeżeli mimo to postanowiłam oprzeć się na tłumaczeniu Mickiewicza, to tylko w celu zachowania pewnej „dzieciństwostowości” stylu, prawie niemożliwej do osiągnięcia dla tłumacza wzrosłego w duchu naszej epoki.

Informuję przy okazji, że powieść Orzeszkowej, poprzedzona przedmową Annie Kriegel i wzbogaconą ilustracjami Andriolliego, jest siódmą z kolei pozycją serii „Domaine de l'Est”, którą od czterech lat prowadzę w wydawnictwie paryskim Robert Laffont (ukazały się w niej dotychczas: „Mała Apokalipsa” i „Sennik współczesny” Konwickiego, „Kiedy służyłem królowi angielskiemu” i „Tak głośna samotność” Bohumila Hrabala — znakomitego współczesnego pisarza czeskiego; „Głowa Lenina” N. Bokova i „Kronika licznej rodziny” A. Antonowicza — dwóch młodych pisarzy radzieckich na emigracji).

Łączę serdeczne pozdrowienia

Zofia BOBOWICZ

Monachium, 14 kwietnia 1984.

Szanowny Panie,

Nie odpowiedział Pan na mój list z 23 lutego, który nie dawał chyba powodów do obrazy. Pisałem w nim:

„Bardzo proszę, ponownie, o rozważenie dwu spraw zasadniczych:

1. Nigdy nie uważałem, i nie uważam, aby obecny program RWE był na poziomie odpowiednim do potrzeb i oczekiwań słuchaczy; oponuję przeciwko krytyce nieuczciwej, którą Pan firmuje, sam programu nie znając.

2. Jest wojna. Pan i ja dowodzimy różnymi odcinkami frontu, walcząc ze wspólnym wrogiem, nie przebiegającym w środkach. Uważam za szkodliwe publiczne podawanie do wiadomości krytyki sojusznicznych oddziałów: to sieje zamęt i ułatwia walkę wrogowi. Takie sprawy omawiać się powinno na konferencjach sztabowych.

Dlatego właśnie twierdząc uparcie, że podstawą naszej współpracy... muszą być właśnie wzajemna lojalność i zaufanie”.

Zamieszczenie w kwietniowym nrze *Kultury* kolejnego „listu do redakcji”, krytykującego program Rozgłośni Polskiej RWE, trudno mi rozumieć inaczej, niż jako sygnał odrzucenia zawartych w moim lutowym liście zasad lojalnej współpracy.

Zamieszczenie tego tekstu, znowu zawierającego absurdalne zarzuty, świadczy o tym, że nie tylko nie zna Pan naszych audycji, ale nawet nie rzuci okiem na tytuły przesyłanych Panu regularnie tekstów. Zauważyłby Pan bowiem oczywistą fałszywość twierdzeń o przemilczaniu problematyki postaw politycznych w RFN albo o rozważaniu przez nas dobrych intencji Jaruzelskiego. Są to zwyczajne kłamstwa.

Polemizować z nimi nie będziemy. Poniżej pewnego poziomu zarzutów polemika jest bezcelowa. Proszę jednak nie sądzić, że pozostanę bierny wobec powtarzających się ataków na Rozgłośnie.

Proszę o zamieszczenie tego listu w najbliższym numerze *Kultury*.

Łączę ukłony i wyrazy poważania

Zdzisław NAJDER

Radio Free Europe/Radio Liberty

Warszawa w marcu 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Wszyscy się dzisiaj boją „ekstremy” i „radikalizmu”. To jedno ze zwycięstw aparatu nadzoru. Jak za Apuchtina. Boję się, że tego listu *Kultura* nie ogłosi. Nie jestem pewien czy list ten w ogóle dojdzie do rąk Pana Redaktora. Mój przyjaciel, wyruszając w rejs dalekomorski, przyrzekł go przesłać do Francji. Kim jestem? Po ukończeniu historii na U.W. jestem obecnie bez pracy — dlaczego łatwo się domysleć, bo weszliśmy w erę obrachunku, i za euforię posierpniową, ważną jak zdrowie, — trzeba płacić zdrowiem i szansą utrzymania się. Ale nie to mnie i moim rówieśnikom dokucza najbardziej. Po wnikliwym przemyśleniu obecnego położenia nie mogę się — podobnie jak i krąg moich przyjaciół (trzydziestolatki) — oprzeć przekonaniu, że rachuby na ewolucję — to złudzenie, które mamy za sobą. Bez radykalizmu metod oporu nie wydobyjemy się z dna. Czas powiedzieć sobie prawdę: pacyfikacja naszej odnowy (13 grudnia 1981) jest dla nas szokiem, i dlatego że społeczeństwo nie stawiało czynnego oporu — poza nielicznymi dowodami heroizmu (Wujek, Nowa Huta, kilka demonstracji ulicznych — w sumie nawet nie 1/10 strat jednego kwartału Belfastu). Ku zdumieniu Moskwy „operacja” Jaruzelskiego przeszła łatwiej niż się spodziewano.

Jeśli Stalin po 1945 nie zastosował wobec Polski wariantu bałtyckiego, to z powodu wspomnienia roku 1920 i — nieobliczalności, która cechowała Powstanie Warszawskie.

Po 13 grudnia te podświadome hamulce w Moskwie już mogą nie działać. Dzisiejszych Polaków — w oczach Kremla — niewiele już dzieli od Czechów. Można się spodziewać, że i Zachód podda rewizji swój tradycyjny stosunek do *brave Poles*. Doszło do żałosnego paradoksu — za „roztropność” i „rozwagę” chwalą nas dzisiaj kard. Glemp, gen. Kiszczak i Radio Wolnej Europy. Ilekróć Moskwie zagraża ewentualne spiętrzenie polskiej niecierpliwości, ten tercet z reguły nie zawodzi. Rozlega się rzewne wezwanie: „Proszę się rozejść!” „Nie dać się... sprowokować”, itd. Tę wskazówkę słyszeliśmy w eterze — w Październiku 1965, w marcu 1968, w Gdańsku 1970, w Radomiu 1976 i tylko w roku 1980, kiedy już się dobrymi radami wpływać na młodzież nie dało (zauważył to prymas Wyszyński), a MSW poczuło się niepewnie (rolę Kani oceni historia), to i Free Europe prze-

stała się obawiać własnej odwagi, chociaż jej komentarze zawsze nosiły i nadal noszą charakter *not dyplomatycznych* — oscylują między nieantagonizowaniem sobie słuchaczy, „liberałów” w KC Partii i „gołębi” w Departamencie Stanu. Nie duch Reagana, lecz małych urzędników unosi się nad eterem. Boją się „zimnej wojny” i antykomunizmu, biedacy. Gdyby tam myślano w kategoriach historycznych i rozporządzano znajomością psychiki sowieckiej — przypomniano by sobie teraz model 1904/1905. Ale uczniów Piłsudskiego szukać dziś nadaremno. Trudno, jeśli Polska ma przetrwać — wiem, że kard. Glemp i gen. Kiszczak oburzą się na moje słowa — bez terroru się nie obejdzie. Kto z góry się zarzeka, że bez użycia radykalnych środków chce „grzecznie” wygrać w szachy z Moskwą, *naraża byt biologiczny Kraju*. Moskwa rządzi strachem, paraliżuje wolę oporu — strachem. Nie wolno nikomu na Zachodzie przykładąć ręki do krzewienia psychozy lęku i zagłady, jak to czynią różni giertychowcy i glempieści z obiektywną korzyścią dla sił niewoli.

Jaruzelski był i nadal będzie bardziej znienawidzony w Polsce niż poza jej granicami. Nawet gdyby jutro niespodziewanie uderzył na Sowiety, nie odzyskałby już prawa do uczestnictwa w naszym życiu politycznym.

Razi nas *kurtuazyjny stosunek emigracji*, zwłaszcza Polonii, do tego namiestnika.

Był zamach na Kutscherę, strzelano kiedyś do oberpoli-majstrów, ale myśl o powtórce z historii przeraża „roztropnych”. Nawet publicysta Wolnej Europy traktuje Jaruzelskiego w salonowych komentarzach lepiej niż traktowano kiedyś gubernatora Franka na Wawelu, Müllera w Warszawie czy Greisera w Poznaniu — dlaczego? Dlaczego nikt nie spoliczkuje w Sejmie kłamcy „wicepremiera” czy cynika Urbana? Skąd te dwie miary?

Zagadnienie podziemia (Bujak) jest traktowane w eterze w sposób *ustydliwy*, jakby się ktoś w rodzinie wykoleił moralnie. Czy proces postępującej endokoizacji postaw (ile kłopotów miał z nią Piłsudski!) czyli ugody (kto, z kim?) w imię jakże nieuchwytnego „celu nadrzędnego” (*better red than dead*) poczynił już aż takie spustoszenie? Przestańcie nas chwalić za samodyscyplinę i rozwagę („Polska to nie Afganistan”, „Polska to nie Liban ani północna Irlandia”). — Możemy przestać istnieć jako świadoma swej tożsamości zbiorowość, gnijąc powoli, ewolucyjnie — bez jednej rozbitej szyby, bez jednej eksplozji, cudownie „rozważni” i „dojrzały” — ku zadowoleniu arcyskapłana, który zaleca nadstawiać drugi policzek, nie chwytając za kamień w obronie własnej, możemy stać się za kilkadziesiąt lat mówiącymi po polsku, nieświadomymi własnego niewolnictwa „patriotami” w orbicie nieludzkiego systemu. Nie doradza mi, przyjacielu, na falach eteru, rozsądek i umiaru. I nie ulegaj hipnozcie, która działa dookoła! Pamiętaj — człowiek i naród mają tylko jedno życie. Do stracenia i — do cieszenia się nim. I dlatego nie mogą sobie pozwolić na samobójczy luksus uległości. Póki my żyjemy, nie możemy wyłączać walki ze składu naszych zasad. W spokoju — zguba.

ROCZNIK 1955

ODPOWIEŹ REDAKCJI

J.A.O., Seattle (USA). — Pana listu nie zamieścimy. Nasze stanowisko w sprawie sankcji zostało wyraźnie sprecyzowane w *Kulturze*.

Na Fundusz prasowy KOS — suma zebrana 16 marca br. przez
Zygmunta Przetakiewicza w Klubie Ildico's wśród czytelników
kanadyjskiego dziennika *The Toronto Sun* —
\$ c. 280,00 F.1.750,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Stockholm — Krs 100,00 F. 103,00

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Urbany (USA) F. 800,00
Na apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston, dla „Solidarności”
Podziemnej: W. Ostrowski — \$ 10,00; A. Biedak, F. Dziadul,
L. Szumski i dawni internowani: T. Daniszewski, Z. Padzik,
E. Szypszak, T. Wojdakowski po \$ 5,00 = \$ 45,00; na ten sam cel
złożyli w redakcji *Listów do Polaków* po \$ 20,00: G. Kliszewska z Los Angeles, A.Z. z New Britain,
A. i M. Obuchowicz z Fairfield = \$ 60,00; Harcerze „Zuchy” z Los Angeles na pomoc
dzieciom więzionych działaczy „Solidarności” — \$ 20,00 oraz A. i M. Obuchowicz
dla uwiecznionych działaczy — \$ 20,00 = \$ 40,00; ogółem: \$ 145,00 F.1.160,00
Polish Canadian Action Group „Solidarności i Niepodległość”,
Toronto, Ontario — na NSZZ „Solidarności” w Polsce — \$ c. 1.000,00 F.6.290,00
Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności” w Vancouver, B.C. (Kanada) —
na „Solidarności” Podziemną — \$ 300,41 F.1.877,55
Stowarzyszenie Techników Polskich, Oddział Vancouver (Kanada) —
\$ c. 50,00 F. 313,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

A.L., Darmstadt, (RFN) — sumę zebraną wśród kilku Niemców i Polaków — DM 250,00 F. 757,50
Jerzy Grot-Kwaśniewski, Armadale, Vic. (Australia) F. 249,73
Andrzej J. Chlewicki, Kolonia (RFN) — DM 100,00 F. 303,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ US 200,00 F.1.600,00
Wojciech Szczypiński, Zurych — Fr. szw. 30,00 F. 111,00
Henryk Wirszyński, Ann Arbor, MI (USA) — \$ 25,00 F. 200,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2° trimestre 1984.

Imprimé en France
N° d'imprimeur: 6394

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str
New Muckleneuk, Pretoria 0181
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, 1425
Buenos Aires
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York
House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000.
Tel. 29 1248
AUSTRIA: Henryk Odlański-Poczobut, 1011 Wien, Schön-
latengasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175
BELGIA: Maria Ronomanska, 132, Avenue Coghien,
1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51
w Banque de Bruxelles
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do admini-
stracji « Kultury »
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ-
garniach polskich w Paryżu
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6,
4362 B 4 Vliessen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby
Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville
Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski,
8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev
Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man
R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa
St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8 Tel. 545-2115 J. Korwin
Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish
Voice Publishing » Co., 1089 Queen St W Toronto 145 Ont
Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1638 Bloor
St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7
NIEMCY: St. Mikuluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74
1211 Genève 7. Tel. 44-32-51 Nr konta pocztow. 12.14431
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33
Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokontonr 48 82 34-6
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks
Pl., New York, N.Y. 10009 Tel. 475-8886; Ada Dzię-
nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis 53211
T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145
Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego
Cal. 92104. Tel. 284-6271, Krystyna Leser, 1725 - 17th St.
N.W. Washington D.C. 20009; H. Koscluch, 41963 Utica
Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil-
waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554;
Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain Conn
06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347
Chene Street Detroit Mich 48211. Szwede Slavic Books
2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415)
327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika »
21, West 38-th Street, New York, N.Y. 10018 Tel
(212) 354-0492
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 86 Ken-
way Rd, London SW5 ORD Tel (01) 370 2210
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int
27. Tel. 75-67-241

Egz. poj	Prenumerata	
	1/2-roczn	roczn
Ceny na rok 1984		
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
Fl h 15,00	Fl h 80,00	Fl h 145,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
\$ Can. 6,00	\$ Can. 35,00	\$ Can. 60,00
DM 13,00	DM 70,00	DM 130,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 110,00
K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,50

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 386 — LEOPOLITA

TEKSTY CYWILNE

Pisane w okresie od 1976 do końca października 1983 pasjonujące rozważania znanego pisarza i krytyka literackiego na temat politycznej i kulturalnej rzeczywistości w kraju.

Str. 176.

Cena F. 55,00.

TOM 387 — JERZY HOLZER

«SOLIDARNOŚĆ 1980-1981»

Geneza i historia

Str. 357.

Cena F. 95,00.

TOM 388 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZESZDZIESIĄTY SIÓDMY

Zawiera m.in. opracowania: W. Bartoszewskiego — *Rozważania o Powstaniu Warszawskim*; Z. S. Siemaszki — *Płk Prawdzic-Szlaski — organizator AK na Nowogródczyźnie*; *Trzy dokumenty ujawniające mechanizmy przemocy i gwałtu w Polsce w latach 1947-1955* (Notatka w sprawie nadużyć w śledztwie w organach Informacji, Sprawozdanie Komisji powołanej dla zbadania przejawów łamania praworządności przez pracowników Generalnej Prokuratury i Prokuratury m.st. Warszawy, List Wł. Lechowicza do jego obrońców w sprawie tortur, jakim go poddano); W. Michniewicza — *Monte Cassino w świetle dokumentów*; *Polacy znad Wilii, Niemna, Narwi i Bugu w łagrach sowieckich w latach 1944-1947*; O. Remigiusz Kranc — *Byłem skazany na 10 lat Syberii* (wspomnienia, cz. I); T. Wyrwy — *Raport ambasadora Francji w Bukareszcie o Polakach internowanych w Rumunii jesienią 1939 roku* oraz dział: RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

TOM 389 — HENRYK SIEWIERSKI

SPOTKANIE NARODÓW

Losy Polaków w Związku Radzieckim w czasie drugiej wojny światowej i ich kontakty na terenie więzień i łagrów z przedstawicielami wielu innych narodów uciskanych przez ZSSR.

Pierwszy raz zebrane i przypomniane wszystkie książki i wspomnienia które ukazywały się na ten temat w czasie wojny i zaraz po niej, z których większość nie jest znana.

Str. 144.

Cena F. 55,00.